Laseczka i tajemnica

Zbigniew Nienacki

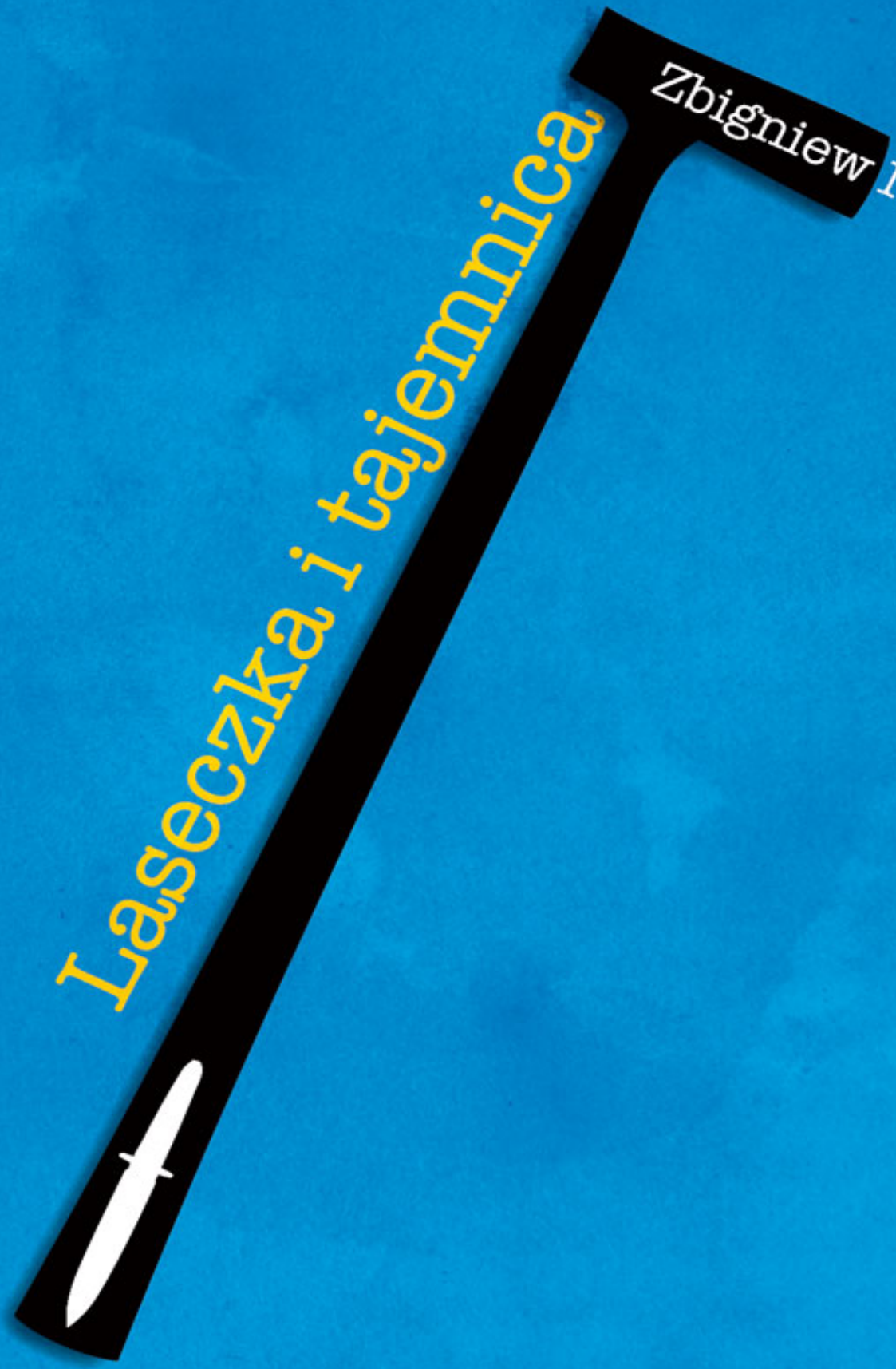

liber novus

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Zbigniew Nienacki

Laseczka i tajemnica

Zbigniew Nienacki

Laseczka i tajemnica

Wydanie I

Liber Novus 2011

Redaktor naczelny • Marcin Nowak
Korekta • Artur Marcin Laskowski, Marcin Nowak
Skład i łamanie • Artur Marcin Laskowski
Projekt okładki • Maciej Łazowski

Wydawnictwo
Liber Novus Marcin Nowak
ul. Łaska 43
95–050 Konstantynów Łódzki
www.libernovus.pl
info@libernovus.pl

Copyright © • Helena Nowicka
Copyright © for electronic version • Liber Novus
Konstantynów Łódzki 2011

ISBN • 978–83–7741–010–3

Liber Novus 2011

Osoby działające

Henryk • dziennikarz, redaktor tygodnika
Rosanna • dziewczyna ze Starego Cmentarza
Julia • plastyczka, współpracowniczka tygodnika
Butyłło • handlarz antyków
Butyłłowa • piękna blondynka
Siostra Rykierta • sprytna staruszka
Pakuła • oficer śledczy
Kobyliński • reporter „Echa”
Buczek • major Wojewódzkiej Komendy MO
Gniewkowski • kolekcjoner porcelany
Skarżyński • kolekcjoner z Brzezin
Skonieczny • dentysta z Głowna
Bromberg • staruszek rencista
Rotmistrz • emerytowany wojskowy
Marek • poeta, redakcyjny kolega Henryka

Osoby, o których się mówi

Rykiert • magister, historyk sztuki
Mozek vel Josif vel Oczko • rzezimieszek bałucki
Zaza • woltyżerka
Arno • jej mąż, cyrkowiec
Krzyżanowski • lekarz, autor pamiętników
Kocher • adwokat
Fedorenko • żandarm carski
Stanecki • adwokat ze Zgierza
Schuller • SS-man

Podczas porannego dyżuru w drukarni, gdy z maszyny rotacyjnej schodziły pierwsze egzemplarze tygodnika, Henryk zobaczył na stole w redakcji technicznej część maszynopisu pamiętników dra Krzyżanowskiego. Wydawnictwo Łódzkie poprosiło redakcję o druk dowolnego fragmentu pamiętników, pragnąc w ten sposób zapowiedzieć książkową publikację całości. Poeta Marek dokonał wyboru fragmentu i przeznaczone do druku w następnym numerze stronice pamiętnika zaznaczył czerwonym ołówkiem. Henryk jednak nie miał zaufania do redakcyjnych umiejętności poety Marka. Tygodnik przeżywał właśnie pewien spadek nakładu, a Henryk obawiał się, że Marek nie wybrał fragmentu najbardziej frapującego i interesującego czytelników. Z maszyny schodziły pierwsze egzemplarze nowego numeru, dyżur redakcyjny zobowiązywał do siedzenia w drukarni aż do ostatniego egzemplarza, albowiem drukarzom nie zawsze chciało się przemyć wałki i szczególnie ostatnie odbitki wychodziły zamazane. I raczej z nudów niż z poczucia odpowiedzialności zasiadł Henryk nad maszynopisem pamiętników. A gdy skończył czytanie, ustał już łoskot maszyny rotacyjnej — była dziesiąta rano, 21 maja 1961 roku.

21 maja

Wracając po dyżurze do domu zobaczył **ją** Henryk w oknie wystawowym Desy.

Leżała na perskim dywanie sąsiadując z wielką chińską wazą i kilkoma sczerniałymi ikonami. Tuż obok, wsparte o wypukły brzuch ozdobnej sekretery, stało piękne lustro w barokowej ramie.

Była ciemnowiśniowa, wysmukła, z posrebrzaną rękojeścią w kształcie walca. Wydała mu się bardzo wytworna; wyobraził ją sobie w urękawiczonej dłoni dandysa z *fin de siècle'u*, gdy z wysokich trybun śledził wyścigi konne. Ów pan, zapewne podobnie jak i Henryk — nosił wąskie spodnie i kolorowe kamizelki, a na głowie miał kapelusik z niewielkim rondkiem. Mimo to na współczesnej ulicy i w dłoni Henryka laseczka mogła spotkać tylko rozbawione spojrzenia, była czymś dziwacznym i anachronicznym.

A jednak prawie natychmiast wszedł do sklepu i, wskazując laseczkę palcem, zapytał o cenę.

— Pięćset złotych — odpowiedziała siwa pani.

Odkąd otrzymał mieszkanie w nowym bloku, zbudowanym na dawnym pustkowiu tuż obok Starego Cmentarza, posiadanie laseczki uznał Henryk za nieodzowne. Do domu wypadało mu bowiem chodzić bezludną ulicą, odgrodzoną od cmentarza wysokim ceglanym murem. W murze było wiele dziur, na zarośniętym krzakami Cmentarzu wieczorami biwakowały grupki podejrzanych osobników, którzy przez owe dziury wyłazili na ulicę i zaczepiali przechodniów, wyłudzając od nich pieniądze na wódkę. Ileż to razy późnym wieczorem goniły za Henrykiem wołania podchmielonych wyrostków: „Te, okularnik, postaw kielicha". Przyśpieszał wówczas kroku utwierdzając się w postanowieniu kupna laski. Zapewne miała to być laska duża, ciężka i masywna. Lecz czy z taką mógłby się pokazywać na rojnych ulicach Łodzi, w redakcji, gdzie pracował, lub w kawiarni, gdzie spędzał wieczory? Oddalał więc od siebie decyzję nabycia laski, dopóki nie napotkał tej wysmukłej, ciemnowiśniowej, z posrebrzaną rączką w kształcie walca.

— Zrobiona jest z palisandru — rzekła siwa pani. — A palisander to bardzo mocne drzewo.

— Mocne — ucieszył się.

— Jest wytworna i stylowa. Przed sześćdziesięciu laty uważano ją za szczyt elegancji.

— Przed sześćdziesięciu laty... — westchnął.

— Laseczka posiada posrebrzaną rączkę. Niekiedy rączka odkręca się i ukazuje wydrążenie, gdzie można trzymać, na przykład, koniak. Bywają laseczki, z których za pociśnięciem rączki wyskakuje sztylet. Ta, niestety, jest najzwyklejszą laseczką. Rączka, jak pan sam widzi, nie odkręca się. Nie ma także mechanizmu uruchamiającego sztylet. Zakończenie jest tępe i nieruchome.

— Wydaje mi się rzeczywiście bardzo wytworna i stylowa — zgodził się Henryk. I dodał: — Interesujące byłoby wiedzieć, do kogo kiedyś należała i kto paradował z nią po ulicach.

— O tak. To byłoby bardzo ciekawe — uśmiechnęła się siwa pani. — Oddał ją nam w komisową sprzedaż pan magister Jan Rykiert. Mieszka na Piotrkowskiej w tym wysokim domu z dużymi oknami. Wie pan, gdzie to jest, prawda?

Henryk uprzejmie skinął głową. A wówczas wyjaśniła, że mgr Jan Rykiert jest historykiem sztuki i sklep Desy pozostaje z nim w dość ścisłych kontaktach, albowiem Rykiert niekiedy dostarcza im do sprzedaży wartościowe antyki. Siwa pani wypowiadała się o tym bardzo oględnie, Henryk od razu pojął, iż magister Rykiert po prostu handluje antykami, lecz czyni to w sposób nieoficjalny, aby nie płacić podatku dochodowego.

— Pan Rykiert zapewne bardzo chętnie udzieli panu wszelkich informacji o palisandrowej laseczce — zakończyła siwa pani.

Zapłacił w kasie 500 złotych i stał się posiadaczem ciemnowiśniowej laseczki. Trzymając ją dwoma palcami, pomaszerował do redakcji, a wieczorem zasiadł z nią w kawiarni.

— Henryk coraz bardziej dziwaczeje — powiedział poeta Marek. I dodał, że wolałby kupić w Desie jakiś ładny obraz niż najładniejszą laseczkę.

Henryk przytaknął. Obraz to oczywiście przedmiot znacznie potrzebniejszy niż laseczka, ale chyba nie dla każdego. Pomyślał: „Posiadam w domu kilka obrazów, a przecież to nie ułatwia mi wędrówki do domu".

Julia roześmiała się głośno.

— Sądziłam, że Henryk nareszcie stanie się nowoczesnym mężczyzną. Podobno zaczął składać pieniądze na samochód. A tu macie, zamiast samochodu pojawia się laseczka. Jak traktować takiego mężczyznę?

Henryk uśmiechnął się bezradnie. Julia dała mu kiedyś do zrozumienia, że jeśli kupi samochód, gotowa jest z nim odbywać samochodowe podróże i będą razem, o czym zawsze marzył i czego bardzo pragnął.

— Laseczka nie jest specjalnie droga — odezwał się nieśmiało. — Zapłaciłem za nią tylko pięćset złotych.

— Pięćset złotych? — krzyknęła oburzona Julia. — Pięćset złotych na zbędny i na nic nieprzydatny przedmiot? Boże drogi — pałała szczerym gniewem — wyjść za mąż za takiego człowieka to chyba największe nieszczęście. Jada obiady w najgorszej stołówce, nosi wytarty kapelusz i stare rękawiczki, a kupił laseczkę za pięćset złotych!

Henryk już się nie uśmiechał. Było mu bardzo przykro.

24 maja

Laseczkę dał do odświeżenia. Stała się jeszcze ładniejsza — rączka połyskiwała srebrem, a palisandrowe drzewo błyszczało ciemnowiśniową politurą. Żelazny czubek głośno postukiwał na płytkach chodnika, gdy późnym wieczorem jak co dzień przemierzał pustą ulicę obok Starego Cmentarza.

Wieczór był ciepły, majowy. Spoza wysokiego muru napływała gęsta i odurzająca woń rozkwitającego bzu. Ogromną połać Starego Cmentarza porastały gęste krzewy, okrywające zapadnięte groby i walące się pomniki. Tam, pośród gęstwy splątanych gałęzi, kwitnących teraz i wydzielających zapach silny i odurzający — skakały króliki, włóczyły się zdziczałe psy i biegały gromadki łobuzów. Niektóre z tych gromadek tworzyły jakby bandy, którymi dowodził najsilniejszy.

Bliżej jednak Henryk nic nie wiedział o życiu wyrostków ze Starego Cmentarza. Znał ich tylko z dorywczych obserwacji, z tego, co dostrzegł z okna, co zobaczył w codziennych wędrówkach z domu i do domu. Na ulicy spotykał ich, gdy dziurami w murze opuszczali cmentarz i rozchodzili się na swoje strony. Byli to na ogół dwudziestoletni chłopcy i tyleż chyba lat liczące dziewczęta. Wśród nich jedna wydała się Henrykowi szczególnie interesująca — wysoka i bardzo zgrabna, o puszystych czarnych włosach. Mniej była niż inne krzykliwa, a chyba ładniejsza. Jej czarne włosy nieodparcie sprowadzały mu na pamięć czytaną w dzieciństwie powieść odcinkową pod tytułem *Czarna Mańka*, o królowej bałuckich złodziejaszków. Ta, być może, miała na imię Zosia, Henia lub Stefka i nie królowała na Starym Cmentarzu. Mimo to, ilekroć ją widział, zawsze budziła jego ciekawość i wspomnienie tamtej z powieści.

... Pachniało bzami. Uzbrojony w laseczkę pozwolił sobie Henryk na krótki spacer, tak aby płuca przesycone kurzem miasta mogły odetchnąć świeżym powietrzem. Uliczka była cicha i bezludna, z rzadka oświetlona staroświeckimi lampami gazowymi. Wyparte ze śródmieścia przez jarzeniówki, jakby

w przeszłość cofały przechodnia. Tutaj laseczka wydawała się mniej staroświecka.

Nagle spoza muru doszedł Henryka głośny śmiech, a po chwili z dziury w murze odległej o kilkanaście metrów wybiegła dziewczyna w jasnym płaszczyku. Za nią wyskoczył chłopak, dogonił ją i chwycił za rękę. Poczęli rozmawiać ze sobą głośno, gwałtownie. Henryk pojął, o czym mówili, dopiero gdy znalazł się bliżej. Wówczas także spostrzegł, że znowu spotkał dziewczynę, która tak często zaprzątała jego uwagę. Chłopca nie znał, a może po prostu dotąd nie utrwalił go sobie w pamięci.

— Pójdziesz! Obiecałaś, więc musisz pójść — wołał z coraz większym rozdrażnieniem wysoki chudy chłopak ostrzyżony na jeża.

Odpowiedziała śmiechem i poczęła wyszarpywać rękę z jego dłoni. Złapał ją więc oburącz i chyba ścisnął boleśnie, bo krzyknęła, a potem zaczęła powtarzać:

— Nie! nie! nie! nie!...

— Pójdziesz! Zobaczysz, że pójdziesz!

Szarpnął ją, potem popchnął. Nie miała dość siły, żeby wyrwać mu dłoń. Znowu ją popchnął, powtarzając: — A właśnie że pójdziesz!

Henryk pomyślał: „Nie należy się wtrącać, oni są chyba z tej samej bandy, najpewniej właśnie takie mają obyczaje, brutalnie załatwiając jakieś własne sprawy. Wtrącę się, a obydwoje obrócą się przeciw mnie".

— Odczep się, bo zawołam o pomoc — zagroziła dziewczyna.

Chłopak puścił jej rękę, uderzył dziewczynę w plecy. Potem znowu złapał jej dłoń i popchnął. Nic już nie mówił, tylko popychał i szarpał.

Henryk pomyślał: „Chłopak jest chyba silniejszy ode mnie, zapewne za murem cmentarnym kryją się jego koledzy. Najlepiej przejść mimo nich, jak bym niczego nie widział i nie rozumiał. Za pięć minut będę w swoim mieszkaniu i może nareszcie napiszę artykuł, o którym myślę od dawna. A może właśnie nie napiszę, ponieważ będę się zastanawiał, czy słusznie uczyniłem mijając ich, jak bym niczego nie widział i nic nie rozumiał?".

— Puść! Słyszysz? Puść! — krzyknęła dziewczyna. — Proszę pana! — zawołała w stronę Henryka. — Proszę pana — powtórzyła błagalnie.

Przystanął.

— Puść ją! Puść ją natychmiast — rzekł wspierając się na laseczce.

Chłopak nie wypuścił jednak dłoni dziewczyny. Tyle tylko, że obrócił się twarzą do Henryka i obrzucił go rozgniewanym spojrzeniem.

Dziewczyna szarpnęła się raz jeden i drugi. Wreszcie wydarła mu rękę. Wtedy odskoczyła kilka kroków.

— Co się pan mieszasz? Uważaj na szkła, bo ci z nosa spadną — rzekł wolno chłopak. Zdążył już chyba dostrzec, że przeciwnik jego nie wygląda na siłacza.

Henryk obronnym gestem podniósł do góry laseczkę.

— Zabierz ten patyk — wrzasnął tamten.

I szybkim ruchem chwycił dłonią koniec laski. Szarpnął, żeby ją złamać lub wyrwać mu z ręki. Henryk ścisnął silniej srebrną rączkę. Raptem rozległ się jakby suchy trzask, chłopak zatoczył się pod mur cmentarny. W dłoni trzymał drewnianą pochewkę, Henrykowi zaś pozostał w ręku długi i ostry jak żądło sztylet, którego rękojeść stanowiła srebrna rączka laseczki.

Henryk uczynił krok naprzód. Wówczas chłopak porzucił drewnianą pochewkę. Jak przestraszony kot uciekł pod mur i skrył się w dziurze.

Henryk przyklęknął i podniósł z chodnika porzuconą pochewkę. Drżącymi ze zdenerwowania palcami nasunął ją na sztylet. Rozległ się suchy trzask. To jakaś sprężynka związała silnie pochewkę ze srebrną rączką sztyletu. Znowu trzymał w dłoni już tylko ciemnowiśniową laseczkę z palisandru.

Uśmiechnął się. Ten uśmiech zobaczyła stojąca obok dziewczyna. On ją ośmielił, bo rzekła cicho, ale z wyraźnym podziwem:

— To z pana taki facet? No, no, no...

Henryka ogarnęło przyjemne uczucie zwycięstwa. Wydało mu się, że nagle okazał się kimś innym, niż był dotychczas.

— No, no, no... — powtórzyła dziewczyna.

Niedbale wzruszył ramionami.

— Nie lubię, jak mnie zaczepiają — powiedział.

— Napędził mu pan stracha. Uciekł jak szczur.

— Co to za jeden?

— Na imię ma Lolek. Dowodzi swoją paką. Taki tam... smarkacz — dodała.

— A pani należała do jego paki? I nie chciała pani wykonać jego rozkazu?

— Ja? Do jego paki? — zaśmiała się wzgardliwie. — To przecież smarkacz, ma dziewiętnaście lat.

— A pani?

— Dwadzieścia dwa.

— Wygląda pani na siedemnaście.

— Nie zależy mi na tym.

Skinął głową. Oczywiście, teraz jeszcze jej na tym nie zależało. Spojrzał na nią uważniej: tak, wydawała się najwyżej siedemnastoletnią dziewczyną, a to dzięki drobnym i subtelnym rysom twarzy. W ogóle była dość drobna i szczupła. „Jest śliczna" — skonstatował raz jeszcze.

Spytała:

— Pan pewnie mieszka w tym wielkim bloku na końcu ulicy? Czy mogę pana odprowadzić?

— Mnie? — oburzył się Henryk. — To ja panią odprowadzę. Znowu ktoś tu na panią napadnie.

— To się więcej nie powtórzy. Lolek zaskoczył mnie. Nigdy nie sądziłam, że jest taką świnią. Chciał, żebym należała do jego paki, ale nic z tego nie wyjdzie.

Stuknął laseczką o płytę chodnika.

— Gdzie pani mieszka?

— W śródmieściu.

— Odprowadzę panią do tramwaju — zdecydował i zawrócił w stronę miasta. Poszła za nim posłusznie, a po kilku krokach wsunęła mu dłoń pod ramię. „Proszę, jaka swobodna — pomyślał. — Ma chyba wprawę w zaczepianiu mężczyzn na ulicy". I zrobiło mu się żal, że jest taka ładna i taka łatwa.

Jak by odgadła myśli Henryka. Rzekła:

— Pan pewnie nie zawiera znajomości na ulicy?

Powtórzyła z lekką drwiną:

— Pan nie z takich, co zawierają znajomości na ulicy?

— Nie z takich — rzucił ze złością, bo rozgniewała go ta drwina.

— Pan z takich, co to muchy nie umieją skrzywdzić. Pan lubi spacerować, podpierać się laseczką. Pan pewnie do teatru chodzi, z pięknymi kobietami siedzi w kawiarni, a potem wieczorkiem z pańskiej laseczki w cichej uliczce wyskakuje...

— Psssst! Cicho! — położył palec na ustach.

— Dobra, dobra — rzekła. — U mnie to jak w grobie.

Brała Henryka za jakiegoś rzezimieszka-eleganta z brukowej powieści. Henryk także przedstawiał ją sobie jako Czarną Mańkę. To nawet było chyba bardzo zabawne, że obydwoje mieli tak prymitywne wyobrażenie o świecie — zdał sobie sprawę. Oczywiście tylko on był tu śmieszny, bo od niego należało nieco więcej wymagać.

— Posłuchaj mnie, mała — odezwał się poufale. Zapewne tak właśnie powinien powiedzieć Mackie Majcher. — O laseczce zapomnij. W ogóle najlepiej zapomnij o incydencie na ulicy.

— O czym? — spytała.

— O tym, co się stało.

— Przecież nic się nie stało!

— Ale mogło się stać. O mały figiel, a tego Lolka bardzo bym skrzywdził. Ty mu to powtórz. Powiedz mu, że mi go żal, on jednak sam sobie winien. Na przyszłość niech się ode mnie trzyma z daleka. On i ta jego paka. I w ogóle... wszystkie tutejsze paki — zabezpieczył się na wszelki wypadek.

Bardzo poważnie przyjęła jego słowa. Kiwnęła głową, że wie, o co chodzi.

Henryk ujął laseczkę w dwa palce i zrobił nią kilka młyńców. Wypadło to zupełnie nieźle, choć tylko raz widział *Operę za trzy grosze* i niezbyt dokładnie zaobserwował, jakie ruchy laseczką wyczyniał Mackie Majcher.

Zbliżyli się do pierwszych domów miasta. Skręcili w przecznicę, gdzie znajdowała się pętla tramwajowa.

Zagadnął dziewczynę:

— Co pani robi?

— Jestem wolna — ucieszyła się, jak by od dawna oczekiwała na to pytanie. — Jeśli pan chce, możemy iść do lokalu potańczyć...

— Nie to miałem na myśli. Pytałem, kim pani jest? Gdzie pani pracuje, z czego pani żyje?

Znowu zaśmiała się wzgardliwie. Jak wówczas, gdy zapytał o Lolka.

— A pan co? Apostoł? Z czego żyję? Z przyzwyczajenia, proszę pana.

— Dobra, dobra, mała — załagodził. — Nie chcesz mówić, to nie. No cześć, żegnaj — podał jej rękę.

Na pustej ulicy obok Starego Cmentarza pachniało bzami. Jak by jeszcze mocniej i upojniej. Laseczka postukiwała na płytach chodnika. Henryk szedł i nucił piosenkę o Mackie Majchrze:

Jenny Towler znaleziono
Z nożem w piersiach, ale cóż,
Mackie Majcher spaceruje
i nikt nie wie, czyj był nóż.

25 maja

Laseczka miała tajemnicę. Nie kryło się w niej wydrążenie, w którym można by było nosić koniak. Za dotknięciem zamaskowanej sprężynki nie wyskakiwał sztylet. Tajemnicę zdradzało tylko szarpnięcie za czubek laski. Nie skutkowało wyciąganie rączki, kręcenie nią — jedynie gwałtowne szarpnięcie uruchamiało ukryty wewnątrz zatrzask, oddzielając palisandrową pochewkę od rączki z długim ostrzem. Dlatego nawet w Desie nie odkryto tajemnicy, choć, być może, próbowano poruszać rączką i szukano ukrytych sprężynek. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, aby po prostu szarpnąć.

Sztylet był długim na pół metra starym bagnetem rosyjskim. Jego wąziutkie klingi schodziły się w ostry i cienki jak igła koniec. Rana zadana tym narzędziem miała kształt krzyża i goiła się bardzo powoli.

Zastanawiała niezwykła staranność, z jaką ostrze bagnetu osadzono w srebrnej rączce, dorabiając precyzyjny zatrzask, wydrążając pochewkę i wnętrze jej wykładając metalem.

Nie opuszczało Henryka przypomnienie Brechtowskiego bohatera — Mackie Majchra, króla londyńskich rzezimieszków, spacerujących po ulicach ze sztyletem schowanym w lasce. O podobnym królu złoczyńców, władającym na Bałutach w Łodzi, czytał kiedyś Henryk w jakiejś książce. Ów król łódzkich bandytów zwał się „Josif", a później „Oczko". Tak samo jak Mackie Majcher, nosił Oczko elegancką laseczkę, kryjąc w niej śmiercionośne narzędzie.

Henryk patrzył na ostry jak igła bagnet i nie potrafił uciec od nieprzyjemnego pytania: czy ostrze to zagłębiało się już w ciele ludzkim? W jakże przedziwnych i chyba strasznych sytuacjach wyciągano je z ciemnowiśniowej pochewki? Kiedy to było? Kto nosił dziwaczną laseczkę?

Wracały ciągle te same pytania bez odpowiedzi. Lecz Henryk był już świadomy, że jeśli uda mu się poznać historię laseczki, zainteresuje ona czytelników pisma, w którym pracował. Palisandrowa laseczka okazałaby się wówczas pomocną nie tylko w wędrówkach po pustej ulicy obok Cmentarza. Stałaby się także **tematem**.

28 maja

Tego dnia w redakcji Henryk niespodziewanie otrzymał telefon od Julii.

— Henryku — mówiła Julia — od tamtej chwili, gdy przyszedłeś do kawiarni ze swoją laseczką, prześladuje mnie uczucie, że byłam dla ciebie niesprawiedliwa. Każdy z nas ma przecież prawo do odrobiny dziwactw. Nawet jeśli to są kosztowne dziwactwa, takie jak twoja laseczka. Chcę ci wynagrodzić wyrządzoną przykrość. Pomyślałam, że przyjęcie zaproszenia na spędzenie wieczoru u ciebie nie przyniesie mi ujmy. Jesteś wprawdzie dziwacznym, ale bardzo dobrym i porządnym człowiekiem. Jeśli więc nic nie zmieniło się w twym stosunku do mnie...

— Tak, tak, tak, Julio — wołał gorąco do telefonu. I powiedział do słuchawki wiele ciepłych słów. A gdy skończyli rozmowę, czuł się bardzo szczęśliwy.

Julia była ładna. Henryk lubił obrazy, które malowała w swej pracowni na najwyższym piętrze jednego z nielicznych wysokościowców w Łodzi. Łączyli ich wspólni znajomi, spotykali się z nimi prawie codziennie w tej samej kawiarni. Nie nudził się z Julią i jeśli dotąd nie przekroczyli progu przyjaźni, to tylko z jej winy. Zapewne nie dosyć się jej podobał.

Umówił się z Julią o piątej po południu w malutkiej kawiarni na ulicy Moniuszki. Później mieli pójść razem do Henryka.

Gdy skończył pracę w redakcji, pozostało mu dość czasu na zrobienie zakupów, chciał bowiem przyjąć Julię kolacją. Wydawało mu się, że zdąży jeszcze odwiedzić magistra Rykierta, który mieszkał na ulicy Piotrkowskiej.

Był to duży, czteropiętrowy dom z dwiema długimi oficynami. Mieszkanie Rykierta znajdowało się na pierwszym piętrze w prawej oficynie. Henryk dotknął guziczka dzwonka. Raz, a potem drugi, bo wydało mu się, że dzwonek jest nieczynny. Wreszcie nacisnął klamkę i drzwi otwarły się z głośnym skrzypnięciem. Wówczas, gdzieś z głębi mieszkania, usłyszał odgłos energicznych, zbliżających się kroków.

Ktoś szerzej odemknął uchylone drzwi. Henryk widział tylko sylwetkę jakiegoś mężczyzny, ponieważ korytarzyk w mieszkaniu był prawie zupełnie ciemny.

— Słucham pana? O co chodzi? — zabrzmiały dwa ostro wypowiedziane pytania.

— Chciałbym porozmawiać z magistrem Rykiertem — powiedział Henryk.

— O czym chce pan rozmawiać? — znowu padło pytanie. Mężczyzna w mroku korytarzyka cofnął się do tyłu. Henryk uznał to za gest zapraszający i przestąpił próg mieszkania.

— Kupiłem w Desie przedmiot, który sprzedał magister Rykiert, i pragnę uzyskać pewne informacje — zaczął wyjaśniać.

— Słucham pana. O jaki przedmiot chodzi?

Henryk zwlekał z odpowiedzią, gdyż nieznajomy nie przedstawił mu się. Tamten natychmiast zrozumiał tę zwłokę.

— Proszę, może pan wejdzie dalej, do pokoju — rzekł, otwierając jakieś drzwi. — Przepraszam, że nie zapalam światła, a w pokoju jest również mroczno. Miałem wypadek samochodowy, doznałem obrażeń głowy i oczu, teraz przechodzę rekonwalescencję.

— Nie zajmę panu dużo czasu — zastrzegł się Henryk.

Okno w pokoju zasłaniały story. Mimo mroku udało mu się spostrzec, że pokój jest prawie pusty i tylko pod ścianą, obok dużej kanapy stały dwa fotele, a pod drugą ścianą, na niskiej sofce, leżało kilka wiązanek już chyba zwiędłych kwiatów. Zobaczył je, bo uderzył go zapach duszny i nieprzyjemny, więc bezwiednie szukał jego źródła. „Nie, to nie kwiaty" — pomyślał, bo teraz wyczuł jakby woń kadzidła, a może spalonych świec.

— Proszę, niech pan siada — powiedział do Henryka i sam zasiadł pierwszy w jednym z foteli obok kanapy.

Henryk przykucnął w drugim fotelu. Oddaleni od siebie tylko o krok, zaledwie rozróżniali owale twarzy. W półmroku pokoju były one tylko jaśniejszymi plamami.

Henryk wyjął z kieszeni swoją skórzaną papierośnicę.

— Dziękuję, nie palę.

— Kupiłem w Desie laseczkę palisandrową, ciemnowiśniową. Okazało się, że jest w niej ukryty sztylet, a raczej długi bagnet.

— Tak — stwierdził bez zdziwienia mężczyzna.

— Zainteresowało mnie pochodzenie laseczki. Pomyślałem, że historia tak dziwnego przedmiotu może być ciekawa i bardzo interesująca. Chciałbym poznać nazwiska poprzednich właścicieli laseczki i dlatego przyszedłem do pana...

Urwał. Mdlący zaduch w pokoju przyprawił Henryka o mocniejsze bicie serca.

— Czy mógłby mi pan dopomóc w poznaniu tej historii? — zakończył prawie szeptem.

Tamten dotknął palcami swego czoła.

— Nie wiem... Nie wiem — powtórzył trochę nieprzytomnie. — Powiem panu, tak, powiem. Teraz nic nie pamiętam. Źle się czuję. Może innym razem pan przyjdzie? Przypomnę sobie. Mówiłem panu, miałem wypadek samochodowy. Przepraszam pana, bardzo źle się czuję. Może innym razem będę pamiętał...

Mówił bezładnie, gorączkowo, jak człowiek bardzo chory.

— Przepraszam pana — Henryk podniósł się z fotela. — Rzeczywiście, może będzie lepiej, jeśli przyjdę innym razem.

Ruszyli do drzwi. Gościnnie wyprzedził Henryka i otworzył je na oścież. Wówczas z klatki schodowej wpadło do wnętrza nieco światła. Tamten natychmiast cofnął się jednak w mrok tak szybko, że Henryk nie zdążył zobaczyć jego twarzy. Spostrzegł tylko, że nosi czarny garnitur i białą koszulę. W górnej kieszonce miał białą chusteczkę.

Powiedział jeszcze:

— Żałuję, bardzo żałuję. Może później? Potem...

Trzasnęły drzwi. Henryk zbiegł szybko po schodach wydychając z siebie przykry zapach pokoju. Na podwórzu zerknął na zegarek i z przestrachem stwierdził, że choć wizyta u Rykierta nie trwała więcej niż dziesięć minut, to jednak spóźnił się już na spotkanie z Julią.

Prawie pobiegł ulicą. Dopadł autobusu i przyjechał przed kawiarnię. Lecz Julia już czekała.

Na widok Henryka odłożyła gazetę i uśmiechnęła się pobłażliwie. Był zziajany, zdenerwowany. Przepychając się do Julii między ciasno ustawionymi stolikami o mało nie wylał kawy na kolana jakiejś pani.

— Przebacz mi, Julio — prosił przysiadając na brzeżku krzesełka. — Najpierw robiłem zakupy, a potem zupełnie niepotrzebnie poszedłem do magistra Rykierta.

— Rykierta? — zapytała, jak by coś sobie przypominając.

— On sprzedał Desie laseczkę. Wyobraź sobie, że laseczka moja jest niezwykle interesująca. Zawiera szpadę, a raczej bagnet. Poszedłem więc do owego Rykierta, aby wywiedzieć się o jej przeszłość.

Julia zacisnęła usta. Przerwała Henrykowi wpół słowa.

— Ktoś tutaj bardzo się do ciebie uśmiecha. Co to za panienka?

Obejrzał się. Zobaczył dziewczynę, którą z przykrej sytuacji uratowała jego laseczka. Dziewczyna siedziała na kanapce pod ścianą w otoczeniu kilku dziewcząt dość swobodnie i krzykliwie rozmawiających.

— Nie znam tej pani — powiedział nieszczerze.

— Czemu więc raz po raz zerka w naszą stronę i uśmiecha się porozumiewawczo?

— Nie wiem. Może jej się podobam — zauważył. — Nie jesteś chyba zazdrosna, Julio?

— A jednak uśmiecha się do ciebie, jakby cię znała bardzo dobrze. Nie lubię głupich sytuacji. Jeśli ją znasz, zaproś ją do naszego stolika. Panienki, które z nią siedzą, wyglądają niezbyt zachęcająco; ich profesja jest, zdaje się, niedwuznaczna. Nigdy nie przypuszczałam, że posiadasz wśród nich swoje znajome.

— Nie znam tej pani, Julio. Mówmy o czym innym.

— Dobrze, mówmy o czym innym — zgodziła się.

Odwrócił się plecami do dziewczyny. Był jednak tak zdenerwowany, że nie potrafił skleić zdania.

— Mówiłeś o odwiedzinach u człowieka nazwiskiem Rykiert — powiedziała Julia.

— Byłem u niego — chwycił się podsuniętego mu tematu. — Przyjął mnie w ciemnym pokoju, w jego mieszkaniu okropnie śmierdziało, myślałem, że się uduszę. Zapytałem go o laseczkę, a on: „nie wiem... nie wiem... nic nie pamiętam... może pan przyjdzie innym razem". Zachowywał się jak człowiek bardzo chory, a jednocześnie zauważyłem na nim wizytowy czarny garnitur.

— Rozmawiałeś z nim? Z Rykiertem? — pytanie Julii było trochę dziwaczne, bo przecież właśnie o tym opowiadał.

— Rozmawiałem, Julio.

— Kiedy to było?

— Przed kilkunastoma minutami. Właśnie od niego wracam.

— Od Rykierta?

— Tak. Od magistra Jana Rykierta — wyjaśnił cierpliwie.

Julia znowu zacisnęła usta. Rozgniewana zgniotła zaledwie zaczętego papierosa.

— Henryku — powiedziała cicho, ale z naciskiem. — Pokazałeś mi się z zupełnie dotąd nie znanej strony. Cieszę się, że stało się to właśnie dzisiaj, zanim zdecydowałam się na coś, czego mogłabym później żałować. Nie przypuszczałam, że potrafisz być kłamcą. Na przyszłość jednak radzę ci, abyś kłamał bardziej umiejętnie.

Wstała. Henryk również się zerwał.

— Julio, co się stało? Zupełnie nie rozumiem!

— Rozmawiałeś z Rykiertem? A więc posiadasz cudowną zdolność nawiązywania kontaktów z ludźmi, którzy od trzech dni nie żyją. Uważam, że powinieneś w jakiś sensowny sposób wykorzystać tak niezwykłą umiejętność.

— Julio!... — zawołał.

Stuknęła palcem w porzuconą na stoliku gazetę.

— Tu jest wydrukowany nekrolog magistra Jana Rykierta.

To mówiąc wyszła z kawiarni.

Henryk długą chwilę stał nieruchomo. Patrzył w ślad za Julią, dopóki nie zniknęła za zamkniętymi drzwiami. Później spojrzał na nekrolog:

MAGISTER JAN RYKIERT ZMARŁ NAGLE DNIA 25 MAJA... POGRZEB ODBĘDZIE SIĘ 28 MAJA NA CMENTARZU KOMUNALNYM...

Usiadł. Przeczytał jeszcze raz cały nekrolog. Dziś był właśnie 28 maja. Dzisiaj na Cmentarzu Komunalnym chowano do grobu trumnę ze zwłokami magistra Jana Rykierta — **historyka sztuki** — jak wyraźnie dojrzał przy powtórnym czytaniu.

Czy możliwe, żeby w Łodzi mieszkało aż dwóch Janów Rykiertów, magistrów i historyków sztuki? A jednak tak właśnie było i ten dziwaczny zbieg okoliczności fatalnie zaważył na spotkaniu z Julią.

— Odeszła. A jaką miała wściekłą minę — za plecami Henryka odezwała się dziewczyna.

Nie odpowiedział, ale jej to nie zraziło. Spytała, czy może się przysiąść, a choć i tym razem nic nie odrzekł, usiadła.

Henryk z trudem pohamował wściekłość.

— Pani jest bardzo źle wychowana. Nie znamy się aż na tyle, aby przesyłała mi pani uśmiechy, gdy siedzę w towarzystwie kobiety.

— Fiuuuu! — gwizdnęła tak głośno, że przy sąsiednich stolikach na chwilę przerwano rozmowy. — To takie buty? To ona przeze mnie wyszła z kawiarni? Miała minę zdetronizowanej królowej.

— Proszę o niej w ten sposób nie mówić.

Pokiwała głową:

— Panu się wydaje, że pan ją kocha.

— Nie rozumiem, co to panią obchodzi? — odezwał się niegrzecznie. — Ta pani odeszła nie dlatego, że pani się do mnie raczyła uśmiechać. Wydałem się jej oszustem i kłamcą. Sprawił to fatalny zbieg okoliczności.

— Wszyscy mężczyźni zawsze tłumaczą się fatalnym zbiegiem okoliczności...

— Nie kłamałem, nie oszukiwałem. Rzeczywiście zbieg okoliczności uczynił, że wydałem się kłamcą. Jasne?

— Nie bardzo...

— Przed dwudziestoma minutami byłem u pewnego magistra i historyka sztuki, Jana Rykierta. Rozmawiałem z nim i treść rozmowy powtórzyłem pani, z którą przed chwilą siedziałem. Traf zdarzył, że właśnie dzisiaj jest pogrzeb człowieka nazwiskiem Jan Rykiert, również magistra i historyka sztuki. Moja znajoma przeczytała nekrolog w gazecie i zbyt pochopnie wywnioskowała, że kłamię. Czy teraz już pani wszystko rozumie?

— Nie bardzo.

— A cóż tu niejasnego?

— Dwóch Rykiertów? Janów? Magistrów? Historyków sztuki? — zadrwiła.

— A jednak tak właśnie się zdarzyło — wzruszył ramionami.

— Nie dziwię się tej pani, że odeszła. Nikt nie chce, żeby z niego robić wariata.

— Zbieg okoliczności.

— W dużym mieście może mieszkać nawet dziesięciu Rykiertów i do tego pięciu Janów. Ale, żeby było dwóch magistrów i historyków sztuki? A może pan dzisiaj źle się czuje? — spytała troskliwie.

Uderzył dłonią w szklaną powierzchnię stolika.

— Pójdziemy. To niedaleko stąd. Zobaczy pani tabliczkę z napisem „Jan Rykiert, magister, historyk sztuki". Ten człowiek żyje, proszę pani, i dzisiaj ze mną rozmawiał.

— A wieczorem pójdziemy potańczyć, dobrze? — zaproponowała.

Nie odpowiedział. Wyszli z kawiarni. Ona uśmiechnięta i zadowolona, on — ponury, milczący, zdecydowany przekonać cały świat, że istniało dwóch Janów Rykiertów, magistrów i historyków sztuki.

Minęli podwórze. Wspięli się na pierwsze piętro. Przystanęli przed drzwiami z mosiężną tabliczką. Henryk dwa razy nacisnął dzwonek, potem zapukał, a wreszcie ujął za klamkę. Teraz jednak drzwi nie ustąpiły.

Znowu zapukał. Potem jeszcze raz, i jeszcze raz. Coraz głośniej, gwałtowniej.

Otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania i na korytarz wyjrzała gruba blondynka w szlafroku.

— Pan do kogo? — spytała.

— Do pana Rykierta.

— Umarł, proszę pana. Dzisiaj jest jego pogrzeb.

— Ja do żywego pana Rykierta — wyjaśnił.

Popatrzyła bardzo podejrzliwie.

— Tu mieszkał tylko jeden Rykiert. Magister. W tej chwili odbywa się jego pogrzeb. Na komunalnym go chowają.

— Proszę pani — zaczął wyjaśniać. — Byłem tutaj przed pół godziną. Otworzył mi drzwi jakiś mężczyzna. Spytałem o pana Rykierta, bo nie wiedziałem o jego śmierci. Ów mężczyzna przyjął mnie w tym mieszkaniu jako Jan Rykiert, magister. Teraz zupełnie nic nie rozumiem. Myślałem, że jest dwóch Rykiertów.

Blondynka w szlafroku zwietrzyła sensację. Wyszła na próg mieszkania i powiedziała:

— Przed trzema godzinami wyniesiono z mieszkania trumnę ze zwłokami. Na cmentarz pojechali wszyscy znajomi i siostra zmarłego. U mnie zostawiono klucze od mieszkania. A pan mówi, że tu ktoś był?

— Był — potwierdził. — Dwa razy zadzwoniłem, a ponieważ nie słyszałem dzwonka...

— Zepsuty — wtrąciła.

— Nacisnąłem klamkę i drzwi się otwarły. Usłyszałem kroki w mieszkaniu i w ciemnym korytarzyku zjawił się jakiś mężczyzna. Spytałem o pana Rykierta, wówczas zaprosił mnie do pokoju, w którym były okna zasłonięte storami. Rozmawiałem krótką chwilę i on mówił ze mną jako magister Jan Rykiert.

— To wszystko jest prawda — zgodziła się gruba blondynka w szlafroku. — Korytarz jest ciemny, a w pokoju okna mają zasunięte story. Ale mieszkanie jest zamknięte, nikogo w nim nie ma, a klucze są u mnie.

— Ten pan mówił, że przyjmuje mnie po ciemku, bo oczy go bolą. Miał wypadek samochodowy.

Pani w szlafroku kiwnęła głową.

— Pan Rykiert zginął w wypadku samochodowym.

Henryk zawołał:

— Rozmawiałem z nim! Przed chwilą! Przed pół godziną!

Blondynka czmychnęła do swego mieszkania. Wychyliła głowę zza drzwi i zawołała z przestrachem:

— On nie żyje! W tej chwili jest jego pogrzeb!

— Proszę pani... — zaczął. Ale nie pozwoliła mu skończyć.

— Niech pan nic nie mówi, błagam! — krzyknęła. I zwróciła się do dziewczyny, która wydała się jej osobą bardziej godną zaufania: — Może pani zechce chwileczkę zaczekać. Narzucę suknię i pobiegnę do dozorczyni. W domu nie ma nikogo, mąż poszedł na pogrzeb, a ja źle się czułam i zostałam. Przecież nie mogłam wiedzieć, że pan Rykiert — przeżegnała się — zacznie powracać do swego mieszkania.

Zniknęła. Henryk ujął dziewczynę za łokieć.

— Idziemy — zdecydował.

Blondynka znowu wyjrzała zza drzwi. Była już bez szlafroka, wychyliła się do pasa, ukazując brudnawy biustonosz i dużo białego, aż nieprzyjemnie białego ciała.

— Jeszcze chwileczkę, proszę państwa... Ja tu za nic nie zostanę sama. Chwileczkę, proszę państwa, zaczekajcie.

Zniknęła. Zbiegli po schodach, na ulicy udało im się zatrzymać taksówkę.

— Na Cmentarz Komunalny — Henryk rzucił kierowcy.

— Czyżby ciągle jeszcze nie wierzył pan w śmierć Rykierta? — zapytała dziewczyna.

— Wiem, że umarł. Lecz może spotkam na pogrzebie tego, który żyje?

Zrozumiała. Uśmiechnęła się, powiedziała:

— Pierwszoklaśna heca, co nie?

Henrykowi przyszło na myśl, że jednak chyba niepotrzebnie jadą na cmentarz. Cóż z tego bowiem, że ujrzy wszystkich uczestników pogrzebu, że, być może, spotka wśród nich człowieka, który przyjął go w mieszkaniu Rykierta, skoro zupełnie nie wie, jak ten człowiek wyglądał. Był w czarnym garniturze, w białej koszuli i z białą chusteczką w kieszonce. Lecz w takim stroju Henryk zobaczy na cmentarzu zapewne więcej osób. Prawdopodobnie rozpoznałby go po głosie. Czy zechce jednak odezwać się do Henryka? Przecież

Henryk nie zjawi się na cmentarzu oświadczając gromko: „Proszę państwa, przed niespełna godziną rozmawiałem z Rykiertem w jego mieszkaniu". Uznają go za wariata i zadzwonią po Pogotowie, które bez specjalnych formalności na wszelki wypadek zawiezie go do szpitala dla wariatów.

Niechętnie wysiadł z taksówki przed bramą cmentarza. Dziewczyna ujęła go pod rękę i poszli aleją rozglądając się na wszystkie strony i szukając gromadki ludzi stojącej wokół świeżo zasypanej mogiły.

Akurat trumnę spuszczano do dołu. W pogrzebie brało udział zaledwie kilkanaście osób, bez trudu więc przecisnęli się prawie nad krawędź grobu. Zdążył jeszcze zobaczyć pomalowane na brązowo deski trumny, kryjącej zwłoki człowieka, który sprzedał do Desy palisandrową laseczkę, i — jeżeli Henryk mógł ufać swoim zmysłom — przed godziną rozmawiał z nim w swym mieszkaniu.

Z głuchym łoskotem spadły na trumnę garści piachu. Pierwszą garść rzuciła chuda, drobna kobieta w czerni. Żona, a może siostra, bo właśnie o siostrze wspominała gruba sąsiadka. Henryk zanotował w pamięci twarze kilku dystyngowanych panów, prawdopodobnie kolegów zmarłego. Widział także kilka pań, może to były żony dystyngowanych panów? Lecz tylko jedna kobieta nosiła czarny strój, owa chuda i stara pani. Siostra — zdecydował.

Raptem dojrzał kogoś znajomego. Siwą panią z Desy. Trochę jakby się zdziwiła, zauważywszy Henryka na pogrzebie. Miała prawo sądzić, że nie dalej jak przed kilkoma dniami nazwisko zmarłego usłyszał od niej po raz pierwszy w życiu. Teraz zaś zjawił się na pogrzebie jak dobry znajomy nieboszczyka.

Grabarze zgarniali łopatami piach na trumnę. Pomyślał melancholijnie: „Zakopują także tajemnicę mojej laseczki".

Nadchodził wieczór. Usypano mogiłę, ludzie poczęli powoli ruszać w stronę bramy cmentarnej. Również siwa pani z Desy zdecydowała się opuścić cmentarz. Henryk poszedł za nią i w głównej alei ukłonił się.

— Jakie to smutne — rzekł — przed tygodniem poinformowała mnie pani o osobie magistra Rykierta. Chciałem mu złożyć wizytę. Nagle zaskoczyła mnie wiadomość o jego śmierci.

— I nie zdążył się pan z nim rozmówić — stwierdziła siwa pani. Pomyślała zapewne, że Henryk jest tak bardzo subtelnym osobnikiem, skoro poszedł na pogrzeb człowieka, któremu nie zdążył złożyć wizyty.

Powiedział:

— To był, zdaje się, nieszczęśliwy wypadek.

— Magister Rykiert jechał własnym samochodem i na niestrzeżonym przejeździe wpadł pod pociąg.

— Bardzo smutne... — przytaknął. — Wyobrażam sobie, jak tę wiadomość przyjęła jego małżonka.

— Był kawalerem. Oprócz siostry nie miał żadnych krewnych. Siostra przyjechała na pogrzeb z Warszawy.

Pożegnał ją na ulicy za bramą cmentarną. Siwa pani poszła na lewo, a on zaproponował dziewczynie ulicę na prawo. Wystarczyło minąć dwie przecznice, a wchodziło się na pole w pobliżu domu Henryka. Mieszkał bowiem w dzielnicy pustkowi i cmentarzy.

— Zjemy kolację — oświadczył dziewczynie potrząsając teczką, w której przez cały czas dźwigał wiktuały kupione z okazji zapowiedzianych odwiedzin Julii.

28 maja, wieczorem

— Jak pani na imię?

— Rosanna — odparła, zamykając drzwi łazienki. Umyła ręce, aby pomóc mu w przyrządzaniu kanapek.

— Teraz pani wymyśliła to imię czy trochę wcześniej?

— Czy to nie wszystko jedno? Chłopcy na Starym Cmentarzu mówią do mnie: Rosanna. Tam prawie każdy ma przybrane imię.

— Nie jestem chłopcem ze Starego Cmentarza. Najwyższa pora, uważam, aby pani była ze mną szczera.

— Co panu z tego przyjdzie?

— Musi się pani zdecydować: chce mi pani pomóc w wyjaśnieniu zagadkowej śmierci Rykierta?

— Chcę. Ale jakie znaczenie ma dla tej sprawy moje imię? Jeśli okaże się, że mam na imię Zosia, czy pomoże to panu rozwikłać zagadkę?

— Nie. Ale sądzę, że musimy być ze sobą szczerzy.

— Postaram się — rzekła bez przekonania.

— Kim pani jest? Czym się pani zajmuje?

— Pracuję w Domu Mody na Piotrkowskiej. Szyję. Ale od września mam zostać modelką.

— To jest pani największe marzenie?

— Owszem. A pan jakie ma marzenia?

— Na razie jedno. Żeby pani przestała mnie brać za jakiegoś gentlemana-włamywacza. Wystarczy rozejrzeć się po moim mieszkaniu, aby zorientować się, że jestem kimś zupełnie innym. Mam dość ładnie urządzone mieszkanie, ale pracowałem na to przez pięć lat. Myślę, że za dużo u mnie książek jak na włamywacza.

— Pan sądzi, że włamywacze nie mogą mieć w domu biblioteki?

— Nie wiem. Nie znałem żadnego włamywacza.

— Niech pan będzie spokojny. Wiem dobrze, kim pan jest i gdzie pan pracuje.

— Na pewno?

— Wiedziałam przecież, że pan mieszka w nowym bloku koło Starego Cmentarza. Wczoraj weszłam do dozorcy, powiedziałam, że mam dla pana list. Bez trudu wywiedziałam się wszystkiego, co chciałam.

— I nie straciła pani dla mnie zainteresowania?

— Trochę. Ale kiedy dzisiaj zobaczyłam pana w kawiarni z tą damą, pomyślałam, że szkoda pana dla takiej kobiety.

— Co ma jej pani do zarzucenia? To bardzo zdolna malarka.

— Wygląda na zarozumiałą. Nie lubię takich bab. Chciałam jej zrobić na złość i dlatego uśmiechnęłam się do pana. Potem zrobiło mi się pana żal i podeszłam do stolika.

Henryk pokrajał chleb, wyjął z teczki puszkę sardynek, paczkę herbatników w czekoladzie i butelkę wina.

— To wszystko dla niej, co? — kpiła, smarując chleb masłem.

Milczał. Zauważyła:

— Wolałby pan, żeby to ona była tu teraz, a nie ja?

Też nic nie odpowiedział.

— Ona jednak nie uwierzyła, że rozmawiał pan z Rykiertem.

— A pani!

— Wierzę.

— Dlaczego?

— Pan nie umie kłamać. Nie jest pan zdolny do wymyślenia podobnej przygody.

Poczuł się dotknięty.

— Niech pani wie, że napisałem kilka książek. Wszystkie były od początku do końca zmyślone.

— To nic nie znaczy. Na papierze może pan potrafi zmyślać. Ale w życiu jest pan naiwniutki i bardzo prawdomówny. Ja się znam na ludziach.

— Tak?

— Miałam dość ciężkie życie...

— Hm... — chrząknął.

— Niech się pan nie boi, nie będę panu opowiadała. Ale życie naprawdę znam na tyle, aby wiedzieć, że zdarzają się w nim sprawy najdziwniejsze.

— Do takich spraw zalicza pani moją rozmowę z Rykiertem?

— To się okaże — powiedziała z powagą.

To już była nie ta sama dziewczyna, którą Lolek szarpał na ulicy koło Starego Cmentarza. Kiedy zdjęła płaszcz, okazało się, że nosi skromną niebieską sukienkę z białym kołnierzykiem. Nie dostrzegał w niej owego wyzywającego prostactwa, które dotąd tak go raziło.

Załadowali jedzenie na tackę. Odkorkował butelkę z winem i przeszli z kuchni do pokoju. Usiadł na kanapie, a ona w fotelu przy niskim stoliku. Opowiedział jej o kupnie laseczki i wyjaśnił, dlaczego zaprowadziła go do Rykierta.

— Co pani myśli o tym wszystkim? — spytał.

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę, a wreszcie powiedziała:

— W duchy nie wierzę. Rykiert umarł. Więc człowiek, z którym pan rozmawiał w jego mieszkaniu, nie był Rykiertem.

— Dlaczego pani tak przypuszcza?

— Zgodnie z tym, co pan mi opowiadał, ten człowiek nie powiedział panu wyraźnie, że jest Rykiertem.

— Dał mi to jednak do zrozumienia.

— Z początku sądził, że pan zna Rykierta, a więc mistyfikacja mu się nie uda. Szybko jednak zorientował się, że pan nigdy Rykierta nie oglądał. Nie był jednak tego pewien aż do końca. Dlatego ani razu nie powiedział wyraźnie, że jest Rykiertem.

— Dlaczego nie powiedział wyraźnie: Rykiert umarł?

— W tym właśnie leży sedno zagadki. Korzystając, że wszyscy krewni i znajomi zmarłego pojechali na pogrzeb, nie znany nam człowiek w nie znanym nam celu wszedł do mieszkania zmarłego.

— Jeśli wierzyć sąsiadce, drzwi były zamknięte, a klucze znajdowały się w jej posiadaniu.

— Ów człowiek mógł mieć swoje klucze — odparowała dziewczyna.

— Zgoda — przyznał. — Dlaczego jednak, gdy zjawiłem się przed drzwiami mieszkania zmarłego, ów nie znany nam osobnik zamiast wyjaśnić po prostu: „pan Rykiert umarł" lub „nie ma pana Rykierta, proszę przyjść później", zaprosił mnie do pokoju i udawał Rykierta?

— Niech pan jeszcze raz dokładnie przypomni sobie początek rozmowy z tym człowiekiem.

— Pamiętam dobrze. „Słucham pana, o co chodzi" — rzekł do mnie ostro. „Chcę rozmawiać z magistrem Rykiertem" — powiedziałem. Wtedy on: „O czym pan chce rozmawiać". Wówczas począłem tłumaczyć, że nabyłem w Desie pewien przedmiot i chciałbym uzyskać o nim pewne informacje. „O jaki przedmiot chodzi?" — spytał, a gdy wahałem się, zaprosił mnie do pokoju.

— A właśnie. W tym sęk. To jest klucz do zagadki. Wygląda na to, że zaprosił pana dopiero wówczas, gdy usłyszał, że przyszedł pan po informacje w sprawie jakiegoś przedmiotu. Innymi słowy, pan go czymś zainteresował. To było dla niego tak ważne, że zamiast się pana pozbyć, zdecydował się na mistyfikację, na przedstawienie siebie jako Rykierta.

— Nic nie rozumiem — westchnął Henryk.

— Ależ to proste. Ten człowiek po coś przyszedł. Przypuśćmy, że zakradł się do mieszkania, aby coś zabrać. Może zegarek, pieniądze, złotą bransoletę, futro, radio? Nagle do mieszkania, po którym plądruje ten facet, włazi jakiś osobnik, czyli pan. Co on powinien zrobić? Spławić pana jak najszybciej, żeby móc dalej plądrować. Czy tak uczynił? Nie. Usłyszawszy, że przyszedł pan po informacje w sprawie jakiegoś przedmiotu, zaprosił pana do środka. Ba, podał się nawet za Rykierta, byle tylko dowiedzieć się, co to za przedmiot. Postąpił wbrew logice złodziejskiej. Nie był to więc złodziej w zwykłym tego słowa znaczeniu. To był człowiek, który szukał czegoś w mieszkaniu zmarłego. Szukał, lecz nie mógł znaleźć. Nagle zjawił się pan. Zaprosił pana, bo liczył, że to, czego się od pana dowie, może mu pomóc w szukaniu. Pan mu powiedział o laseczce. I co wówczas nastąpiło?

— Facet stracił dla mnie zainteresowanie. Dał mi do zrozumienia, abym sobie poszedł.

— Innymi słowy, laseczka nie była przedmiotem, którego szukał.

— Pani byłaby doskonałym detektywem — zawołał.

Wypili po kieliszku wina. Wywód dziewczyny rzeczywiście wydał mu się bardzo logiczny. Ambicja Henryka jednak nieco ucierpiała, bo to chyba on, a nie ona, powinien wysnuć podobne wnioski. Wypił znowu kieliszek wina i powiedział:

— Moim zdaniem, wypadek samochodowy został upozorowany. Rykierta zamordowano. To z mordercą rozmawiałem w mieszkaniu Rykierta.

Miał słabą głowę. Po czwartym kieliszku znów zmienił zdanie.

— Byłem kiedyś na sztuce Suchowo-Kobylina zatytułowanej *Śmierć Tarełkina*. Tarełkin to był facet mocno zadłużony i aby uwolnić się od wierzycieli, upozorował własną śmierć. Kupił trumnę, do trumny wpakował kukłę podobną do siebie, pod kukłę podłożył trochę zdechłych ryb. A co pani powie, jeśli okaże się, że uczestniczyliśmy w pogrzebie kukły obywatela Rykierta, magistra i historyka sztuki?... Nie jest pani zachwycona tą hipotezą?

— Nie — powiedziała szczerze. Ostentacyjnie zabrała ze stołu nie dopitą butelkę wina i zaniosła ją do kuchni.

Bardzo mu się to nie podobało. Gorzkie doświadczenie jeszcze raz się potwierdzało: zaproś młodą kobietę do kawalerskiego mieszkania, a natychmiast zacznie się tam szarogęsić.

Teraz nie chciała już nawet słuchać jego wywodów i hipotez. Zobaczyła szafkę z płytami, przysiadła się do niej, nastawiła adapter.

Henryk poszedł do kuchni, aby zaparzyć czarnej kawy. Rosanna lub Zosia — było mu wszystko jedno, jak ma naprawdę na imię — grała na adapterze staromodny walc *Na sopkach Mandżurii*, Henryk zaś oblał sobie spodnie czarną kawą. Na szczęście były ciemne, wystarczyło sprać je gorącą wodą. Wyciągnął więc z szafy drugi garnitur i wlazł do łazienki, gdzie na pełny regulator puścił gaz w bojlerze.

Bojler szumiał, bulgotała woda, ledwo usłyszał sygnał telefonu. Gdy przyodział się w szlafrok i wbiegł do pokoju, telefon już nie dzwonił, słuchawka leżała na widełkach, adapter rozbrzmiewał starym walcem.

— Dzwoniła jakaś kobieta — obojętnie wyjaśniła Rosanna-Zosia.

— Julia? — ucieszył się.

— Nie wiem. Spytała o redaktora Henryka, a usłyszawszy mój głos nie bardzo chciała wierzyć, że rzeczywiście połączyła się z pańskim mieszkaniem. Powiedziałam, że pan jest w łazience i chętnie pana poproszę. Ale rozłączyła się.

— To była Julia. Na pewno chciała wyjaśnić nasze nieporozumienie.

— Rozłączyła się jednak — westchnęła z udanym ubolewaniem.

„Straciłem Julię. Teraz już na pewno straciłem Julię" — pomyślał Henryk i wrócił do łazienki.

Ale za chwilę znowu odezwał się telefon. Tym razem Henryk ubiegł Rosannę. Wpadł do pokoju i pierwszy chwycił słuchawkę.

— Henryk — powiedział ciepło.

— Mówi rekwizytor z Filmu Polskiego — zachrobotał w słuchawce głos mężczyzny. — Poinformowano mnie w Desie, że pan nabył staroświecką laseczkę z bagnetem. Potrzebna jest nam ona jako rekwizyt w filmie. Czy nie zechciałby pan jej odsprzedać?

— Nie.

— Ile pan za nią zapłacił w Desie?

— Pięćset złotych.

— Damy tysiąc.

— Nie.

— Półtora.

— Nie sprzedam. To jest zabytkowa laseczka.

— Właśnie taka jest nam potrzebna. Proponuję panu za nią dwa tysiące złotych. Zgoda?

— Nie sprzedam. Dzięki tej laseczce wpadłem na trop arcyciekawej sprawy.

Po drugiej stronie drutu telefonicznego nastąpiła chwila ciszy. Potem głos odezwał się znowu:

— Dam trzy tysiące i po skończeniu filmu będzie pan mógł laseczkę odkupić. Odpowiada panu taki warunek?

— A do jakiego filmu jest potrzebna? — zapytał Henryk.

— Do *Zakochanych*. No więc zgadza się pan?

— Nie. W żadnym wypadku i pod żadnym warunkiem nie pozbędę się mej laski.

— To pańskie ostatnie słowo? — wydało się, że w głosie mężczyzny brzmi wściekłość, a nawet groźba.

— To moje ostatnie słowo.

Rozłączył się. Henryk położył słuchawkę i opowiedział Rosannie treść rozmowy. Nagle stuknął się palcem w czoło.

— Boże drogi, skąd ten rekwizytor filmu wiedział, że laseczka posiada bagnet? W Desie nie mieli o tym pojęcia, o bagnecie nie mówiłem nikomu poza rzekomym Rykiertem...

— Lolek rozgłosił tajemnicę pańskiej laseczki — zauważyła Rosanna.

— Rekwizytor powoływał się na informacje z Desy. To jakaś podejrzana historia. Ba — znowu sobie coś przypomniał. — *Zakochani* to przecież film współczesny. Po co im staroświecka laseczka?

— Z nimi to nigdy nie wiadomo — rzekła Rosanna. — Czytałam kiedyś, że filmy, które dzieją się nad jeziorem, kręcą nad rzeką, a filmy, co się dzieją nad rzeką, filmują nad jeziorami. Jak ma być film o górach, to go robią nad morzem, i odwrotnie. Za filmowcami się nie trafi.

Henryk zasiadł nad książką telefoniczną, odnalazł numer dawnego kolegi szkolnego, obecnie asystenta reżysera w filmie *Zakochani*.

Asystent zdziwił się:

— Laseczka z bagnetem? Nie słyszałem, żeby taki rekwizyt miał grać u nas.

Natychmiast jednak zastrzegł się:

— Wiesz, bracie, u nas to różnie bywa. Wczoraj może nie była potrzebna, ale jutro, kto wie? Poczekaj, skontaktuję się telefonicznie z naszym rekwizytorem i zadzwonię do ciebie.

Oczywiście nie odezwał się. Po godzinie Henryk zadzwonił do niego ponownie.

— Nie, bracie, żadna laseczka nie jest nam potrzebna. Nasz rekwizytor laski nie poszukuje.

— Przecież dzwonił do mnie — stwierdził Henryk.

— Nic o tym nie wie. Ktoś się podszywa pod nasz film.

To Henrykowi wystarczyło.

— Sprawa nie jest czysta. Komuś bardzo zależy na zdobyciu mojej laseczki.

— Może to telefonował rzekomy Rykiert?

— On? Nie sądzę. Przecież gdy powiedziałem mu o lasce, zaraz stracił dla mnie całe swe zainteresowanie.

— To mógł być tylko wybieg. Miał może okazać panu, jak bardzo mu zależy na lasce?

— Wydaje mi się, że głos w słuchawce nie należał do człowieka, który udawał Rykierta.

— Telefon głos zniekształca — zauważyła.

Jeszcze raz zagrała *Na sopkach Mandżurii*. Była już prawie jedenasta w nocy. Henryk uzbroił się w laseczkę i odprowadził dziewczynę do pętli tramwajowej.

29 maja, rano

Siostra Jana Rykierta, magistra i historyka sztuki, przyjęła Henryka bardzo życzliwie. Zasłony na oknach zostały odsunięte, pokój wywietrzono, zwiędłe kwiaty wyrzucono. Nic nie przypominało Henrykowi wczorajszego spotkania z tajemniczym osobnikiem.

Staruszka była szczupła, wesoła i gadatliwa. Posadziła go w fotelu — w tym samym, gdzie siedział podczas rozmowy z rzekomym Rykiertem — i po dziesięciu minutach mogło się wydawać, że poczuli do siebie sympatię. Dowiedziała się od sąsiadki o upiorze, który podczas pogrzebu kręcił się po mieszkaniu jej zmarłego brata. Na szczęście w upiory nie wierzyła.

— Tak na pierwszy rzut oka wydaje mi się — mówiła — że z mieszkania nic nie zginęło. W każdym razie nie zginęło nic z tak zwanych grubszych rzeczy. Wiem, co brat posiadał, bo często do niego przyjeżdżałam z Warszawy i zazwyczaj pozostawałam przez kilka tygodni. Prałam mu, gotowałam, sprzątałam, więc się trochę w jego rzeczach orientuję. Jeśli więc złodziej nic nie ukradł, a na to wygląda, to po co tutaj przyszedł i udawał mego brata?

— Być może, szukał tu czegoś. Szukał, lecz nie wiadomo, czy znalazł.

— Jeśli szukał pieniędzy, to niepotrzebnie się trudził. Brat mój szczególnie w ostatnich latach nie robił dobrych interesów i wiodło mu się nie najlepiej. Żeby kupić samochód, sprzedał wszystkie co cenniejsze antyki, które były jego własnością. Bo widzi pan, on ostatnio trochę za dużo pił. Wstyd źle mówić o zmarłych, ale niestety, nic dobrego powiedzieć nie mogę. Zresztą — machnęła ręką — nie wydaje mi się, aby zginęło coś z mieszkania, a o to pan pytał, prawda?

— Dlaczego zostawiła pani u sąsiadki klucze od mieszkania?

— Przypuszczałam, że na pogrzeb przyjedzie najstarsza siostra, która mieszka we Wrocławiu. Łudziłam się aż do końca, że może się zjawi. Pomyślałam sobie: najpierw przyjdzie do mieszkania brata, będzie zmęczona, na pogrzeb już nie zdąży, niech więc w mieszkaniu odpocznie i zaczeka na mój

powrót. Dlatego klucze oddałam sąsiadce. Siostra jednak nie przyjechała. Dziś dostałam list, że niedomaga. Nie dziwię się, ma osiemdziesiąt dwa lata.

— Brat pani miał chyba dużo przyjaciół i znajomych. Czy w godzinach poprzedzających pogrzeb nie zauważyła pani z ich strony czegoś, co mogło wydać się niejasne?

— Ach, wiem, panu chodzi o to, czy ten dziwny człowiek to nie był któryś z przyjaciół mego brata?

— To właśnie miałem na myśli.

— Brat miał tylko dwóch przyjaciół. Mecenasa Staneckiego ze Zgierza i pana Butyłło, handlarza antyków. Obydwaj bardzo mi pomagali w zorganizowaniu pogrzebu. Byli ze mną na cmentarzu. Pan mecenas Stanecki podjął się bezinteresownie zlikwidować wszystkie sprawy mego brata. To bardzo uczciwy i porządny człowiek. To samo należy powiedzieć o panu Butyłło. Niech pan sobie wyobrazi, że wczoraj pan Butyłło wręczył mi 600 złotych, które winien był bratu memu jako dopłatę do jakiejś ich transakcji. Człowiek mniej uczciwy nie oddałby ani grosza, spodziewając się, że skoro brat mój zmarł nagle, nikt nie dowie się o długu.

— Więc magister Rykiert nie prowadził żadnych ksiąg handlowych? — z niepokojem powiedział Henryk.

— Broń Boże — aż w ręce klasnęła. — Żeby się do niego urząd podatkowy przyczepił? Nie robił żadnych wielkich transakcji. Tylko pośredniczył w handlu antykami, a właściwie pomagał panu Butylle.

— To bardzo niedobrze — zmartwił się Henryk i spytał: — pan Rykiert nie czynił nawet żadnych notatek handlowych?

Pokiwała głową, a potem pogroziła mu palcem.

— Pan jest bardzo sprytny. Mieszkałam u brata po kilka tygodni, a nie wiedziałam, że rzeczywiście robił notatki. Przedwczoraj i wczoraj dwa razy mnie o to pytał mecenas Stanecki i pan Butyłło, bo takie notatki byłyby przydatne do likwidacji spraw mego brata. Ciągle odpowiadałam, że brat nie zapisywał sobie swych interesów. A tu masz, okazuje się, że robił coś takiego. Gdy się dowiedziałam, że w mieszkaniu penetrował ktoś obcy, zajrzałam do schowków w sekretarzyku brata (a miał on sekretarzyk z dwoma tajnymi

skrytkami). W jednej z nich był kalendarzyk Orbisu, stary, sprzed trzech lat. Zaraz mi się to wydało dziwne, bo czemu stary kalendarzyk leży w skrytce? Przekartkowałam go i stwierdziłam, że zawiera notatki o interesach. Jeszcze dziś zatelefonuję do mecenasa. A nuż okaże się, że jeszcze ktoś jest coś winien memu bratu? Przecież nie wszyscy są tacy uczciwi jak pan Butyłło?

Pomyślał jak podczas zabawy w dzieciństwie: „ciepło, ciepło, gorąco". Staruszka popatrzyła na Henryka uważniej i rzekła:

— Pana może bardzo dziwi i gorszy fakt, że nie znalazł mnie pan pogrążonej we łzach. Lecz, jak pan sam widzi, jestem dość stara (brat młodszy był o piętnaście lat), zdążyłam się już oswoić z myślą o własnej śmierci. Dlatego i śmierć brata, choć wstrząsnęła mną, nie odebrała mi panowania nad sobą.

Drobniutka figurka staruszki przyodzianej w czerń prawie tonęła w fotelu. Miniaturowa pomarszczona twarzyczka miała parę czarnych i bardzo bystrych oczu. Rozmawiając z Henrykiem staruszka świdrowała go nimi, jakby starając się przeniknąć każdą myśl ukrytą w jego głowie. Wydawało mu się, że niekiedy w tym spojrzeniu czaiła się wesołość i rozbawienie niezbyt dla niego pochlebne.

Przypuszczał, że chyba jeszcze nie raz wypadnie mu rozmawiać ze staruszką o zmarłym bracie. Chciał mieć w niej sojusznika. Odezwał się więc bardzo uprzejmie.

— Szanowna pani zapewne bardzo kochała swego brata.

Kiwnęła głową.

— Czasami pozostawałam u niego przez kilka tygodni i prowadziłam mu dom. Muszę jednak wyznać, że zawsze wyjeżdżałam od niego z wielką awanturą, a ściślej, po awanturze. Za każdym razem groziłam: „moja noga więcej u ciebie nie postoi". Ale mijało kilka miesięcy i znowu przyjeżdżałam.

— Brat był trudny w pożyciu?

— Nie — skrzywiła nosek. — To ja jestem okropna. Przez kilka dni można mnie do rany przyłożyć. Później staję się coraz gorsza. Bardzo nie lubiłam wszystkich jego sympatii. Każdej musiałam przypiąć jakąś łatkę. O tej rzekłam, że brudna, o tamtej, że ma ręce jak kuchta, o innej, że nie posiada

gustu. Kłócił się ze mną, ale po pewnym czasie właśnie ta moja krytyka odstręczała go od nich. Dopiero teraz rozumiem, jaką miałam nad nim władzę. Nigdy się nie ożenił. Przeze mnie. Ja wyszłam za mąż, przeniosłam się do Warszawy, później owdowiałam. Ale jak tylko doszły mnie słuchy, że brat znowu ma jakąś sympatię, natychmiast przyjeżdżałam do Łodzi, oglądałam ją i krytykowałam. A on, głupiec, słuchał. I zupełnie nie wiem dlaczego? Ostatecznie, ja miałam prawo mu powiedzieć, co myślę o tej czy owej? Czyż jednak musiał od razu zrywać znajomości? Czy sądził, że spotka ideał? Tak więc w ostatecznym rachunku, to była jego wina, że się nie ożenił. Bo mężczyzna powinien mieć własne zdanie. A ponieważ brat mój go nie posiadał, tylko pożyczał ode mnie, bardzo słusznie, że się nie ożenił. Taki człowiek musi zostać starym kawalerem. Oczywiście, gdy się zestarzał, miał do mnie pretensje. A najgorsze, że zaczął pić. To właśnie było źródłem naszych częstych niesnasek i moich wyjazdów z Łodzi.

Henryk zaczerwienił się. Bo czyż i on nie był podobny do Rykierta? Ileż to miał już w życiu przeróżnych sympatii i zawsze a to kolega, a to koleżanka odradzali mu je. W tych kwestiach nie potrafił wyrobić sobie własnego zdania. Kochał się w dziewczynach, w których kochali się inni, nigdy nie interesował się kobietami, którymi nie interesował się nikt. I zawsze wychodził na tym najgorzej. Znaleźli się tacy, co sprzątali mu sprzed nosa najlepsze dziewczyny.

— Ja to rozumiem — przytaknął ze smutkiem.

— Wiem, wiem. Pan jest taki sam, jak mój brat świętej pamięci.

Pomyślał: „czas przystąpić do sprawy". Ale ona nie miała na to ochoty. Uznała, że dosyć już mówiła o sobie i o swoim bracie, nadeszła pora, aby powiedzieć coś o Henryku...

— Ja wiem — zaczęła — że pan też jest kawalerem i nigdy się pan nie ożeni.

— Skąd pani wie, że nie jestem żonaty?

— Nie ma pan obrączki. A wygląda pan poczciwie. Tacy, jak się ożenią, to zaraz nakładają obrączkę. Pan jest trochę sentymentalny i z dużą wyobraźnią.

— No, to już bezpodstawne oskarżenie...

— Dziennikarze są chyba ludźmi z odrobiną wyobraźni, a pan mi się przedstawił jako dziennikarz, prawda?

— Jestem dziennikarzem — wyciągnął legitymację z kieszeni.

— Ja panu wierzę — machnęła malutką rączką. — A co do tego sentymentalizmu, to przecież gdyby pan miał inny charakter, czy kupiłby pan laseczkę za pięćset złotych?

„Piekielnie logiczna staruszka" — pomyślał. Ona zaś wywodziła dalej, coraz bardziej budząc jego podziw.

— Teraz panu się wydaje, że wpadł pan na trop niezmiernie interesującej sprawy. Pan sądzi, że mój brat został zamordowany.

Tak myślał, ale gdy to powiedziała, natychmiast zrodziły się w nim wątpliwości. Dlatego odrzekł:

— Nie mam żadnych przesłanek, aby tak twierdzić.

— Brat mój doskonale prowadził wóz, a miał samochód od dwóch lat. Nigdy nie zdarzyła mu się nawet najdrobniejsza kraksa. A tu raptem masz, śmiertelny wypadek. Podobno we krwi nie miał ani kropli alkoholu. Trzeba więc tę sprawę zbadać. I pan to zrobi — rzekła wskazując Henryka paluszkiem. — Upoważniam pana do tego. Pozostanę w Łodzi tak długo, aż zyskam pewność w tej sprawie.

— Laseczka... — zaczął.

— Laseczka — przerwała — to odrębne zagadnienie. Tym się także zajmiemy.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do drugiego pokoju. Spodziewał się dłoni zimnej jak lód. Okazało się, że miała rękę ciepłą i miłą w dotyku.

Znaleźli się w zagraconym pokoju, pełnym starych mebli i obrazów. Staruszka podeszła do sekretarzyka, który stał w rogu. Odchyliła duży, prostokątny blat z mosiężnymi okuciami, dotknęła szufladki u góry szafeczki. Coś stuknęło i w dole sekretarzyka, w jednej z szerokich nóżek, na których się wspierał, otworzyły się maciupeńkie drzwiczki. Z szufladeczki, nie większej niż pudełko Waweli, staruszka wyjęła czerwony kalendarzyk Orbisu.

Pośliniła palec, przerzuciła kilkanaście karteczek.

— Brat mój nabył laseczkę od pana Butyłło. On mieszka pod Ozorkowem — i wyjaśniła dokładnie, w jaki sposób można trafić do domu Butyłły.

Zajrzał jej przez ramię. W części kalendarzyka przeznaczonej na notatki stroniczki zapisane były drobniutkim maczkiem. Paznokieć staruszki wskazywał ostatnią pozycję. „Laseczka palisandrowa". Obok była data: 29 kwietnia bieżącego roku i cyfra 350 złotych. Taką sumę za laskę zapłacił Rykiert panu Butyłło, którego nazwisko sąsiadowało z cyfrą. Później, bo już czerwonym ołówkiem, zaznaczono malutkiego ptaszka i wpisano cyfrę 450 zł. Rykiert — jak wywnioskował — zarobił na laseczce sto złotych, pięćdziesiąt złotych otrzymała Desa, a Henryk wydał 500 złotych.

Zdążył jeszcze zerknąć na ostatnią pozycję w kalendarzyku: „Posrebrzany nóż. Kupiony od Butyłły 11 marca za 1000 złotych, sprzedany w dniu 21 maja za 1500 zł".

Staruszka zamknęła kalendarzyk.

— To będzie ciekawa lektura na dzisiejszy dzień — powiedziała. — Może tutaj właśnie znajduje się jakiś ślad w naszej sprawie.

29 maja, w południe

W redakcji Henryk połączył się telefonicznie z kierownikiem Wydziału Dochodzeniowego Wojewódzkiej Komendy MO, majorem Buczkiem. Poznali się trzy lata temu. Buczek był wówczas kapitanem MO i leżał w szpitalu z przestrzelonym płucem. Henryk zaś na sąsiednim łóżku chorował na ropne zapalenie opłucnej. Kontynuowali później znajomość. Buczek złożył mu wizytę w domu, on również go odwiedził. Potem kilkakrotnie spotykali się przy czarnej kawie w Klubie Dziennikarzy. Nie była to jednak znajomość o jakimś ściślejszym charakterze. Buczek bowiem po awansie na kierownika wydziału miał bardzo mało wolnego czasu. Niemniej jednak, ilekroć zdarzyło mu się wpaść do „Dziennikarzy", zawsze witał Henryka bardzo serdecznie, albowiem nic tak mężczyzn nie zbliża jak wspomnienie ciężkiej choroby, którą się przeżyło na sąsiednich łóżkach szpitalnych.

Z majorem Buczkiem umówił się Henryk na drugą po południu w jego gabinecie w Komendzie Wojewódzkiej. Poinformował go o celu wizyty i gdy sekretarka wprowadziła Henryka do gabinetu, na biurku Buczka leżała teczka z opisem wypadku Rykierta.

Henryk dość szczegółowo zrelacjonował swoje przygody z laseczką i podejrzenia, jakie nasunęły mu się w związku z pojawieniem się rzekomego Rykierta. Opowieść trwała długo, raz po raz ktoś dzwonił do Buczka, ktoś go wywoływał z gabinetu. Potem było Henrykowi trochę wstyd, że zajął majorowi tyle czasu. Buczek bowiem zbagatelizował wszystkie jego podejrzenia. Najbardziej zainteresowała go sama laseczka. Obejrzał ją uważnie, wyszarpnął bagnet i nawet wyszedł z nią, aby ją komuś pokazać. Oddając laseczkę Henrykowi powiedział:

— W gruncie rzeczy powinien ją pan odprzedać nam lub wypożyczyć. Przydałaby się w milicyjnym Muzeum, gdzie zbieramy okazy najdziwniejszej broni. Niektórzy moi koledzy są zdania, że czegoś takiego nosić właściwie nie wolno. W domu oczywiście trzymać pan może jako ciekawy zabytek. Nie widzę powodu, dla którego ktoś ma prawo wieszać na ścianie szable, ktoś inny

trzyma w swych zbiorach miecz krzyżacki, a pan nie miałby prawa posiadać laseczki z bagnetem.

Henrykowi zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Przyszedł wyjaśnić kryminalną zagadkę, a oni gotowi odebrać mu jego laseczkę.

— Co się zaś tyczy wypadku magistra Rykierta — rzekł Buczek kładąc rękę na teczce z aktami — oczywiście zbadamy ponownie sprawę, choć nie wydaje mi się, aby podejrzenia pańskie były uzasadnione. Wypadek zdarzył się podczas bardzo ciemnej nocy na niestrzeżonym przejeździe kolejowym. Pociąg wyskakuje tam nagle spoza zakrętu osłoniętego gęstym lasem. Rykiert wjechał autem na przejazd właśnie w chwili, gdy na zakręcie pojawił się pociąg pośpieszny. No i nastąpiło zderzenie. Auto zostało zdruzgotane, Rykiert poniósł śmierć na miejscu. Postawiliśmy wniosek o strzeżenie przejazdu albo wycięcie tego kawałka lasu, który osłania zakręt. Należy wspomnieć, że podobny wypadek w zupełnie innym miejscu przytrafił się przed pół rokiem autobusowi PKS. Przejazdy kolejowe są niestrzeżone. To jest główne zło — uderzył dłonią w akta.

— A historia z rzekomym Rykiertem?

— O ile nic nie zginęło z mieszkania, nie ma powodu do wszczęcia dochodzenia milicyjnego. To mógł być żart, ktoś ze znajomych lub przyjaciół podał się za niego, aby od pana wyciągnąć jakąś informację. My nie możemy ingerować, dopóki nie zostanie zgłoszony fakt, że ktoś złamał prawo.

— On podał się za kogoś innego.

— Owszem. Lecz my interweniujemy dopiero wówczas, gdy z takiego powodu komuś stała się konkretna krzywda. Na Stary Cmentarz, gdzie biwakują bandy wyrostków, zwrócimy baczniejszą uwagę. Osobiście radzę panu zająć się historią laseczki. Pokazałem ją naszym *historykom* bandytyzmu, zainteresowała ich. Twierdzą, że nieznane jest im nazwisko Oczko, ale rozpoczną śledztwo w tej sprawie. Jak tylko czegoś się dowiedzą, zadzwonią do pana. Może z tego powstać bardzo piękny i pouczający artykuł, prawda?

Nie pozostało Henrykowi nic innego, jak przeprosić majora za zajęcie czasu. Wypożyczył akta sprawy Rykierta i przeniósł się z nimi do sekretariatu Buczka, gdzie zrobił z nich dokładne notatki.

Na ulicy przed gmachem Komendy Wojewódzkiej MO natknął się na Rosannę, z którą był umówiony dopiero na wieczór w kawiarni.

— Jedziemy do Butyłły — powiedział biorąc ją za rękę.

Przecząco potrząsnęła głową.

— Od pewnego czasu ciągle mi pan rozkazuje: „Pójdziemy do Rykierta", „Pojedziemy na cmentarz", „Pójdziemy do mnie", a teraz „Jedziemy do Butyłły". Czy pan pomyślał, że i ja mam swoje zajęcia?

— Pojechalibyśmy do Butyłły, a wieczorem poszlibyśmy potańczyć.

— Tańczyć? — zdziwiła się. — Najpierw muszę usłyszeć, co pan wywiedział się u siostry Rykierta i jak przyjęto pana w milicji. Bardzo wątpię, czy między jednym a drugim tańcem najwygodniej będzie się nam rozmawiało.

— Ja muszę do Butyłły.

— A ja do modystki. Kierowniczka naszego Domu Mody kazała mi odebrać kapelusze dla naszych modelek. Do Butyłły pojedziemy później.

— On mieszka za miastem, przy szosie do Ozorkowa.

Nie dała się przekonać. Umówili się więc o trzeciej po południu na przystanku ozorkowskiego tramwaju. Odprowadziła Henryka aż do redakcji. Był zadowolony, że okazała się pilną i sumienną pracownicą Domu Mody. Gdy ją poznał, robiła wrażenie, jakby rzeczywiście żyła z przyzwyczajenia. „Może zmieniła się z chwilą poznania mnie?" — myślał bez przekonania.

W redakcji przeczytał reportaż młodszego kolegi, postawił kilka przecinków, wykreślił pół stronicy i przekazał materiał sekretarzowi redakcji. Zaraz potem pomaszerował do Klubu Dziennikarza, który mieścił się na pierwszym piętrze Domu Prasy.

Przy stoliku barowym zobaczył Julię. Odkłoniła się Henrykowi bardzo chłodno. Mimo to podszedł do niej, przywitał się i spytał, czy telefonowała do niego wczoraj wieczorem.

— Dzwoniłam. Byłeś jednak w łazience, a ja nie miałam ochoty czekać, aż się wykąpiesz.

— Czyściłem spodnie zaplamione czarną kawą.

— Czy nie mogła tego zrobić gosposia? Zdaje mi się, że masz kogoś takiego w domu.

— To nie była gosposia, lecz sąsiadka — skłamał.
— Jesteś w bardzo poufałych stosunkach z sąsiadkami — zauważyła.

29 maja, po południu

Rosanna bardzo punktualnie zjawiła się na przystanku podmiejskiego tramwaju. Wystarczyło jednak, że wyrzekła słowa powitania, a poczuł od niej alkohol. To zdecydowało, że prawie godzinną podróż odbyli w milczeniu.

Oszukała go, nie była u modystki, lecz na jakiejś libacji. Miała mocno umalowane usta, kilkakrotnie usiłowała się przytulać do Henryka, bo siedzieli na jednej ławce. Odsunął się na brzeżek, a wtedy obraziła się. Powiedziała z gniewem:

— Niech pan nie udaje świętoszka. Nie wolno mi napić się wina z koleżankami? Mam dwadzieścia dwa lata, ślubu z panem nie brałam.

— Całe szczęście — mruknął.

I to była cała ich rozmowa aż do lasów pod Ozorkowem. Tutaj, na skraju wioski leżącej wzdłuż linii tramwajowej, znajdował się dom Butyłły.

— Willa pana Butyłło jest w głębi ogrodu — wskazał im kierunek jakiś człowiek na przystanku tramwajowym.

Trwał jeszcze piękny wiosenny dzień. Słońce świeciło nad wierzchołkami drzew gęstego sosnowego lasu, który kończył się przy torze tramwajowym. Minęli podłużny parterowy budynek, coś w rodzaju starodawnego zajazdu. Na obszernym podjeździe stało kilka załadowanych nowalijkami wielkich wozów na ogumionych kołach. Szosą obok torów tramwajowych badylarze z Łęczycy wieźli swoje jarzyny do Łodzi i tutaj właśnie, jakby w połowie drogi, dawali odpoczynek swoim koniom.

W odległości pół kilometra od zajazdu wysoki parkan z siatką okalał dość duży ogród. Furtka była otwarta i od razu weszli na wykładany cegłami chodnik prowadzący aż do ganku malutkiego domku. Tak wyglądała *willa* Butyłły.

Główką laseczki delikatnie zapukał Henryk do malowanych na czerwono drzwi. Chciał jeszcze raz zapukać, ale Rosanna trąciła go łokciem. Obejrzał się i zobaczył wychodzącą zza kępy zielonych krzewów wysoką, doskonale

zbudowaną kobietę w bardzo skąpym kostiumie kąpielowym. Zapewne opalała się w ogrodzie, korzystając z wiosennego słońca.

Jasne jak słoma włosy rozrzucone miała na opalonych ramionach, twarz była jakby ożywioną okładką zagranicznych tygodników, reklamujących kosmetyki. Długie opalone nogi, lekko zarysowany brzuch i piersi w wąziutkim staniczku.

Kobieta pochwyciła zachwycone spojrzenie Henryka, uśmiechnęła się.

— Chciałem zobaczyć się z panem Butyłło — rzekł nieśmiało.

Weszła na ganek i stanęła o krok od Henryka. Zupełnie jej nie żenowało, że jest w tak skąpym stroju.

— Mąż mój jeszcze śpi. Położył się po obiedzie i drzemka przedłużyła się do tej pory.

Głos miała brzydki, gruby, prawie męski. Był on dla Henryka dość nieprzyjemnym zaskoczeniem.

Otworzyła drzwi i wprowadziła ich do ciemnej sionki. Stamtąd przeszli do dużego pokoju. Z zewnątrz *willa* wydawała się malutka i skromna, przypominała domki, jakie kiedyś na przedmieściach stawiali emerytowani kolejarze. Wnętrze jednak miała luksusowe i dlatego zapewne nazwano domek willą.

Pokój prezentował się wspaniale. Miał puszysty dywan pokrywający podłogę, dwie kanapy przy kominku, miękkie fotele, ławy, szafy w ścianach. Lecz Butyłło, choć handlował antykami, w mieszkaniu nie posiadał ani jednego antyku. Wszystko było tu bardzo nowoczesne.

— Państwo będą łaskawi zaczekać. Zaraz poproszę męża — rzekła uprzejmie i zniknęła w drzwiach prowadzących w głąb domu.

— Do licha — zaklął Henryk. — Dlaczego tak się dzieje, że każdy nadziany forsą facet ma przy sobie piękną kobietę?

— A jeśli jest nie tylko bogaty, ale i przystojny? — odpowiedziała Rosanna.

Nie był przystojny. Wszedł w długim brązowym szlafroku. Wysoki, postawny, ale o ziemistej cerze, starszawy już i brzydki. Włosy miał przylizane i chyba trochę podmalowane na czarno, bo ich jaskrawa czerń zbyt kontrastowała ze starczą twarzą.

— Słucham państwa? O co chodzi? — spytał trochę niegrzecznie.

A ponieważ wydawało się, że nie zamierza siadać, Henryk również na stojąco wyłuszczył mu swoją sprawę. Przez cały czas, gdy mówił, Butyłło patrzył w okno poza jego plecami.

— Siostra magistra Rykierta — zakończył Henryk — znalazła notatnik swego brata. Z notatnika wynika, że Rykiert laseczkę kupił od pana. Dlatego pozwoliłem sobie pana niepokoić.

Wzruszył ramionami.

— Niewiele będę mógł powiedzieć o historii laseczki. Nabyłem ją w 1946 roku od pewnego szabrownika, który z terenów odzyskanych przywoził do Łodzi przeróżne graty. Nawet nie wiem, jak się ten człowiek nazywa i gdzie mieszka. To pewnie poniemiecka laseczka, wyszabrowana w jakimś opuszczonym pałacyku.

Rozmowę należało uznać za skończoną. Butyłło nie przywitał się z nimi przez podanie ręki, więc i Henryk na pożegnanie złożył mu tylko ukłon.

W milczeniu wyszli na szosę przy torach tramwajowych. Rosanna wydawała się zmartwiona niepowodzeniem, które ich spotkało. Lecz Henryk czynił laseczką wesołe młyńce.

Raptem przystanął.

— Do licha! — zawołał. — Zostawiłem u nich swoją papierośnicę.

I pobiegł z powrotem do domu Butyłłów. Wrócił po pięciu minutach i wolno ruszyli w stronę przystanku tramwajowego. Nie zdążyli jeszcze dojść do przystanku, gdy szosą obok nich przemknął żółty wartburg. Za kierownicą siedział Butyłło i pędził w stronę Łodzi.

— Jak to się zdążył szybko przyodziać — odezwała się Rosanna.

— Niech pani zaczeka na przystanku, a ja wrócę do domu Butyłły — powiedział szybko Henryk.

— Znowu? — zdziwiła się Rosanna.

— Butyłłowa została sama.

— Miłość od pierwszego wejrzenia? — kpiła. — Mąż wyjechał, więc pan przez okno zakradnie się do buduaru? Ona nie poleci na takiego golca jak pan.

— Butyłło to jest facet, który udawał Rykierta. Poznałem go po głosie, kiedy tylko rzekł tymi samymi słowami co w mieszkaniu zmarłego: „Słucham pana. O co chodzi?".

Pozostawił Rosannę na szosie i szybkim krokiem powędrował z powrotem.

W ogrodzie natknął się na panią Butyłło. Była już w sukience. Niosła do domu złożony leżak.

— Przepraszam panią — powiedział. — Wróciłem, bo zapomniałem jeszcze o coś spytać pani małżonka.

— Mąż przed chwilą wyjechał do Łodzi. Nie minął pana po drodze?

— Nie zauważyłem — rzekł siląc się na bardzo miły uśmiech. — Chodzi mi o drobiazg. Wypytywałem męża pani o tę laseczkę — podrzucił do góry swoją laseczkę — ale zapomniałem o najważniejszym: od kogo pani mąż ją kupił, zanim odprzedał ją magistrowi Rykiertowi, a ten z kolei mnie ją odstąpił?

Spojrzała na niego z rozbawieniem.

— Nie przypuszczałam, że to ona sprowadziła pana do nas.

— Czy wie pani, co ona kryje? Bagnet. Pokazać go pani?

— O nie, nie — zawołała ze śmiechem.

— Laseczka ma interesującą historię. Chciałbym ją poznać i opisać. Właśnie dlatego zgłosiłem się do pana Butyłły.

— Nic panu nie pomogę. Musi pan jeszcze raz skontaktować się z moim mężem. Bardzo mało interesuję się jego handlowymi sprawami. Zupełnie nie mam pojęcia, od kogo ją kupił. Pamiętam tylko, że w naszym domu znalazła się ona już chyba w tym roku i zaraz zniknęła. Mąż sprzedał ją panu Rykiertowi. Nawet nie wyobrażałam sobie, że zawiera bagnet.

Pocałował dłoń chłodną, opaloną, pachnącą jaśminem. Od furtki ruszył biegiem i na przystanku znalazł się razem z tramwajem jadącym w kierunku Łodzi.

— To on, Butyłło, udawał Rykierta — powtarzał Rosannie w drodze powrotnej. — Dużo bym dał za to, aby wiedzieć, czemu to robił. I dlaczego już dwukrotnie nie chciał mi udzielić informacji o laseczce. Jako Rykiert twierdził, że nic nie pamięta, bo jest chory. Jako Butyłło opowiada, że laseczkę

kupił od szabrownika i miał ją od 1946 roku. Zaś jego żona stwierdziła coś zupełnie innego. Laseczka znalazła się u nich w domu dopiero w tym roku.

— Może trzymał ją w piwnicy lub w jakimś magazynie?

— Może — przytaknął bez przekonania. — Dlaczego jednak jeszcze jako Rykiert nie powiedział: pochodzenie laseczki jest mi nie znane, kupiono ją przypadkowo od szabrownika. Wyjaśnienie jest tylko jedno: Butyłło nie chce, abym znał prawdę o pochodzeniu laseczki. Gdy się tak pomyśli, zrozumiały staje się telefon od tajemniczego rekwizytora. Za laskę zaproponowano mi trzy tysiące złotych. Komuś bardzo zależy, żebym nie dochodził jej przeszłości. Dlatego tym bardziej postaram się zatrzymać laskę i poznać jej historię.

— To są tylko podejrzenia. Nie widzę przyczyny, dla której Butyłło miałby tak starannie ukrywać przeszłość laseczki. Chyba, że laska pochodzi z kradzieży.

— Albo od mordercy, który lęka się rozpoznania.

— Pan żartuje!

— W lasce jest bagnet. Chyba nie dla ozdoby wmontowano go tak starannie.

— To było przed kilkudziesięciu laty. Pierwszy właściciel laski już chyba dawno nie żyje.

— Pani powiedziała: pierwszy właściciel. Kto wie, jakie były dalsze koleje laseczki? W jakich znalazła się ona rękach i komu się przysłużyła? To właśnie postanowiłem zbadać.

O piątej po południu wysiedli na przystanku w Łodzi. Tutaj Henryk przypomniał sobie, że przecież gniewa się na Rosannę. Pożegnał ją bardzo chłodno, nie nagabując o następne spotkanie. Ona zresztą także nie zdradzała na to żadnej ochoty. Wskoczyła w miejski autobus i pojechała ulicą Piotrkowską.

29 maja, w nocy

Zbudził go dzwonek u drzwi. Zapalił nocną lampkę przy tapczanie i zerknął na zegarek. Była za pięć minut jedenasta. Podbiegł do drzwi i otworzył je szeroko. W sieni paliło się światło. Zobaczył Rosannę.

— Ledwie zdążyłam przed zamknięciem bramy — powiedziała zadyszana. Bez jakiegokolwiek wyjaśnienia, nie zważając na nocny strój Henryka, weszła prosto do pokoju. Znowu poczuł od niej zapach alkoholu. Zauważył, że jasny płaszcz dziewczyny jest bardzo wybrudzony.

Rzuciła na fotel skórzaną torebkę, niemodną już tramwajarkę. Potem nakryła torebkę płaszczem. Usiadła na drugim fotelu, przeciągnęła się. Ziewnęła:

— Będę u pana nocować...

Dotknęło go, że tak bezceremonialnie dysponuje jego mieszkaniem. Uczynił jednak dłonią gest ukazujący w rogu pokoju rozkładany fotel.

— Dobra — kiwnęła głową.

Poszła do łazienki. Zaraz potem usłyszał szum bojlera i domyślił się, że się kąpie. Rozłożył więc fotel, wyciągnął z tapczana zapasową poduszkę, czyste prześcieradło i gruby koc. Przygotował jej spanie, a ponieważ kąpała się dość długo, pozostawił tylko malutkie światło przy bibliotece i położył się do łóżka.

Zjawiła się przyodziana w szlafrok kąpielowy Henryka.

— Nie mogłam wrócić do siebie, bo Lolek i jego chłopaki zaczaili się na mnie — powiedziała.

Zgasiła lampę, skrzypnęły sprężyny w amerykance. Z ciemności dobiegł go jej głos:

— Ja wiem, że pan bardzo źle o mnie myśli. Ale pan się myli.

Denerwowały go jej kłamstwa. Pomyślał, że go okradnie, a on nie będzie nawet mógł zameldować milicji, nie wie bowiem, jak się nazywa i gdzie mieszka.

Podniósł się z tapczanu, wyszedł na korytarzyk, zamknął na klucz wyjściowe drzwi z mieszkania, a klucz zaniósł do łazienki i schował pod wannę. Wrócił do

pokoju i wsunął się pod kołdrę. Tapczan miał szeroki, ułożył się na brzegu. Dopiero po dłuższej chwili usłyszał jej oddech tuż przy swoim uchu.

— Tam było za twardo — wyjaśniła. — Gniewasz się? — spytała cichutko. — No, nie gniewaj się — powiedziała. I pocałowała Henryka w usta.

30 maja

Rano ledwo go dobudziła. Gdy otworzył oczy, była już ubrana i umyta.

— Gdzie schowałeś klucze? — pytała pryskając na niego wodą z kubka.

— Czy musisz już iść? Przecież dziś jest niedziela — ziewał.

— Mam pokaz mody. Chcesz, żeby mnie wyrzucili z roboty?

— I tak cię wyrzucą, bo źle się prowadzisz.

— Świnia — rzuciła.

Obejrzała swój wybrudzony płaszcz i postanowiła go oczyścić. Szczotkę znalazła w przedpokoju, weszła z płaszczem do łazienki. Pomyślał: „wypuszczę ją, a może coś ukradła?".

Zerwał się z tapczana, zajrzał do torebki pozostawionej na fotelu. Zobaczył jakieś kobiece drobiazgi — szminkę, portmonetkę, chusteczkę do nosa. Na samym dnie leżał pistolet TT. „Toś ty taka?" — mruknął i czmychnął na tapczan.

Znowu stanęła przed nim. Tym razem była już w płaszczu.

— No, otwieraj drzwi, bo mi się śpieszy — zawołała, zarzucając na ramię pasek torby.

Udając ogromną senność powlókł się do łazienki, wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

— Czau! — powiedziała i pocałowała go w policzek.

— Czau! — ziewnął.

Zatrzasnął drzwi i popędził do tapczana. Zbudził się kilkanaście minut po dwunastej. Uświadomił sobie, że jest niedziela i nie musi iść do redakcji. Zapalił na czczo papierosa, bo nie chciało mu się zagrzać wody na herbatę. O pierwszej przyrządził sobie śniadanie. Wypoczęty, zadowolony z siebie nacisnął klawisz adaptera. Nastawił płytę *Na sopkach Mandżurii* i poszedł się ogolić. Właśnie wtedy usłyszał dzwonek przy drzwiach.

Z namydloną twarzą otworzył drzwi.

— Dzień dobry — powiedział gruby, zażywny jegomość. Zanim wszedł do mieszkania, pokazał legitymację z Komendy Wojewódzkiej MO. W tym tęgim,

jowialnie wyglądającym panu, ubranym w wyrudziały garnitur, przenigdy nie domyśliłby się oficera śledczego. Henryk pomyślał, że zapewne jest to jeden z owych *historyków*, o którym wspominał major Buczek.

Przybysz miał na głowie kapelusz z szerokim rondem. Usiadł w fotelu, kapelusz położył obok siebie na stoliczku.

Pokazał palcem laseczkę wspartą o biurko i spytał uprzejmie:

— Może mi pan pokazać to cacko?

Henryk podał mu laseczkę.

— Należy szarpnąć rączkę — wyjaśnił.

Przybysz wyrwał bagnet z pochewki, obejrzał ostrze, pokiwał głową, jakby przytakując swoim myślom. Potem schował bagnet do pochewki i zamknął zatrzask. Wsparł dłoń na główce laski.

— Chciałbym z panem pogadać — rzekł.

— Czy mogę skończyć golenie?

— Oczywiście. Proszę uprzejmie — skinął głową.

Na dłuższą chwilę pozostawił go Henryk w pokoju. Dokończył golenia, umył twarz.

— Jestem na pańskie rozkazy — powiedział zbierając pościel z tapczanu.

— Chciałbym dowiedzieć się, od jak dawna posiada pan laseczkę z bagnetem?

— A więc jednak o to chodzi? — ucieszył się Henryk. — Dobrze. Jak najchętniej służę informacjami.

Najpierw opowiedział o awanturnikach ze Starego Cmentarza i o zaczepkach, które spowodowały, że laseczka na wystawie Desy wzbudziła jego zainteresowanie. Mówił o przygodzie z Lolkiem, o postanowieniu poznania historii laseczki. Zrelacjonował scenę spotkania z rzekomym Rykiertem, a potem powtórzył rozmowę z siostrą Rykierta. Wspomniał także o tajemniczym telefonie rekwizytora z filmu i opisał wizytę w mieszkaniu Butyłły. Wyznał, że w Butylle rozpoznał tajemniczego osobnika z mieszkania Rykierta.

— Butyłło wyjechał autem ze swej willi — kończył opowiadanie. — Wówczas wróciłem do jego żony, skłamałem, że zapomniałem spytać męża

o osobę, która sprzedała mu laseczkę. Wyjaśniła, że laseczka znalazła się w ich mieszkaniu dopiero w tym roku, niestety nie wie, kto ją sprzedał mężowi. W ten sposób doszedłem do wniosku, że Butyłło nie chce mi wyjawić przeszłości laseczki.

— I co pan postanowił? — zapytał śledczy. Było to pierwsze pytanie, jakie wypowiedział podczas opowiadania Henryka.

— Jeszcze niczego nie zdecydowałem. Myślę jednak, że powtórnie pojadę do Butyłły. Spróbuję go przekonać, że kieruje mną tylko dziennikarska ciekawość. I jeśli istnieje coś, co mu przeszkadza mówić prawdę, postaram się zachować dyskrecję.

Grubas sapnął, jak by mu ktoś położył na piersiach ogromny ciężar.

— Pan, redaktorze, posiada bardzo zabawne upodobania. Powinien pan zostać spirytystą.

— Nie bardzo rozumiem... — mruknął Henryk.

— Ciągle ma pan ochotę rozmawiać z ludźmi, którzy nie żyją. Nagabywał pan Rykierta, choć ten człowiek nie żyje. Teraz zaś pragnie pan przekonywać Butyłłę, że jeśli jest coś, co mu przeszkadza mówić... Więc tak. Jest coś, co mu przeszkadza mówić. On już nie żyje, proszę pana.

— Butyłło? To niemożliwe!

— Nie żyje. Może mi pan wierzyć.

— Więc ja nie rozmawiałem z Butyłło? To znowu był ktoś inny?

— Butyłło umarł po rozmowie z panem.

— Wyjechał dokądś swoim samochodem...

— Lecz wrócił. I zamordowano go bagnetem. Henryk popatrzył na laseczkę, na której wspierała się dłoń grubasa. Ten zauważył jego spojrzenie.

— Nie takim bagnetem — rzekł uspokajająco. — A swoją drogą — dodał pośpiesznie — chciałbym dowiedzieć się, co pan robił wczoraj o jedenastej w nocy.

— Byłem w domu. Spałem. A ściślej: za pięć jedenasta obudziła mnie pewna młoda kobieta, która pozostała tutaj aż do rana. Nie mogłem więc być jednocześnie w willi Butyłły pod Ozorkowem i we własnym mieszkaniu. Jak

bowiem mogę wnioskować z pańskiego pytania, Butyłłę zamordowano o jedenastej w nocy.

— Co to za kobieta znajdowała się u pana?

— Jestem kawalerem — oburzył się Henryk. — Mam trzydzieści lat i uważam się za dorosłego człowieka.

— Pan mnie nie zrozumiał, redaktorze. Ja chciałbym po prostu ustalić nazwisko tej pani. Będę musiał z nią porozmawiać.

— Ach, więc pan mi nie ufa? Pan nie wierzy w moje alibi?

— Śledztwo w sprawie morderstwa nie toczy się na zasadach wiary lub niewiary, milicja nie jest towarzystwem o charakterze religijnym. Mam obowiązek ustalić fakty. I to wszechstronnie. Czy może mi więc pan podać nazwisko osoby, która potwierdzi pańskie alibi?

— Nie znam jej nazwiska ani imienia. Nie wiem, gdzie mieszka — powiedział smutnie Henryk.

— Taaak? — zdziwił się. — To jakaś przygodna znajomość?

— Owszem. Chodzi o tę samą dziewczynę, która była ze mną w willi Butyłły. Poznałem ją w ów wieczór, gdy laseczka zdradziła swoją tajemnicę. Dziewczyna kazała mi nazywać się Rosanną. Mówiła, że pracuje w Domu Mody. Jest średniego wzrostu, szczupła, o pięknych czarnych włosach.

Henryk miał już na końcu języka wyznanie o pistolecie, który odkrył w torebce Rosanny. Pomyślał jednak, że o tym zawsze zdąży milicję poinformować, a może lepiej będzie dla Rosanny, jeśli to on sam zapyta ją o pistolet.

— Pan mi nie wierzy — stwierdził.

— Jestem z milicji — powiedział śledczy, jak by jeszcze raz chcąc mu przypomnieć, że nie należy do stowarzyszenia o charakterze religijnym. — A co do tej dziewczyny, to myślę, że znajdziemy ją bardzo szybko.

— Nawet na podstawie tak skąpego opisu?

— Owszem. Wydaje mi się, że już wiem, o kogo chodzi. Ja znam tę panienkę.

— To całe szczęście — Henryk odetchnął z ulgą. — Bo ona potwierdzi moje alibi. Interesuje mnie jednak, skąd pan wie o naszej bytności w willi

Butyłły?

— Powiedziała nam o tym żona Butyłły.

— Przecież nie zna mojego nazwiska?

Grubas uśmiechnął się dobrodusznie i stał się od razu sympatyczniejszy.

— Jakże pan naiwny, redaktorze. Morderstwo ujawniono o wpół do pierwszej w nocy. Natychmiast pojechała tam nasza ekipa na czele z majorem Buczkiem. Żona Butyłły poinformowała nas, że tego wieczoru miała z mężem iść do teatru, ale przed wieczorem zjawił się w ich mieszkaniu jakiś facet z dziewczyną i pytał o laseczkę. Major Buczek natychmiast domyślił się, że chodzi o pana. Tym bardziej, że opisała dokładnie pański wygląd, a major zna pana bardzo dobrze.

— Owszem, znamy się bardzo dobrze — powiedział Henryk nie bez satysfakcji.

— Po rozmowie z panem, Butyłło zrezygnował z teatru. Wsiadł w samochód i pojechał do Łodzi. Polecił żonie, aby do teatru poszła sama, co też i uczyniła. Była w teatrze, spektakl skończył się za dziesięć jedenasta w nocy. Wróciła pieszo na przystanek tramwajowy, czekała na podmiejski tramwaj piętnaście minut, są na to świadkowie, bo spotkała tam znajomych z Ozorkowa i razem z nimi jechała do domu. Wysiadła z tramwaju dwadzieścia minut po dwunastej, w mieszkaniu odkryła zwłoki swego męża. Butyłło został zamordowany około jedenastej w nocy.

Henryk wtrącił cierpko:

— Ja zaś nie mam alibi i jestem podejrzany. Oficer zgodnie pokiwał głową.

— A gdy uzyskam alibi, co wówczas uczynicie? Kogo będziecie podejrzewać?

Ponieważ tamten milczał, Henryk spróbował go pouczyć:

— Przede wszystkim należałoby dowiedzieć się, dlaczego Butyłło udawał Rykierta i czemu nie chciał mi wyjaśnić, od kogo otrzymał laseczkę. Tak, właśnie laseczkę — stwierdził Henryk i odebrał ją z rąk grubasa. — Ona jest kluczem do wyjaśnienia mordu Butyłły.

— Może... — mruknął.

Henryk stuknął laseczką o podłogę.

— Niech pan sobie przypomni, co rzekła pani Butyłło. Po rozmowie ze mną mąż jej nagle zrezygnował z teatru i zdecydował się jechać do Łodzi. A przecież ja rozmawiałem z nim wyłącznie o laseczce. Pytałem, od kogo ją kupił.

Milczał. Henryk spytał:

— Skąd wiecie, że zamordowano go bagnetem?

— Lekarz stwierdził. Zresztą rano znaleźliśmy w krzakach w ogrodzie Butyłły stary niemiecki bagnet wojskowy. Były na nim ślady krwi.

— I odciski palców?

— Nie, proszę pana — odpowiedział. — Zabójca należy do ludzi, którzy wiedzą, co to są odciski palców i jak należy postępować, aby ich nie pozostawić.

— W jaki sposób zamordowano Butyłłę? — rosła ciekawość Henryka.

Oficer śledczy uśmiechnął się najłagodniej i najbardziej dobrodusznie.

— Rozumiem pański zapał. Niestety, na razie nie wolno mi zmienić faktu, że to ja prowadzę śledztwo. Oczywiście wiem, że pan by je poprowadził lepiej niż ja. Dlatego postaram się zastosować do pańskich rad i życzeń. Chciałbym jednak, aby to było obopólne. Zgodnie z pańskim życzeniem zainteresuję się sprawą laseczki, a pan zgodnie z mym życzeniem zjawi się jeszcze dzisiaj w Komendzie Milicji w pokoju 215 i pozostawi pan tam odciski swoich palców. Zgoda?

Podniósł się z fotela, wziął ze stolika kapelusz z szerokim rondem. Skinął Henrykowi głową i opuścił mieszkanie.

Odszedł. A Henryk pomyślał z odrobiną strachu, że jeśli milicja nie odnajdzie Rosanny lub jeśli ona dla jakichś swoich powodów nie zechce potwierdzić jego alibi — będzie miał dużo nieprzyjemności. Przyczyną ich stała się laseczka, cienki palisandrowy przedmiot z tajemnicą.

To chyba właśnie przez tę tajemnicę najpierw zginął Rykiert, który sprzedał laskę do Desy, a teraz zamordowano Butyłłę, poprzedniego posiadacza laseczki? Może krył się w tym wszystkim tylko zbieg okoliczności i obydwie te śmierci nie miały nic wspólnego z laseczką? Lecz czy to rzeczywiście tylko przypadek, że odkąd Henryk stał się właścicielem laseczki i spróbował poznać jej

przeszłość — natychmiast znalazł się w gąszczu zagadek? Sprawy, zdawałoby się, najzwyklejsze, jak wizyta u dawnego jej posiadacza, a potem odwiedziny u poprzedniego właściciela przybrały charakter niesamowity i makabryczny.

Ciemnowiśniowa pochewka z palisandru zdawała się zawierać nie tylko śmiercionośne narzędzie. Była w niej jeszcze i jakaś inna groźba, tym niebezpieczniejsza, że niejasna, niezrozumiała, tajemnicza.

Obrócił w palcach laseczkę. Uchwycił za srebrną rączkę, wyrwał z pochewki długi lśniący bagnet. Pomyślał:

„Nie jest chyba zwykłym przypadkiem, że Butyłłę zamordowano bagnetem innym, lecz przecież również bagnetem".

30 maja, po południu

— Oto jest pan Skarżyński, znajomy mego brata — siostra Rykierta przedstawiła Henrykowi pięćdziesięcioletniego, zupełnie łysego mężczyznę o otyłej twarzy i ogromnych staropolskich wąsach.

Skarżyński skłonił nisko głowę, jak by już kiedyś słyszał o Henryku wiele dobrego i pełen był szacunku.

— Niech sobie pan uświadomi, redaktorze — gadała szybko staruszka — że jednak na świecie jest więcej ludzi uczciwych, niż to się może wydawać. Pan Skarżyński zwrócił mi właśnie 500 złotych, które winien był memu zmarłemu bratu. Przyniósł je sam, choć ja się wcale nie dopominałam. I nigdy bym tego nie czyniła, ponieważ w notesiku mego brata pan Skarżyński nie figuruje wśród dłużników.

Skarżyński z zażenowaniem pocierał ręce. Zachwyty siostry Rykierta zapewne raziły jego poczucie skromności.

— Ach, to był tak drobny dług, że świętej pamięci magister Jan Rykiert — odezwał się uroczyście — nawet chyba nie raczył zanotować. Kupiłem od niego maleńką blaszaną ikonę prawosławną za 900 złotych. Czterysta dałem od razu, a 500 złotych obiecałem dostarczyć troszkę później. Lecz rozchorowałem się, a ponieważ mieszkam poza Łodzią, więc trudno mi było przekazać pieniądze. Potem przeczytałem w gazetach o smutnym przypadku świętej pamięci magistra Jana Rykierta i ogromnie żałowałem, że nie mogłem być na pogrzebie. Dopiero dzisiaj zjawiłem się w Łodzi i skorzystałem z okazji, aby dług swój zwrócić.

Teraz powiedział kilka zdań o niebezpieczeństwach, na które naraża się każdy właściciel samochodu. On, Skarżyński, także ma samochód i kiedyś tylko cudem uniknął śmierci, zderzając się z autem prowadzonym przez pijanego kierowcę. W tym miejscu pan Skarżyński wyraził przekonanie, że wypadek, jakiemu uległ świętej pamięci Jan Rykiert, został zapewne spowodowany przez maszynistę prowadzącego lokomotywę w stanie nietrzeźwym. Dowiedziawszy się o tragicznej śmierci świętej pamięci magistra

Jana Rykierta, pan Skarżyński — jak sam powiedział — postanowił sprzedać swój samochód.

Złożywszy takie oświadczenie, wstał i począł się żegnać.

— Ach, prawda, byłbym zupełnie zapomniał — stuknął się palcem w łysą czaszkę. — Świętej pamięci brat pani proponował mi kupno pozłacanej solniczki. Chciał za nią trzy tysiące, bo złoto miało lichą próbę. Solniczka nosiła na sobie rzeźbę Ledy z łabędziem, a ja posiadam pozłacany pucharek z podobną ozdobą. Niestety wówczas, gdy brat pani proponował mi kupno, akurat brakowało mi pieniędzy i nawet tych dziewięciuset złotych za ikonkę nie mogłem od razu zapłacić. Teraz jednak gotów jestem nabyć także solniczkę. Albo nóż srebrny, renesansowy, który u niego kiedyś oglądałem.

Staruszka zastanowiła się:

— Nie widziałam podobnej solniczki wśród rzeczy mego brata. Być może, sprzedał ją już komuś. Nie wiem także nic o srebrnym nożu.

Skarżyński pokiwał smętnie łysą głową, a ponieważ staruszka znała chyba kolekcjonerów i domyśliła się, jak wielka przykrość spotkała pana Skarżyńskiego — szybciutko podreptała do drugiego pokoju.

— Zajrzę do notesika i powiem panu, komu brat sprzedał solniczkę i srebrny nóż — pocieszała swego gościa. — Może ten ktoś zechce panu odstąpić?

Po chwili wróciła wertując kalendarzyk.

— To były ostatnie transakcje mego brata. „Solniczka pozłacana", zanotowano, sprzedał ją panu Gniewkowskiemu. Nóż srebrny nabył jakiś pan Ygrek.

— Znam pana Gniewkowskiego. Wiem, gdzie mieszka — zawołał radośnie Skarżyński. I dziękczynnie ucałował dłoń staruszki.

— Gotów jestem dać choćby trzysta złotych prowizji — powiedział — bo miałbym parkę razem z pucharkiem.

Gdy opuścił mieszkanie, Henryk szepnął staruszce:

— Butyłło nie żyje. O jedenastej w nocy zamordowano go bagnetem w jego własnym domu pod Ozorkowem.

Staruszka zamrugała powiekami, jakby wiadomość ta z wielkim trudem przenikała w głąb jej świadomości.

— Zamordowali go? — szepnęła. — Zamordowali? Pewnie tak samo jak mego brata.

— Rozmawiałem wczoraj z kierownikiem wydziału dochodzeniowego, majorem Buczkiem, który uważa, że śmierć magistra Rykierta nie wzbudza żadnych podejrzeń. Myślę, że po morderstwie Butyłły zechce zrewidować swój pogląd na *wypadek* pani brata. Nie ulega wątpliwości dla mnie, że te dwa zdarzenia są ze sobą związane.

— Wczoraj wieczorem był u mnie Butyłło — rzekła staruszka.

— Wczoraj? Wieczorem? — zawołał Henryk ze zdumieniem. — O której godzinie?

— Przed piątą.

— Proszę pani. To jest bardzo ważne. Był przed piątą. Co chciał od pani?

— Dowiedział się, że odnalazłam notatki mego brata. Poprosił, bym mu pozwoliła do nich wglądnąć, ponieważ chce się upewnić co do pewnej transakcji.

— Nie powiedział, o jaką transakcję chodziło?

— Nie pytałam. On pozostawał w bardzo bliskich stosunkach z mym bratem, razem handlowali, więc myślałam, że chodzi o jakiś ich dawny interes. A ponieważ brat dość niechętnie mówił mi o swych handlowych sprawach, także i w tym wypadku nie chciałam się wtrącać i wypytywać Butyłłę. Uważałam, że ma prawo zajrzeć do notatnika. Czy źle uczyniłam?

— Nie wiem.

— Przyniosłam mu kalendarzyk. Tylko zerknął na niego i zaraz oddał mi go z powrotem.

— Zerknął?

— Tak. Otworzył kalendarzyk, przewrócił jakąś kartkę i jakby od razu znalazł to, czego szukał. A po chwili pożegnał się i wyszedł.

— Czy zauważyła pani, która to była kartka?

— Skądże! Nawet się nie przyglądałam. Zresztą, zaraz mi zwrócił kalendarzyk.

— Hm — chrząknął Henryk i począł głośno rozmyślać: — To, co pani teraz powiedziała, zmienia nieco mój pogląd na niektóre sprawy. Wczoraj około czwartej byłem w domu Butyłły i rozmawiałem z nim o mojej laseczce. Po tej rozmowie Butyłło natychmiast wsiadł w swój samochód i pojechał do Łodzi. Sądziłem, że wyjazd jego związany był z moją laseczką. Teraz wiem, że przyjechał tu do pani. Przypominam sobie, że to ja poinformowałem Butyłłę o istnieniu notatnika magistra Rykierta. Zapewne usłyszawszy ode mnie wiadomość, że odnalazła pani notatki swego brata, pomknął do Łodzi, aby znaleźć potrzebną mu informację. Ach, wiem, wiem, teraz wszystko rozumiem! Domyślam się, dlaczego Butyłło udawał magistra Rykierta.

— Co takiego? Co pan opowiada? — nie rozumiała.

— W Butylle rozpoznałem tego samego osobnika, który w tym mieszkaniu przedstawił mi się jako brat pani.

— Zdaje się, że przez cały czas był z nami na cmentarzu — niepewnie rzekła staruszka.

— On miał samochód. Być może, tylko na chwilę pozostał w mieszkaniu po wyniesieniu stąd trumny. Wówczas natknął się na mnie, a potem natychmiast pojechał na cmentarz. To wszystko nie musiało trwać zbyt długo. Mogła pani nie zauważyć jego krótkiej nieobecności. Pozostał w mieszkaniu nieboszczyka, aby odnaleźć notatnik pani brata, a w notatniku potrzebną informację.

Staruszka wzruszyła ramionami.

— Coś mi tu nie odpowiada prawdzie. Gdyby szukał notatnika, toby go znalazł.

— Pani mówiła, że notatnik leżał w skrytce.

— Butyłło zna się na antykach. Natychmiast odkryłby tajemnicę sekretarzyka. Zresztą, proszę pana, to zdaje się właśnie od niego brat mój kupił sekretarzyk ze skrytką.

— Może nie zwrócił uwagi na stary kalendarzyk?

— To już prawdopodobniejsze. Choć, moim zdaniem, jeśli szukał notatnika, a znalazł w skrytce kalendarzyk, zapewne tak jak ja domyśliłby się, że ten kalendarzyk nie jest bez znaczenia.

Henryk zamyślił się.

— Pani ma rację. On tu szukał czegoś innego. Jakiegoś przedmiotu. Skoro usłyszał ode mnie, że przyszedłem do brata pani, aby uzyskać informację w sprawie przedmiotu, który nabyłem, Butyłło zaprosił mnie do mieszkania. Potem, dowiedziawszy się, że chodzi o laseczkę, pozbył się mnie i pojechał na cmentarz. Sądzę, że przedmiotu, którego szukał w mieszkaniu pani brata, nie znalazł, bo w przeciwnym razie nie rozpoczynałby rozmowy ze mną. Wówczas jednak, gdy go szukał, nie myślał o notatniku. O ile pamiętam, pani powiedziała mu, że magister Rykiert nie robił żadnych notatek handlowych.

— Tak sądziłam, póki nie zobaczyłam kalendarzyka leżącego w skrytce.

— A właśnie. Dlatego usłyszawszy ode mnie, że notatnik jednak istnieje, natychmiast pojechał do Łodzi, aby...

— Aby? — podchwyciła zaciekawiona staruszka.

— Aby dowiedzieć się, czy przedmiot, którego szukał, nie został sprzedany przez pani brata. A jeśli został sprzedany, to komu.

Usłyszeli dzwonek u drzwi. Staruszka poszła otworzyć i zjawiła się w towarzystwie grubego oficera śledczego, który dziś w południe złożył wizytę Henrykowi.

— Mój Boże — westchnął Henryk — jaka ta Łódź jest mała.

— Mała — przytaknął grubas.

— Nigdzie się przed panem nie potrafię schować — rzekł Henryk rozpaczliwie. Lecz śledczy nie był w nastroju żartobliwym. Powiedział surowo do Henryka:

— Spełnił pan moją prośbę?

Pokazał mu wskazujący palec nieco przybrudzony tuszem.

— Załatwiono mnie — oświadczył.

Gość z aprobatą pokiwał głową. To Henryka trochę ośmieliło. Zapytał:

— Czy potwierdzono moje alibi?

— Jeszcze nie, proszę pana — i zwrócił się do staruszki: — prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa pana Butyłły, a ponieważ brat pani, magister Rykiert, który zginął w wypadku samochodowym — podkreślił te słowa,

jakby specjalnie kierując je w stronę Henryka — był bliskim znajomym zamordowanego, chciałbym od pani uzyskać pewne informacje.

— Służę panu najuprzejmiej — rzekła staruszka. Henryk zdecydował się pożegnać siostrę Rykierta i grubego oficera śledczego, który przyjął to z wyraźną aprobatą.

30 maja, wieczorem

Henryk w domu znalazł się o zmroku. Miał nadzieję, że pojawi się u niego Rosanna i nareszcie potwierdzone zostanie jego alibi. Mógłby zadzwonić do Domu Mody, ale nie miało to najmniejszego sensu, skoro nie znał prawdziwego imienia i nazwiska dziewczyny.

Przyrządził sobie kolację, a potem ułożył się na tapczanie i próbował przemyśleć zdarzenia ostatnich godzin. Właśnie wtedy odezwał się telefon.

— Dzwoni do pana chorąży Ambroziak z archiwum Komendy Wojewódzkiej MO — przedstawił mu się głos w słuchawce. — Major Buczek zainteresował mnie pańską laseczką, prawdopodobnie należącą kiedyś do Oczki.

— Słucham — powiedział uradowany.

— To była dość trudna sprawa, proszę pana, ponieważ nasze archiwum posiada materiały jedynie z okresu międzywojennego. Udało się jednak ustalić, że Oczko działał w Łodzi w latach 1890-1903. W tymże roku został powieszony, gdyż udowodniono mu morderstwa na tle rabunkowym. Oczko królował w łódzkim świecie podziemnym, był powiązany z policją carską, a także z łódzkimi fabrykantami, którzy go używali do załatwiania swoich mokrych interesów. Dzięki opiece fabrykantów przez dłuższy czas działał zupełnie bezkarnie. W 1903 roku zabił jednak i obrabował jednego z hurtowników łódzkich, wytoczono mu sprawę. Oczko został skazany na powieszenie. Wyrok wykonano. Interesujące jest, że na procesie Oczko sypnął swych dawnych mocodawców, między innymi byłego piotrkowskiego gubernatora Millera, a było to oskarżenie tak kompromitujące, że sprawa sądowa odbyła się przy drzwiach zamkniętych, później zaś akta sądowe *zaginęły*. Przez zamknięte drzwi przeciekło jednak do miasta trochę wiadomości. Krążyła plotka, że Oczko na rozkaz gubernatora Millera spowodował w 1892 roku słynne rozruchy w Łodzi i pogrom Żydów na Starym Mieście.

— Wiem, o co chodzi — powiedział Henryk.

— Przeglądałem prasę z tamtych lat — ciągnął dalej Ambroziak. — Po procesie jeden z dziennikarzy wykpił adwokata Kochera, który bronił Oczki licząc na wysokie honorarium z legendarnych skarbów, jakie zdobył Oczko łupiąc i mordując. Okazało się, że Oczko jest ubogi, zagrabione pieniądze dawno przepił i roztrwonił. W nagrodę za obronę, idąc już na stracenie, darował Kocherowi swoją... laseczkę.

— I to jest właśnie moja laseczka — zawołał Henryk.

— Tak sądzę — rzekł Ambroziak. — Wydaje mi się, że wiem także, dlaczego w laseczce jest rosyjski bagnet. Łączy się to z zabójstwem żandarma Fedorenki.

— Czytałem o tej historii — przerwał Henryk Ambroziakowi. I począł pytać: — A Kocher? Co Kocher zrobił z laseczką? W czyje ręce trafiła ona od Kochera?

— Nie wiem. Tego nie próbowałem ustalić. Wątpię zresztą, czy uda się uzyskać jakieś dalsze informacje. Aha, jeszcze jedno — przypomniał sobie. — Prawdziwe nazwisko Oczki brzmiało: Józef Możek. Najpierw występował w światku podziemnym Łodzi pod pseudonimem Josif, później zaś jako Oczko, nie miał bowiem lewego oka. Stąd właśnie i to przezwisko.

Henryk podziękował za informacje. Odłożył słuchawkę i poszedł do swojej biblioteczki. W jednej z książek o Łodzi odnalazł obrazek historyczny zatytułowany: *Śmierć żandarma Fedorenki*.

„Kto wie — pomyślał — czy nie tutaj właśnie kryje się ślad, który zaprowadzić może do wyjaśnienia dalszych losów laseczki, a tym samym okaże się pomocny przy rozwikłaniu zagadkowej śmierci pana Butyłło? Czyż nie bywa i tak, że korzenie niektórych współcześnie dziejących się spraw sięgają głęboko w przeszłość, nawet tę dość odległą?".

Przeczytał:

> W dniu 2 maja 1892 r. wybuchł w Łodzi powszechny strajk robotników. Przerażeni przemysłowcy, a wraz z nimi przedstawiciele carskiej władzy postanowili za wszelką cenę znaleźć pretekst dla sprowadzenia wojska do miasta oraz odwrócenia uwagi robotników od akcji strajkowej. Tak rozpoczęła się smutna historia żandarma Fedorenki.

Śmierć żandarma Fedorenki

Z obszernego pokoju w Grand Hotelu, gdzie urzędował gubernator Miller, wyszedł Fedorenko z uczuciem człowieka, którego w najbliższej przyszłości oczekuje urzędowy rozkaz, mianujący Władimira Pawłowicza Fedorenkę komisarzem cyrkułu lub w najgorszym wypadku przynoszący mu order Grzegorza i stopień starszego żandarma.

Sprawa, jaką mu powierzono, nie była trudna ani do zrozumienia, ani też do wykonania. Byłaby nawet zupełnie łatwa, gdyby nie wrodzone tchórzostwo Fedorenki, wymagała bowiem zapuszczenia się samotnie nocą w ciemne zaułki Bałut, dzielnicy cieszącej się w Łodzi nie najlepszą opinią. A Fedorenko cenił swe życie, cenił je jeszcze bardziej, gdy miało go w nim spotkać tyle zaszczytów.

Pełen lęków i obaw, które pokonywał w sobie z myślą o przyszłości, zdjął Fedorenko swój mundur carskiego żandarma, mogący mu przeszkodzić w tak poufnej misji, i założył na siebie cywilne ubranie. Na niewysokiej wieży empirowego ratusza zegar wybił właśnie dziesiątą godzinę w nocy, gdy Fedorenko minął Nowy Rynek i kierując się w stronę Starego Miasta skręcił w ulicę Nowomiejską.

Na Starym Mieście panował już półmrok. Rzadko rozstawione latarnie gazowe słabo rozświetlały prostokątny Stary Rynek otoczony dwu i trzypiętrowymi domami z szerokimi bramami wjazdowymi. Mrok przykrywał brzydotę ruder i niskie domki z czterospadowymi dachami krytymi gontem, z wnękowymi podcieniami, w których o tej porze rzadko już Fedorenko napotykał przechodniów. Przez krzywe okienka w niskich izbach widział pejsatych Żydów w jarmułkach, pochylonych cierpliwie nad warsztatami tkackimi lub zgarbionych na szewskim stołku, rozgrzebane łóżka, w których spało razem po kilkoro dzieci, brudną pościel, nie umyte miski stojące na stołkach po niedawnej wieczerzy, brud, śmieci, całą nędzę żydowskiej dzielnicy. Z wąskich sieni i rynsztoków wionął zapach smażonej cebuli, czosnku, ryb, nieczystości i gnoju. W kątach ulicy, w ciemnych

wnękach bram i podcieni chybotały z dala od światła cienie splecionych miłośnie par, drążył ciszę nerwowy szept lub wybuchał nagle głośny śmiech kobiecy. Nad krawędziami rynsztoków, od latarni do latarni, uprawiając dziwaczną gimnastykę, przeprawiali się objęci uściskiem pijacy; bełkotliwe głosy śpiewały, klęły, wymyślały całemu światu. Z głuchym trzaskiem zamykano okiennice.

Na rogu ulicy Krótkiej zaczepiła Fedorenkę młoda, najwyżej szesnastoletnia dziewczyna.

— Idy ty k'czortu — zamruczał, z upodobaniem podnosząc wzrok z jej silnych ud, nie osłoniętych kusą sukienką, na wysokie rozpychające stanik piersi.

Teraz skręcił w Krótką i zatrzymał się przerażony ciemnością. Na Krótkiej nie było ani jednej latarni. W wąskiej, lekko skrzywionej ulicy, kończącej się ślepym zaułkiem, wszystkie okna zasłonięte były okiennicami, przez które blade światło wyciekało szparami na szerokie kałuże wody i wiosenne błoto.

Tego roku Fedorenko był już na Krótkiej kilkakrotnie. Za każdym razem przebywał tu w otoczeniu policji, żeby przeprowadzić śledztwo w sprawie morderstwa lub rabunku. Nie było miesiąca, żeby rankiem na Krótkiej nie odnaleziono obdartego do naga trupa lub nie zgłaszał się do policji nieostrożny przechodzień, po którego na Krótkiej wyciągnęło się z ciemności kilka par rąk ludzkich — zabrało portfel, zegarek, pierścionek, a nawet zdarło ubranie. I nie pomagało przeprowadzone później śledztwo, pogróżki i aresztowania. Na ulicy Krótkiej, podobnie zresztą jak i na całych Bałutach, mieszkały rzezimieszki, przesiedleni tu ze swych stron rodzinnych. Właściwie każdy był podejrzany i zasługiwał na więzienie. Policja przeprowadzała śledztwo, kogoś tam czasem aresztowała, w końcu jednak bezradnie i dobrodusznie ostrzegała bogatszych, aby nie zapuszczali się w tę niesławną dzielnicę Łodzi. Prawdopodobnie policjanci i bandyci umieli się ze sobą porozumieć. Fedorenko mógł na ten temat wiele powiedzieć. Ale któż w panujących ciemnościach rozpozna, że oto ulicą Krótką idzie żandarm Fedorenko? Przecież nie będzie krzyczał, że jest Fedorenką, przyjacielem Josifa, herszta tutejszych

rzezimieszków? Gładki nóż może znaleźć się w jego plecach wcześniej, niż zdąży otworzyć usta, które i tak zasłoni mu zaraz czyjaś silna ręka...

Dłuższą chwilę stał więc Fedorenko na początku ulicy Krótkiej, nie mogąc zdecydować się, czy ma prawo narażać swą osobę na tak niepewną wędrówkę. W końcu zwyciężyła w nim jednak obawa przed gniewem gubernatora i policmajstra Danilczuka. Nęciła także perspektywa pięknej przyszłości. Fedorenko wyjął z kieszeni ogromny nagan, odciągnął kurek i ściskając w dłoni twardą kolbę ruszył w ciemność ulicy Krótkiej. Oprócz pistoletu Fedorenko uzbrojony był jeszcze w długi bagnet, który obijał mu się o biodro. Niósł go na wszelki wypadek. Można było zrobić z niego użytek bez niepotrzebnego hałasu.

Spocony dobrnął wreszcie do rudery Josifa i drżącą ręką zapukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytał krzykliwy męski głos.

— Swoj! Otkroj!

Na ciemną ulicę buchnęło światło. W drzwiach niedużego pokoju oświetlonego lampą naftową z ozdobnym kloszem stał Josif — niski, garbaty mężczyzna w sztuczkowych spodniach i obszernej, nie obciskającej garbu kurtce z miękkiego materiału. Twarz miał chudą, łagodną i jakby schorowaną. Brakowało mu jednego oka, oczodół osłaniał czarną przepaską. Na widok Fedorenki Josif cofnął się przestraszony na środek pokoju.

— No? — powiedział zdziwiony żandarm. I uśmiechnął się. Spostrzegł w swym ręku wymierzony w Josifa pistolet.

— Nie bój się — uspokajał łaskawie bandytę i schował pistolet do kieszeni palta. Zamknął starannie drzwi za sobą i podszedł do stołu.

— Jesteś sam? — zapytał.

Josif skinął głową. Na otoczeniu robił wrażenie nieszkodliwego, smutnego kaleki. Ci, którzy znali go bliżej, wiedzieli, że jest sprytny, okrutny i mściwy. Opowiadano, że jako czternastoletni chłopak dostał się do bandy „Karasia", którego otruł, i sam stanął na czele bandy. Sławę zyskał sobie jednak nie dzięki niezwykłej złośliwości ani wielkiej znajomości nawet najbardziej sekretnych zamków, lecz przez swe nadzwyczajne oczytanie i wielką kulturę towarzyską.

Josif już od dawna nie brał udziału w napadach rabunkowych. Był hersztem; odbierał, rozdzielał i spieniężał łupy. Policja nie mogła mu nigdy niczego udowodnić. Podczas każdego napadu Josif siedział w domu nad książką albo przebywał w teatrze.

Bandyta chciał koniecznie uchodzić za człowieka kulturalnego. Prenumerował kilkanaście polskich i niemieckich pism, otrzymywał prospekty wielkich księgarń, w teatrze widywano go na każdej premierze. Mieszkał jednak bardzo nędznie. W jego pokoju nie było prawie sprzętów, oprócz stołu posiadał tylko wąskie łóżko. Na stole leżało kilka gazet, stała lampa naftowa i karafka z wódką. Zapewne Josif przyjmował przed chwilą gości, którzy wynieśli się z pokoju drugimi drzwiami.

— Przyszedłem tu do ciebie w poważnej sprawie. Ale chcę, żeby nas nikt nie słyszał.

— U mnie słyszą tylko to, co ja chcę, żeby słyszeli — rzekł bandyta.

Fedorenko pochylił się do jego ucha i długo szeptał mu coś z natężeniem.

Sprawa, z którą przyszedł, była co najmniej dziwna, ale Josif nie okazał zdziwienia. Wysłannik policmajstra Danilczuka obiecywał jego bandzie zupełną bezkarność przy dokonaniu rabunkowego napadu na kilka domów żydowskich na Starym Mieście. Josif jednak spełniał już dwukrotnie równie dziwne rozkazy carskiej Ochrany. Raz, gdy chodziło o zamordowanie przejeżdżającego przez Łódź w drodze do Berlina wysokiego carskiego urzędnika. Drugi raz, gdy polecono mu dokonać napadu na Kasę Pożyczkową Przemysłowców Łódzkich i zabrania stamtąd pewnej teczki z papierami. Za wykonanie rozkazów banda otrzymała od Ochrany tak niewielkie wynagrodzenie, że Josif obiecywał sobie nie podejmować więcej podobnych zobowiązań. Tym razem jednak propozycja Fedorenki związana była z napadem na domy żydowskie i z możliwością rabunku, który mógł przynieść pewne zyski. Ze strony policji nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

— Kiedy? — zapytał Josif.

— Jeszcze dziś w nocy.

— I nie będzie w pobliżu ani policji, ani żandarmów?

— Nikogo. Mogą być nawet pożary...

Wypili po kieliszku wódki, zakąsili chlebem. Fedorenko szykował się do wyjścia.

— No jak? Zgoda? — upewnił się na odchodnym.

— Zgoda.

— Jeszcze dziś w nocy?

— Tak.

— I pożary będą?

Josif skrzywił się z niechęcią.

— Będą.

Mruknął coś jeszcze i otworzył drzwi. Po chwili ciemność ulicy Krótkiej znów otoczyła żandarma. Wyszedł ze światła i chwilę czekał przed ruderą, zanim wzrok nie przyzwyczaił się do mroku. Potem śmielszym niż poprzednio krokiem ruszył ulicą trzymając się prawej strony. Radowało go pomyślne załatwienie sprawy, po której spodziewał się sowitej nagrody, awansu i łaskawych względów gubernatora Millera. Widział już siebie w mundurze komisarza cyrkułu, z orderem Grzegorza na piersi. Porzucał swój pokój na Dzielnej i tęgą czerwoną dziewczynę, która poza posługiwaniem spełniała w jego życiu jeszcze kilka innych funkcji. Przenosił się do dużego apartamentu, gdzie przychodzić będą piękne wysmukłe kobiety, podobne do tych, jakie oglądał w teatrze na gościnnych występach berlińskiego baletu. W marzeniu dotykał już wargami ich pachnących włosów, słyszał ich śmiech i szelest zdejmowanych sukien. Wrażenie to było tak mocne, że Fedorenko nie usłyszał przyspieszonych oddechów ludzi czających się w załomie muru.

Później za późno już było na okrzyk. W ciemnościach zatupotały kroki, rozległ się jęk i odgłos upadku. W bramie pobliskiego domu zamigotała na chwilę zapałka, oświetliła martwą twarz żandarma.

— Będzie bida — powiedział jakiś głos. — To Fedorenko. Żandarm. Ale dlaczego nie w mundurze?

Pośpiesznie przeszukali kieszenie zabitego: zabrali portfel, nagan, bagnet, zegarek. Bezwładne ciało zaciągnęli między rozwalone komórki w głębi błotnistego podwórza.

Po północy rozległ się na Starym Mieście krzyk rabowanych ludzi, słup ognia i dymu wzbił się pod spokojne majowe niebo.

Piotrkowski gubernator Miller stał przed oknem w swym pokoju w Grand Hotelu i spoglądał na rozlewającą się nad Starym Miastem łunę pożaru. Potem zasiadł do stołu i pośpiesznie zredagował depeszę do warszawskiego generał-gubernatora Hurki.

> Bunt wzrasta. Wzrasta niepokój wśród robotników, którzy grożą podpaleniem fabryk i zniszczeniem maszyn, rabują Żydów i wzniecają pożary. Koniecznością jest użycie większej siły wojskowej. Czekam dalszych pełnomocnictw. Petr. guber. diejstw. st. sow. K. Miller

W miesiąc później w komórce jednego z domów na ulicy Krótkiej odnaleziono rozkładające się zwłoki żandarma Fedorenki.

Policmajster Łodzi, Danilczuk, miał się ponoć odezwać do oficera żandarmerii, Maszyna:

— Nie radzę sprawie śmierci Fedorenki nadawać rozgłosu. Był, powiadacie, ubrany po cywilnemu? Znaleźli go na Bałutach? Ja zawsze mówiłem, że żandarmi prowadzą jakieś konszachty z bandytami...

Podobno Josif bardzo się zmartwił śmiercią Fedorenki. Skrzyczał swych ludzi, gdy przynieśli mu łupy: zegarek, portfel, nagan i bagnet żandarma. Potem zapewne pomyślał, że stało się jednak najlepiej. Zniknął świadek kontaktów Josifa z gubernatorem Millerem i policmajstrem Danilczukiem, który odtąd jeszcze bardziej przez palce spoglądać począł na działalność Josifa. Bałucki jednooki rzezimieszek zaczął teraz robić bandycką karierę.

Może właśnie dlatego — konkludował Henryk odkładając książkę — kazał Oczko oprawić bagnet Fedorenki w palisandrową laseczkę? Stała się ona jakby symbolem jego władzy w podziemnym światku. Władzy wspartej na policmajstrze i gubernatorze.

31 maja, w południe

W redakcji praca szła Henrykowi bardzo ospale. Przeczytał w gazetach króciutką wzmiankę o zabójstwie Butyłły i stracił zainteresowanie dla redakcyjnych materiałów. Przestał go obchodzić smutny przypadek lekarza w małym miasteczku, niewesołe życie nauczycielki wiejskiej oraz kłopoty, jakie Rada Zakładowa jednej z łódzkich fabryk miała z dwoma swymi majstrami. Nie wzbudził także jego zainteresowania reportaż przywieziony wprost z Sahary i sprawa budowy pomnika-fontanny w pasażu ulicznym, o który w liście otwartym do władz miejskich dopominało się Koło Przyjaciół Miasta.

Przez cieniutkie przepierzenie doszedł go z pokoju sekretarza redakcji głośny i dźwięczny śmiech Julii. Zapewne jak co tydzień przyniosła ona kilka swych rysunków. Zawsze wówczas wstępowała i do Henryka. Teraz jednak nie śmiał się tego spodziewać.

Lecz gdy usłyszał na korytarzu stukot jej bucików, nie mógł się wstrzymać, aby nie wyjrzeć zza drzwi.

— Dzień dobry, Julio — powiedział nieśmiało. — Jeśli masz chwilę czasu, może napilibyśmy się kawy?

Przystanęła. Popatrzyła na niego z czułością i dobrocią, której tak szukają u kobiet samotni mężczyźni.

— Masz pewnie kłopoty — stwierdziła. — Źle wyglądasz — dodała.

Są to zazwyczaj te słowa, po których mężczyzna dowiaduje się, że właśnie ona jedna, ta, a nie żadna inna kobieta, potrafi zająć się jego kłopotami i przywrócić mężczyźnie jego dobre samopoczucie i lepszy wygląd.

— Tak. Mam kłopoty...

— Okradła cię?

— Kto?

— No, ta smarkula, z którą widziałam cię w kawiarni. Henryku, masz trzydzieści lat i powinieneś wiedzieć, że po tych współczesnych siedemnastolatkach niczego dobrego nie możesz się spodziewać. Są głupie, ale nie na tyle, żeby brać cię za uwodziciela. Co najwyżej — to one tobie zawrócą

w głowie i wywrócą twoją kieszeń. Wiedziałam zresztą, że to się właśnie tak skończy.

Mówiąc to weszła do jego pokoju i usiadła na krześle przed biurkiem. Zapewne zamierzała go pocieszyć i okazać się czułą, ale najpierw chciała otrzymać odrobinę satysfakcji.

— Nie o to chodzi, Julio — wyjaśnił. — Po prostu wplątałem się w głupią historię.

— No właśnie. Nie zadawaj się z dziewczętami. Nie masz w tym względzie żadnego doświadczenia. Nie stanowisz dla kobiet żadnej atrakcji. Powinieneś z tego zdawać sobie sprawę, zanim rozpoczniesz jakikolwiek flirt.

— Wplątałem się nie przez dziewczynę, ale przez laseczkę, tę moją idiotyczną laseczkę.

Zapukano. I do pokoju weszła pani Butyłło. Nie weszła, a raczej wkroczyła drobnym, choć energicznym krokiem. Piękna i w pięknej czarnej sukni. Jej uroda była naprawdę imponująca, a gest ręki, którą wyciągnęła do Henryka, wydawał się władczy. Tak zachowują się kobiety doskonale świadome swej piękności, a przez to trochę zarozumiałe, przekonane, że uroda jest siłą i daje władzę.

Pośpiesznie wskazał jej swoje własne krzesło za biurkiem. Julia powiedziała cicho:

— Umówimy się innym razem. Dziś jestem zajęta. Wystarczyło jedno spojrzenie, którym obrzuciła panią Butyłło. Bo to oczywiście nieprawda, że spojrzenia mężczyzn umieją rozbierać kobietę. Wzrok kobiet czyni to znacznie lepiej. Oczy Julii jakby w jednym okamgnieniu zdjęły z pani Butyłło jej suknię, halkę i stanik. To, co zobaczyła, zdecydowało, że Julia chłodno skinęła Henrykowi głową i opuściła pokój.

— Przepraszam pana za najście — odezwała się pani Butyłło. — Oficer śledczy podał mi nazwisko pana i redakcję, w której pan pracuje. Pozwoliłam sobie zaniepokoić pana, ponieważ nasza rozmowa, którą odbyliśmy przelotnie w ogrodzie w moim domu, nabrała zupełnie nowego znaczenia. Pan chyba domyśla się dlaczego? Myślę o śmierci mego męża.

Przytaknął. Uważnie patrzył w jej twarz, jakby z okładki magazynu filmowego, i na próżno szukał choćby śladu wzruszeń, jakich doznała zobaczywszy ciało zamordowanego męża. „Zapewne go nie kochała" — pomyślał.

— Opowiedziano panu, w jakich okolicznościach znalazłam mego męża?

— Najogólniej. Milicja była dość dyskretna. Niezbyt lubi dziennikarzy. Uważają nas za wścibskich — wyjaśnił, pomijając zupełnie podejrzenie milicji w stosunku do jego osoby. — Gdybym jednak mógł od pani uzyskać pełniejszy obraz tego, co się stało w waszym domu, może potrafiłbym okazać się pomocnym dla wyjaśnienia zagadkowej śmierci męża pani. O ile wiem, milicja jak dotąd nie odnalazła mordercy?

— Porucznik Pakuła, który prowadzi śledztwo, nie wydaje się zbyt rozgarnięty — stwierdziła.

— Pani mówi o tym grubasie?

— Owszem. Całą energię traci na przesłuchiwania naszych sąsiadów i znajomych mego męża. To do niczego nie doprowadzi.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Bo klucz od zagadki znajduje się u pana.

— Pani wybaczy, ale...

— Proszę mnie źle nie rozumieć. Po rozmowie z panem mój mąż nagle zdecydował, że musi wyjechać do Łodzi. A przecież jeszcze przed chwilą, na krótko przed rozmową z panem tak się cieszył, że pójdziemy do teatru. I raptem oświadczył: „Do teatru pójdziesz sama, ja muszę natychmiast być w Łodzi". „Kiedy wrócisz?" — spytałam. — „Tego ci nie umiem powiedzieć" — rzekł. Po teatrze kazał mi wracać do domu tramwajem, choć zaproponowałam, żeby podjechał autem pod teatr, skoro będzie w Łodzi.

— Co odrzekł na pani propozycję?

— Powiedział, że zabawi w Łodzi najwyżej godzinkę, potem zaś musi jeszcze gdzieś pojechać i dopiero wtedy wróci do domu. Nie wiedział, jak długo zabawi, a nie chciał być skrępowany obietnicą oczekiwania przed teatrem.

— To bardzo ciekawe — mruknął Henryk. — A więc od siostry Rykierta nie wrócił zaraz do domu, ale jeszcze dokądś pojechał.

— Proszę pana — powiedziała — po rozmowie z panem mąż nagle wyjechał. Bardzo chciałam wiedzieć, czego dotyczyła wasza rozmowa.

— Laseczki. Magister Rykiert kupił laseczkę od pani męża. A ponieważ zainteresowała mnie jej historia, pojechałem do pana Butyłły, aby uzyskać informacje, od kogo nabył laseczkę, zanim odstąpił ją Rykiertowi.

— I co panu powiedział mój mąż?

— Przyjął mnie dość niechętnie. Twierdził, że laseczkę nabył w 1946 roku od jakiegoś szabrownika. Tą informacją próbował pozbyć się mnie, lecz, jak pani wie, wróciłem do waszego domu i pozwoliłem sobie zagadnąć panią w tej sprawie.

— Powiedziałam panu, że laseczka znalazła się u nas dopiero w tym roku.

— Tak pani rzekła. Czy i teraz obstaje pani przy tym?

— Nie mam powodu kłamać. Bardzo się dziwię, że mój mąż nie udzielił panu szczerej odpowiedzi. Bo naprawdę, przysięgam panu, laseczka znalazła się u nas niedawno. Na pewno nie leżała od kilku lat. Mieszkanie remontowaliśmy przed trzema laty, wkrótce po naszym ślubie. Przejrzałam wówczas wszystkie kąty.

— Wierzę pani.

— Jego kłamstwo, lub raczej nazwijmy to wykrętem, jest pierwszym niejasnym punktem w tej tragicznej historii.

— Nie, proszę pani. Znacznie wcześniej było coś równie niejasnego.

— Proszę mi wszystko powiedzieć — rzekła gwałtownie. — Pan chyba wie, po co mój mąż pojechał do Łodzi.

— Domyślam się. Pan Butyłło usłyszał ode mnie, że siostra Rykierta odnalazła kalendarzyk swego brata, gdzie są notatki dotyczące handlowych spraw Rykierta. Pani mąż pojechał do mieszkania Rykierta i poprosił o kalendarzyk, zajrzał do niego, zapytał o coś i wyszedł.

— Pan jeszcze coś ukrywa — stwierdziła.

Namyślał się długą chwilę. Wreszcie rzekł:

— Pani nie wie, skąd mąż pani otrzymał laseczkę. Ale przecież chyba nie uszło pani uwagi, od kogo w ostatnim czasie nabywał najróżniejsze przedmioty do sprzedaży. Jeśli pani dla jakichś swoich powodów nie chce ani mnie, ani też milicji ujawnić tego człowieka, bo, być może, przekonana jest pani o jego niewinności, niechże pani zjawi się u niego i spróbuje go wybadać. Jestem przekonany, że to on właśnie jest mordercą.

— Nie wierzę — powiedziała.

— Wiem, że musi się pani sama o tym przekonać. Czy mógłbym jednak prosić, aby pozwoliła mi pani na odwiedziny w swym domu? Pani znalazła zabitego męża. Chciałbym wiedzieć, gdzie leżał, jaki był układ zwłok. Chcę znać wszystko, czego milicja mi poskąpiła. Sprawa ta bowiem bardzo mnie obchodzi. Przykro mi, że każę pani wracać wyobraźnią do tamtej straszliwej historii... W zamian również udzielę pani pewnych informacji o dość dziwnym postępowaniu pani męża.

Rzekła twardo, patrząc mu prosto w oczy:

— Dobrze. Mnie chyba najbardziej zależy na wyjaśnieniu tragicznej śmierci mego męża. Jestem w Łodzi swoim samochodem, mam do załatwienia wiele spraw związanych z pogrzebem. Wieczorem mogłabym pana zabrać do siebie i odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Umówili się, że o siódmej wieczorem Henryk będzie na nią czekał w kawiarence na ul. Moniuszki.

31 maja, wieczorem i w nocy

„Honoratka" na Moniuszki miała jakby trzy oblicza. Przed południem wstępowali do niej na kawę urzędnicy bankowi i starsze panie, skłonne do ploteczek między jednym a drugim zakupem w sklepie. Po obiedzie zjawiali się studenci i dużo młodych ładnych dziewcząt. Im bliżej ku wieczorowi, tym bardziej towarzystwo młodniało: coraz więcej było *kociaków* i młodych ludzi, po których nie widać było, aby kiedykolwiek zajmowali się pracą. Około ósmej goście ci opuszczali stoliki, a obsiadali je młodzi pisarze, filmowcy, aktorzy i dziennikarze.

Henryk zjawił się punktualnie o siódmej. W malutkiej salce gęstniał dym tytoniowy. Z trudem znalazł wolny stolik. Nie zdążył jeszcze usiąść, gdy w drzwiach dojrzał panią Butyłło.

Przed kawiarnią stał jej żółty wartburg. Wsiedli i pani Butyłło wyprowadziła auto na Piotrkowską. Pomknęli w stronę placu Wolności, a potem ul. Zgierską, minęli Bałucki Rynek. Dopiero teraz pani Butyłło odezwała się do Henryka.

— Cieszy mnie pana towarzystwo. Lękałam się myśli o samotnym wieczorze w domu, gdzie stało się tyle strasznego. Spakuję co najpotrzebniejsze rzeczy, zamknę mieszkanie i na noc wrócę do przyjaciółki w Łodzi. Przy sposobności i pana odwiozę.

— Nie ma pani gosposi?

— Tylko dochodzącą. Mieszka w sąsiedniej wiosce, rano przychodzi sprzątać i ugotować obiad. Kolacje sama przygotowywałam.

— A sąsiedzi?

— Pan pyta jak porucznik Pakuła. To najłatwiejsze przypuszczać, że mój mąż zginął z ręki któregoś z mściwych sąsiadów, skoro po zabójstwie nic z naszego mieszkania nie zginęło. Ja w każdym razie nie stwierdziłam, aby cokolwiek zrabowano.

— Mąż pani miał wrogów?

— Kto ich nie ma? Pan zapewne także jest dla kogoś wrogiem. Ale czy planuje pan morderstwo? Mąż mój nie był w przyjaźni z sąsiadami, nie rozmawialiśmy ze sobą, nie bywaliśmy u nich. Szczególnie nie lubił Gniewkowskiego, który ma posesję tuż obok nas.

— Gniewkowski? — przypomniał sobie Henryk. — Czy to nie handlarz antyków? Pozostawał zdaje się w kontaktach handlowych z Rykiertem?

— Zbieracz, kolekcjoner starej porcelany i szkła. Kiedyś bardzo się przyjaźnił z mym mężem. To on zainteresował męża staroświecczyzną, uczył go, jak ją rozpoznawać i szacować. Mąż mój jednak nie miał w sobie żyłki zbieracza. Zaczął handlować antykami i o to się z Gniewkowskim pokłócili. Potem stali się wrogami. Gniewkowski, który cieszy się wśród zbieraczy dużym autorytetem, gdzie mógł psuł mężowi interes. Na przykład naplotkował w łódzkiej Desie, że niektóre dostarczone przez męża przedmioty są niepewnego pochodzenia. Odtąd mąż mój musiał korzystać z pomocy Rykierta, jeśli coś chciał sprzedać w Desie.

— Czy pani to powiedziała milicji?

— Wyciągnęli ze mnie. To jednak trop fałszywy. Gniewkowski wojował z moim mężem, psuł mu interesy, ale podejrzewać Gniewkowskiego byłoby nonsensem. To przeuroczy staruszek. Zakładając sprawę absurdalnie, jeśli ktoś z nich zdolny byłby zabić, to raczej mąż mój, taką czuł nienawiść do Gniewkowskiego.

Umilkła, bo znaleźli się na wąskich i krętych uliczkach Zgierza.

— Pani zna mordercę swego męża — stwierdził Henryk.

Przecząco pokręciła głową. Gdy znów wyjechali na szosę, powiedziała:

— Mam tylko podejrzenie w stosunku do pewnego człowieka. Byłam u niego dzisiaj po rozmowie z panem. Wyjaśnił mi wszystko, odpowiedział na wszystkie moje pytania. Lecz przecież... — nie dokończyła.

— Proszę, niech pani mówi.

— Nie — rzekła zdecydowanie. — Jeśli jest niewinny, narażę go na bardzo poważne kłopoty. Jeśli zaś odegrał w tej sprawie jakąś rolę, już wkrótce będę o tym wiedziała.

Uważał, że nie ma prawa pytać dalej, skoro sama nie chce powiedzieć. Ośmielił się zagadnąć tylko o jedno:

— A laseczka? Czy moja laseczka ma z tym coś wspólnego? Mąż pani nie chciał mi powiedzieć, w czyich była rękach, zanim do niego trafiła.

— Nie wiem. Naprawdę w tej chwili nie wiem nic konkretnego...

Zajechali przed posesję Butyłłów.

— O wpół do pierwszej znalazłam się przed furtką naszego ogrodu — rozpoczęła opowiadanie wysiadając z samochodu i otwierając bramę wjazdową. — Idąc dróżką przez ogród zauważyłam, że przez rolety w oknach przebija światło. Po chwili dostrzegłam nasz samochód przed gankiem, więc byłam pewna, że mąż oczekuje mnie w domu. Nie zdziwiłam się, że drzwi na ganek są otwarte, bo mąż domyślał się, o której mniej więcej powrócę z teatru. Zresztą i samochód nie został jeszcze zagarażowany (garaż jest za domem), a w ogóle nie przywykliśmy dokładnie zamykać drzwi. Dom jest w głębi ogrodu, obcy do nas nie zaglądają, nie zdarzył się ani jeden wypadek kradzieży...

Pani Butyłło zatrzymała samochód przed gankiem, otworzyła kluczem drzwi i wprowadziła Henryka do mieszkania.

— To tutaj — rzekła szeptem. — Weszłam tak jak teraz. I od razu dostrzegłam nieruchomą postać leżącą przed kominkiem. Na krótki moment stanęłam przerażona, lecz natychmiast rozpoznałam męża. Doskoczyłam do leżącego. Dotknęłam dłoni męża. Była już chłodna.

Zapaliła światło w pokoju. Stanęła tuż obok Henryka i jak urzeczona wpatrywała się w dywan przed kominkiem.

— Nie, nie ma już ani śladu krwi — szepnęła. Nagle ocknęła się z zamyślenia. Wskazała Henrykowi fotel.

— Zaparzę mocną kawę. To nam dobrze zrobi — powiedziała i opuściła pokój.

Zapalił papierosa i spróbował wyobrazić sobie, że oto jest oficerem śledczym, którego wezwano do wypadku morderstwa. Na dywanie przed kominkiem leży trup Butyłły, a obok stoi przerażona pani Butyłło. Na co winien zwrócić uwagę? O co pytać?

Pani Butyłło weszła z tacą, na której dymiły filiżanki z kawą.

— Niestety, tylko tutaj możemy wypić kawę. Nasz dom jest bardzo mały. Oprócz tego pokoju mamy tylko sypialnię i kuchnię. To wszystko.

Spytał:

— Czy zwróciła pani uwagę, co przede wszystkim zainteresowało milicję?

— Mąż mój trzymał w palcach wypaloną zapałkę. Pakuła wywnioskował, że morderca zapalał papierosa i wypaloną zapałkę celowo rzucił na dywan przed kominkiem. Morderca dobrze znał mego męża. Wiedział, że był dbały o swoje rzeczy i bardzo pedantyczny. Oczywiście, mąż natychmiast schylił się po zapałkę, a wówczas on...

— Uderzył go bagnetem w plecy — dokończył Henryk.

— Mój mąż nie palił. W popielniczce jednak odkryto odrobinę popiołu. Ja też nie palę — wtrąciła. — Milicja doszła do wniosku, że morderstwo nastąpiło na krótko po wejściu mordercy. Gdyby przebywał tu dłużej, na pewno zostawiłby znacznie więcej popiołu, a także być może jeden lub dwa niedopałki... Zabił mego męża. Później wyrwał nóż z rany i wybiegł z mieszkania. Pozostawił zapalone światło, nie skorzystał z naszego samochodu, który stał przed gankiem. Bagnet rzucił w ogród i wyszedł na szosę, a za szosą jest las. Zresztą może najspokojniej poszedł do przystanku tramwajowego i odjechał?

— Pokazano pani ów bagnet?

— Oczywiście. Milicja pytała, czy czegoś takiego nie było w naszym mieszkaniu lub czy podobnego bagnetu nie widziałam u któregoś z naszych znajomych. To był zwykły niemiecki bagnet wojskowy. Od czasów wojny nigdy i u nikogo nie oglądałam czegoś podobnego.

Wypili kawę. Henryk zapalił nowego papierosa, a ona powiedziała:

— Proszę teraz spełnić obietnicę i wyjaśnić mi, co niejasnego zauważył pan w postępowaniu mego męża.

Opowiedział jej o człowieku, który podawał się za Rykierta.

— To był pan Butyłło. Poznałem go natychmiast, gdy znalazłem się u państwa w domu. Mąż pani szukał w mieszkaniu zmarłego jakiegoś przedmiotu, lecz prawdopodobnie nie znalazł go. Gdy dowiedział się ode mnie

o notesie Rykierta, natychmiast pojawił się u siostry zmarłego. Czy nie domyśla się pani, na czym mu tak bardzo zależało?

— Nie mam pojęcia. Nie wtajemniczał mnie w swoje sprawy.

— U siostry Rykierta zabawił bardzo krótko. O której przyjechał do domu?

— Milicja stwierdziła, że wrócił najprawdopodobniej około wpół do jedenastej. O tej porze zauważono, jak nasz żółty wartburg wjeżdżał w bramę ogrodu. Widział to Gniewkowski, który akurat odbywał spacer przed swym domem.

— Mąż pani przyjechał sam?

— Gniewkowski widział w samochodzie tylko mego męża.

— Po piątej wyszedł od siostry Rykierta, a dopiero o wpół do jedenastej przybył do domu. Z Łodzi jedzie się tu autem niecałe pół godziny. Gdzie był w międzyczasie?

— Nie wiem.

Zastanawiał się głośno.

— Pozostają trzy ewentualności: 1. mordercą jest ktoś miejscowy, 2. morderca przyjechał wkrótce po pani mężu, 3. morderca przyjechał wcześniej niż pani mąż i czekał na niego na szosie lub w ogrodzie. Czy nie zauważono kogoś obcego, kręcącego się w pobliżu domu państwa?

— Milicja nie o wszystkim mnie informowała. Na pewno przeprowadzała i w tej sprawie jakieś dochodzenie. Ja o niczym nie wiem.

— Najgorsze jest to, że nie znamy zupełnie motywu zabójstwa. Dlatego wydaje się ono aż tak bardzo skomplikowane.

Pani Butyłło zerknęła na zegarek.

— Dochodzi dziewiąta — powiedziała. — Zapakuję do walizki trochę swoich rzeczy i wrócimy do Łodzi.

Henryk zerwał się z kanapy.

— To ja w tym czasie odwiedzę pani sąsiada, Gniewkowskiego. Myślę, że pora nie jest zbyt późna, skoro ten pan o wpół do jedenastej odbywa spacery.

Pani Butyłło objaśniła Henryka, którędy należy iść do Gniewkowskiego, i ten, uzbrojony w swoją laseczkę, wyszedł z domu.

Rozjarzone okno pokoju oświetlało krzak róży i niedawno skopaną grządkę. Dalej ogród spoczywał w gęstej ciemności i dopiero na szosie tuż przy torze tramwajowym świeciła wysoka samotna latarnia.

Powędrował chyba ze czterdzieści kroków w stronę przystanku i znalazł się przed furtką niewielkiego ogródka. Stał tu domek, trochę większy od *willi* Butyłłów. W trzech oknach frontu paliło się światło. Podobnie jak u Butyłły, furtka do ogrodu pozostawała otwarta.

Drzwi otworzył malutki staruszek z siwą bródką. Henryk pokazał mu legitymację dziennikarską. Staruszek wyraźnie się ucieszył. Po chwili jednak Henryk dowiedział się, że radość wzbudziła nie osoba dziennikarza (Gniewkowski bowiem wyznał, że gazet nie czytuje), lecz laseczka, którą trzymał w palcach.

— Piękna rzecz! Bardzo piękna — zachwycał się.

Wziął Henryka pod rękę i z malutkiej sionki wprowadził go do oświetlonego pokoju. Tutaj odebrał mu laseczkę i począł ją oglądać, ciągle powtarzając:

— Piękna rzecz. Palisander, zaraz widać. Piękna stara rzecz.

Pokój był dość duży, pod ścianami stały oszklone szafy z dziesiątkami półeczek, na których znajdowały się setki filiżanek, spodków, dzbanuszków i kieliszków. Filiżanki i kieliszki mieniły się najróżniejszymi barwami — złotem, żółcią, błękitem, rubinem, ochrą. Wydawało się, że ściany pokoju utkane są z najdroższych kamieni.

— Skąd pan ma to cacuszko? — pytał Gniewkowski, ciągle oglądając laseczkę.

— Kupiłem w Desie. Należy szarpnąć — dodał zauważywszy, że próbuje odkręcić rączkę.

Gniewkowski szarpnął i wyciągnął bagnet.

— Zachwycające! Wspaniałe! Cudo nie laska — powtarzał.

Henryk delikatnie odebrał mu pochewkę. Bagnet schował do laseczki. Powiedział:

— Wnioskuję, że pan zna się na laseczkach. Może wobec tego będzie pan mógł mi pomóc ustalić, kto był jej poprzednim właścicielem?

— Przecież kupił ją pan w Desie. Tam na pewno wiedzą o właścicielu.

— Podano mi nazwisko magistra Rykierta. On, niestety, nie żyje. Lecz i Rykiert laseczkę nabył od kogoś.

— Nie wiem, nie zbieram laseczek — rzekł z żalem. — Muszę jednak przyznać, że jest piękna. Bardzo piękna. Ile pan za nią zapłacił?

— Pięćset złotych.

— To za bezcen, proszę pana.

W pokoju znalazła się malutka jasnowłosa dziewczynka z warkoczykami.

— Dziadusiu — odezwała się — mama pyta, co będziesz jadł na kolację?

Staruszek niecierpliwie machnął ręką i dziewczynka nadąsawszy buzię wyszła z pokoju. Gniewkowski zajrzał Henrykowi w twarz:

— Pana sprowadza do mnie ta laseczka?

— O laseczkę spytałem przy sposobności. Jestem reporterem i przybyłem tutaj zaintrygowany okolicznościami śmierci pańskiego sąsiada, Butyłły.

Na twarzy staruszka odbiło się zakłopotanie. I znowu Henryk się pomylił. Gniewkowskiego nie zakłopotała sprawa, z którą przybył Henryk. Po prostu nie wiedział, gdzie dziennikarza posadzić, i bezradnie rozglądał się po swym pokoju.

— Może tutaj spoczniemy — powiedział wskazując dwa niskie pufy leżące pod jedną z oszklonych szafeczek. Oprócz nich pod ścianami w pokoju znajdowało się tylko empirowe biureczko, a za biurkiem stał fotel na jednej nóżce.

— Co pan sądzi o śmierci Butyłły? — spytał Henryk. Wzruszył ramionami.

— To oczywiście bardzo smutna historia. Nie lubiłem Butyłły, można rzec nawet, nie cierpiałem Butyłły. Handlował antykami i nieźle się na tym dorobił.

— Widzi pan w tym coś złego?

Staruszek zaczerwienił się, wybałuszył na Henryka oczy i dopiero odsapnąwszy, począł mówić spiesznie i z gniewem:

— Proszę pana, kolekcjonerstwo rodzi się z miłości do antyków, z miłości do przedmiotów starych i pięknych. Można uprawiać miłość, nie ma w tym nic złego. Można nawet zmieniać kochanków jak rękawiczki, mieć ich po

dziesięć na raz. Ale handlować miłością, kupować od jednego i sprzedawać drugiemu? To sutenerstwo, proszę pana. Szczególnie brzydkie staje się to wówczas, gdy się samemu nie uprawia żadnej miłości. Bo owszem, są zbieracze, którzy nabędą jakiś antyk, potrzymają go trochę, rozkoszują się nim, potem zaś odstąpią z zyskiem, bo na widoku mają lepszy, jeszcze piękniejszy. To rozumiem. Wiem także, że niekiedy trzeba wyzbyć się części swoich zbiorów, ponieważ zmusza nas do tego ciężka sytuacja materialna lub chce się zacząć kolekcjonować coś innego. Ale tak na zimno, po prostu handlować antykami i utrzymywać się z tego, to okropne.

Teraz już doskonale było wiadomo, dlaczego nie mogło być mowy o przyjaźni ani nawet o poprawnych stosunkach między Butyłłą i Gniewkowskim. Między Butyłłą, który handlował antykami, a nie miał w domu ani jednego antyku, i Gniewkowskim, którego całe życie obracało się wśród jego zbiorów, porcelany i szkła w szafkach pod ścianami.

— Aby zbierać, trzeba mieć chyba bardzo dużo pieniędzy — zauważył Henryk rozglądając się po ścianach. — Filiżanka z dobrej porcelany kosztuje trzysta, a nawet i pięćset złotych.

Policzki staruszka znów się zaróżowiły. Tym razem jednak z innego powodu.

— Tak, proszę pana — rozpoczął wykład. — Ja zaczynałem od niczego. Właśnie od jednej filiżanki. Oszczędzałem każdy grosz, choć zarabiałem bardzo mało, byłem nauczycielem w Łodzi. Oszczędzałem jednak, nieraz przez pół roku udało mi się uciułać zaledwie na kupno dwóch przedmiotów. Zbieram już od trzydziestu lat. Wymieniam swoje okazy na inne, czasem trafi się kupić coś niedrogiego, a odstąpić z zyskiem albo zamienić na bardziej dla mnie wartościowy przedmiot. Teraz na tych ścianach ogląda pan majątek. Te kruche filiżanki i szkło jest więcej warte niż dom, w którym mieszkam. A przecież zacząłem z niczego i, jak panu powiadam, zarabiałem bardzo niewiele. Jednak wychowałem syna, wykształciłem go, pracuje na placówce konsularnej, a u mnie mieszka jego żona i córeczka. Mam emeryturę. I nawet z lichej emeryturki zawsze coś tam skubnę na jakąś filiżaneczkę.

— Jak pan sądzi — przerwał mu Henryk. — Kto zamordował Butyłłę? Czy jakiś konkurent, handlarz antyków? A może zbieracz, którego oszukał?

Bywają takie historie.

Gniewkowski obraził się.

— Pan mówi ciągle jakieś impertynencje. Znam bardzo wielu zbieraczy, nałogowych, że tak powiem, kolekcjonerów. Oświadczam jednak, że choć zachowują się jak maniacy, jak wariaci, przecież żaden z nich nie jest zdolny do morderstwa. Są ludźmi uczciwymi. Tylko w jakiejś kiepskiej powieści może się zdarzyć, że pasja kolekcjonerska doprowadziła kogoś do morderstwa.

— A jednak Butyłłę zamordowano...

— Może to uczynił zwykły rabuś, bo Butyłło należał do zamożnych ludzi, pięknie urządził mieszkanie, kupił samochód, wziął sobie piękną kobietę, która na pewno nie żyje z nim z miłości, lecz dla pieniędzy.

— Tak pan myśli?

— Panie, Butyłło to okropny brzydal. A jaki niesympatyczny! — burknął staruszek ze szczerą odrazą.

— Jak wyglądały stosunki między Butyłłą i jego żoną?

— To nie jego żona, tylko kochanka. Z żoną nie żyje od paru lat. Ta zaś ma zbyt wiele urody, żeby nie grzeszyć — filuternie przymrużył lewe oko. — Bo, jak powiadają filozofowie, piękna kobieta rzadko kiedy zachowuje cnotę, albowiem na to nie pozwolą jej mężczyźni. Niestety, proszę pana, nie wiem nic konkretnego. Nie wściubiam nosa w cudze sprawy.

— Pan znał Rykierta — rzekł Henryk — magistra Rykierta. Zginął w wypadku samochodowym. W ostatnim czasie nawet kupił pan coś od niego.

— Pozłacaną solniczkę. Rykiert to był kiedyś bardzo porządny człowiek. Swojego czasu na jednej z wyższych łódzkich uczelni wykładał historię sztuki. Ostatnio poszedł w ślady Butyłły. Dawniej radziłem się go przy interesujących zakupach, ale później przestałem.

— Mam jeszcze jedno pytanie — powiedział Henryk, spoglądając na zegarek. — Jeszcze do niedawna Butyłło dostarczał antyki także i do sklepu Desy. Dlaczego później przerwał? Co było tego powodem?

— Dał Desie w komis kilka pięknych mosiężnych świeczników. Rozpoznaliśmy je jako świeczniki z jednej z polskich starych bożnic. Później pozostawił w Desie do sprzedania złoty talerz, w którym pewien żydowski

lekarz odkrył swoją własność. Pan wie, obecnie w Polsce dużo jest u ludzi przedmiotów, jakie Niemcy zrabowali, a potem odprzedali albo po prostu pozostawili uciekając. W każdym razie, jakkolwiek by było, interesy pana Butyłły nie wydawały się najczystsze i Desa coraz niechętniej wchodziła z nim w kontakt. W końcu Butyłło obraził się i zaczął współpracować z Desą krakowską i warszawską.

— Do łódzkiej Desy nie przestał dostarczać antyków. Tylko że robił to już za pośrednictwem Rykierta — wyjaśnił Henryk.

— Ach, to tak miały się sprawy? — zdumiał się staruszek.

Henryk spojrzał na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Nadeszła pora, aby wrócić do pani Butyłło, która już zapewne skończyła pakowanie walizek i oczekiwała jego przyjścia.

Pożegnał więc Gniewkowskiego i po chwili znalazł się znowu w ogrodzie Butyłłów. Okno pokoju już z daleka jaśniało światłem, żółty wartburg oczekiwał przed gankiem. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Drzwi sypialni pozostały otwarte, w sypialni także paliło się światło.

— Wróciłem już, proszę pani — zawołał.

Nie usłyszał odpowiedzi. W salonie na jednym z foteli przy kominku leżała półotwarta walizka wypakowana damskimi szmatkami. Na dywanie walało się kilka par pantofli na szpilkach.

— Proszę pani! — zawołał zaglądając do sypialni.

Na szerokim tapczanie nakrytym barwną narzutą leżało kilkanaście sukienek. Wszedł do kuchni. I tutaj także paliło się światło, a na przygaszonym ogniu gazowej kuchenki cichuteńko syczał czajnik z gorącą wodą.

„Zapewne poszła do jakiejś sąsiadki" — pomyślał. I pod nieobecność właścicielki nie chcąc kręcić się po mieszkaniu, powrócił do salonu. Zapalił papierosa, siadł na kanapie. Gdy papieros skończył się, nacisnął klawisz radioli. Posłyszał znajomą melodyjkę z *Opery za trzy grosze*, a potem dobrze mu znane strofy Brechta. Ułożył się na kanapie nieco wygodniej. Palił papierosa i słuchał:

A rekiny w oceanie

mają zębów cały pysk.
Mackie ma w kieszeni majcher,
lecz któż widział jego błysk?

Raz w niedzielę przy pogodzie
trup na brzegu broczy krwią,
a za rogiem ktoś się chowa,
kogo Mackie Majchrem zwą.

Jenny Towler znaleziono
z nożem w piersiach, ale cóż
Mackie Majcher spaceruje
I nikt nie wie, czyj był nóż.

Do jedenastej słuchał *Opery za trzy grosze*. Później zaczęto nadawać koncert jazzowy, chciało mu się spać, a pani Butyłło nie wracała.

Wyszedł na ganek. Samochód stał przed schodkami, ogród leżał w ciszy i mroku. — Zagadała się u sąsiadki — warknął półgłosem.

Znowu ułożył się na kanapie. Przed oczami miał kominek i miejsce, w którym znaleziono trupa Butyłły. Gdy przymykał oczy, zdawało mu się, że przez rzęsy dostrzega na dywanie kształt leżącego ciała. Wówczas otwierał szeroko oczy i nazywał się tchórzem.

Wysłuchał ostatnich wiadomości, hymnu narodowego, nastawił radio na Monte Carlo. Taneczna muzyka na chwilę przywróciła mu równowagę ducha. Po chwili jednak znowu odczuł niepokój, który począł ciągle narastać. Pomyślał, że może pani Butyłło wyszła do ogrodu i tam została zamordowana. W pamięci natrętnie wracała zwrotka z Brechtowej piosenki:

Jenny Towler znaleziono
z nożem w piersiach, ale cóż,
Mackie Majcher spaceruje
i nikt nie wie, czyj był nóż.

„Powinienem pójść do ogrodu i zacząć jej szukać” — medytował.

Bał się. Bał się coraz bardziej. W pewnej chwili wydawało mu się, że widzi twarz przylepioną do szyby. Zerwał się z kanapy, wyszarpnął bagnet z laseczki. Z obnażonym bagnetem pobiegł do drzwi i zamknął je na zatrzask. Potem zasunął story w pokoju.

„Powinienem iść do ogrodu” — powtarzał w myślach. Ale nawet nie raczył wstać z kanapy.

W radio trwał koncert jazzowy, głośno zawodził saksofon. Zdecydował się. Z obnażonym bagnetem podszedł do drzwi, otworzył je szeroko i stanął na ganku.

— Pani Butyłło! Hallooo! — krzyknął niezbyt głośno.

Czujnie nadstawiając uszu zbliżał się aż do furtki. Wrócił do domu zupełnie uspokojony. „Ona zaraz przyjdzie. Jestem tchórz i histeryk” — mówił półgłosem. Zgasił gaz w kuchni i aby przekonać się o swej odwadze, nie zamknął drzwi wejściowych, tylko obok drzwi z korytarzyka do salonu postawił krzesło, które musiało się przewrócić, gdyby ktokolwiek spróbował wejść. Na całą swoją długość położył się na kanapie, na nogach ułożył sobie obnażony bagnet i trzymając w dłoni srebrną główkę laseczki, zasnął błogo i bez majaków.

1 czerwca

— Dzień dobry panu — powiedział porucznik Pakuła i zdjął z głowy swój ogromny kapelusz.

Henryk zerwał się z kanapy i zrzucił na dywan obnażony bagnet laseczki.

— Jakże to? Już dzień? Całą noc przespałem na tej kanapie? Gdzie pani Butyłło?

Pakuła wzruszył ramionami:

— Wydaje się — rzekł — że to ja mogę pana o to zapytać?

Pakuła przespacerował się po kuchni, a potem zajrzał do sypialni.

— Nie mam pojęcia, co się z nią stało — tłumaczył mu Henryk. — Zamierzała nocować u swej przyjaciółki w Łodzi i chciała wziąć stąd najpotrzebniejsze rzeczy. Zabrałem się z nią wczoraj wieczorem, bo obiecała, że opowie mi dokładnie, jak odnalazła ciało swego męża. Postanowiłem zrobić tak zwaną wizję lokalną, skoro pan nie był skłonny udzielić mi żadnych informacji.

— Nie żałuję.

— A jednak dowiedziałem się wszystkiego. Zainteresowała mnie sprawa między Butyłłą a jego sąsiadem, i złożyłem wizytę Gniewkowskiemu. W tym czasie pani Butyłło zajęła się pakowaniem walizki. Gdy wróciłem, pani Butyłło nie zastałem w domu. Samochód jednak czekał przed domem...

— Teraz też stoi.

— No właśnie. Przypuszczałem, że tylko na chwilę wyszła do jakiejś znajomej lub sąsiadki. Nie pozostało mi nic innego jak czekać. Myślałem: zaraz wróci, bo światła nie zagasiła, a w kuchni pod czajnikiem palił się gaz. Czekałem, czekałem, wreszcie zasnąłem i obudziłem się dopiero teraz.

To mówiąc Henryk zgasił światło w pokoju i wyłączył radio, które nadawało dziennik poranny.

Pakuła usiadł w fotelu (drugi fotel zajmowała walizka). Odezwał się:

— Czemu trzymał pan w ręce bagnet laseczki?

— Bałem się. A raczej czułem się nieswojo w mieszkaniu, gdzie niedawno zamordowano człowieka. W pewnej chwili wydawało mi się, że za szybą

majaczy jakaś gęba, więc zasunąłem rolety.

— Ale drzwi pan nie zamknął?

— Najpierw zamknąłem. Lecz później otworzyłem. Chciałem sobie udowodnić, że jestem odważny. A poza tym przecież pani Butyłło mogła lada chwila powrócić?

— Taaak — mruknął do siebie Pakuła. I zapytał: — Co się z nią stało?

— Z kim?

— Z panią Butyłło?

— Nie wiem — odrzekł Henryk i zapalił papierosa.

— Taaak — jeszcze raz mruknął Pakuła. Podniósł się z fotela i począł ciężkim krokiem spacerować po pokoju.

— Bawi się pan w detektywa, co? — spytał niechętnie.

— Czy to panu przeszkadza?

— Nie. Baw się pan zdrowo.

Henryk podsunął mu inny temat:

— Pani Butyłło jest bardzo piękną kobietą. Kto wie, czy oprócz Butyłły nie ma jeszcze jakiegoś przyjaciela.

Przystanął.

— Ma kochanka. I człowiek ten nie posiada dostatecznego alibi. W tej sprawie przyjechałem do pani Butyłło. Musi mi ona wyjaśnić pewne sprawy.

— Kim jest ten człowiek?

— Stop, redaktorze. To osobnik żonaty, z dwojgiem dzieci; a milicja w takich razach powinna zachować dyskrecję. Oczywiście dopóki nie zostanie aresztowany.

— Aresztuje go pan?

— Nakaz mam już w kieszeni. Uzależniam to jednak od wyjaśnienia pewnych kwestii. Tak więc powiedziałem panu bardzo wiele — i uśmiechnął się złośliwie, bo oczywiście, w gruncie rzeczy, nic nie powiedział.

Raptem spoważniał.

— Ten dywanik pod szafą chyba inaczej leżał, gdy tu byłem poprzednim razem — wskazał dywanik czubkiem bucika.

Henryk nie zwrócił uwagi na jego słowa. Rzekł:

— Zupełnie niesłusznie uważa mnie pan za swego konkurenta. Nie zamierzam zostać detektywem amatorem i szukać mordercy pana Butyłło. Po prostu chcę poznać historię laseczki i opisać ją w gazecie. Sądziłem, że pani Butyłło może mi w tej sprawie wyjaśnić więcej niż ktokolwiek inny. Przyszła do redakcji wczoraj w południe, pragnęła dowiedzieć się, o czym rozmawiałem z jej mężem, bo po tej rozmowie on zamiast iść do teatru, pojechał autem do Łodzi. Oczywiście skorzystałem z okazji, żeby i w swojej sprawie to i owo od niej wyciągnąć. Zgodziła się zawieźć mnie tutaj, a po drodze trochę rozmawialiśmy. Wydawało mi się, że domyśla się, kto zabił jej męża.

— Ba — powiedział Pakuła. — To zrobił jej drugi kochanek. Zapewne myślała, że przyjechał pan do nich, aby poinformować Butyłłę o kochanku jego kochanki. Butyłło wsiadł natychmiast w auto i pojechał do niego. Pokłócili się, Butyłło wrócił do domu, kochanek przyjechał za nim, zabił go. Zresztą — machnął ręką — zaraz dowiemy się wszystkiego. Od niej — powiedział.

Nagle schylił się, odsunął dywanik sprzed szafy.

— A może niczego się już nie dowiemy — mruknął. Pod dywanikiem czerniała plama zastygłej krwi. Pakuła ostrożnie przestąpił krwawe ślady i otworzył szafę. Zobaczyli palta na wieszakach. Niżej, spod palt wychylały się gołe nogi obnażone aż po uda. Pakuła odsunął ręką palta, zajaśniała plama pięknych blond włosów pani Butyłło. Głowę miała skręconą i twarzy nie mogli dojrzeć.

— Martwa — rzekł cicho Pakuła. Odstąpił od szafy, palta znów zesunęły się i tylko gołe nogi rzucały się w oczy woskowym odcieniem.

— Więc ona... tutaj...? Przez całą noc?... A ja spałem.

Kiwnął głową.

— Co teraz zrobimy? — spytał Henryk.

Pakuła nie odpowiedział.

— Może skoczyć do telefonu? Zawiadomić milicję?

Spojrzał na Henryka badawczo:

— Nie, nie wolno panu stąd odejść.

— Więc niech pan idzie zawiadomić.

— Mnie także nie wolno stąd odejść.

— Dobra. To siedźmy tutaj — powiedział Henryk.

— Tak czynić też nie powinniśmy.

W szafie leżał trup kobiety, a Pakuła tkwił na środku pokoju i medytował. Na szczęście dróżką do domu Butyłłów nadchodził jakiś człowiek.

— Znam tego faceta — rzekł Henryk. — Nazywa się Skarżyński. Był przedwczoraj u siostry Rykierta. To zdaje się także jakiś kolekcjoner.

Usłyszeli pukanie. Pakuła otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz ze Skarżyńskim.

— Pan do kogo?

— Przepraszam bardzo... chciałem się dowiedzieć, gdzie mieszka pan Gniewkowski. Poinformowano mnie, że w tym kierunku trzeba iść, ale to już ostatni dom.

— Poszedł pan za daleko o jedną posesję. Gniewkowski mieszka w sąsiedztwie.

— Dziękuję panu — usłyszał Henryk głos Skarżyńskiego.

Wyjrzał zza pleców Pakuły i zobaczył, że Skarżyński ruszył dróżką do furtki. Pakuła zawołał:

— Przepraszam pana!

Skarżyński zatrzymał się. Pakuła powiedział:

— Jestem z milicji. Czy nie byłby pan łaskaw, będąc u Gniewkowskiego, który posiada telefon, zadzwonić do Łodzi pod numer 004 i powiedzieć, że porucznik Pakuła prosi o natychmiastowy przyjazd ekipy milicyjnej?

— Czy coś się stało? — zaniepokoił się Skarżyński.

— Pamięta pan numer?

— Tak, tak, pamiętam — gorąco przytaknął Skarżyński i szybkim krokiem pomaszerował do furtki.

Powrócili do pokoju.

— I znowu nie mam alibi — westchnął Henryk.

— A tak, tak — nie bez pewnej satysfakcji pokiwał głową Pakuła. — Tym razem już naprawdę nie ma pan alibi. Bo jeśli chodzi o poprzednie morderstwo, panienka zwana Rosanną potwierdziła pańską obecność w domu.

— Znalazł ją pan? — ucieszył się.

— Powiedziałem, że to nie będzie trudne.

Usiedli. Henryk w fotelu, żeby nie widzieć wychylających się z szafy gołych nóg zamordowanej. Pakuła — na kanapie, jakby specjalnie szukając tego widoku. Rozpoczął rozmowę, która po chwili przekształciła się w przesłuchiwanie bez protokołu i protokolanta. Henryk musiał mu szczegółowo opowiedzieć wszystkie swe czynności z poprzedniego dnia. Opisał dokładnie wizytę, jaką w redakcji złożyła mu pani Butyłło, powtórzył treść ich rozmowy, gdy jechali samochodem i później, gdy znaleźli się w jej domu. Opowiedział o swej wizycie w domu Gniewkowskiego i o wszystkim, co potem przeżył.

— Jestem pewien — zakończył — że lekarz sądowy stwierdzi, iż pani Butyłło została zabita między godziną dwudziestą pierwszą, a dwudziestą pierwszą trzydzieści, to jest wówczas, gdy byłem u Gniewkowskiego.

— Niech pan zbyt wiele nie wymaga od lekarza. Ustali chwilę zgonu tylko w pewnym przybliżeniu. Ale na pewno nie będzie mógł stwierdzić, czy została zamordowana na przykład za pięć minut dziewiąta lub w pięć minut po wpół do dziesiątej. A przecież nawet pięciu minut nie potrzeba, aby pchnąć nożem, ciało wsunąć do szafy, a ślady krwi zasłonić dywanikiem.

— Nonsens! — krzyknął Henryk, zrywając się z fotela. — Ja jej nie zabiłem! Czyż siedziałbym tu przez całą noc?

Pakuła wzruszył ramionami.

— Nie twierdzę, że pan jest mordercą. Gwoli prawdzie jednak zauważyć muszę, że morderca nie zawsze ucieka z miejsca zbrodni. Zdarza się, że sam dzwoni po milicję. A poza tym pan nie mógł wiedzieć, że ja zjawię się tutaj dzisiaj rano...

Wstał. Na ścieżce w ogrodzie znowu pojawił się Skarżyński.

Wyszli z Pakułą na ganek. Skarżyński ukłonił się Henrykowi bardzo uprzejmie, nie śmiał jednak zapytać, co ten robi tutaj w towarzystwie milicjanta.

— Zawiadomiłem Wojewódzką Komendę. Obiecali, że zaraz przyjadą. Czy naprawdę stało się coś złego?

— Dziękuję panu — chłodno rzekł Pakuła. — Dowie się pan z gazet.

— To aż coś tak bardzo poważnego? — zawołał Skarżyński.

Henryk wtrącił:

— Gazety nie zawsze piszą tylko o poważnych sprawach. Aha — przypomniał sobie. — A co z tą pozłacaną solniczką? Odprzedał ją panu Gniewkowski?

— Powiedział, że się zastanowi...

Pakuła dał Henrykowi znak ręką, aby wrócił do mieszkania.

A ponieważ Skarżyński nie kwapił się jakoś z odejściem, Pakuła wyszedł na ganek, rzekł coś groźnie i przegnał go z ogrodu Butyłłów.

— Gotów zdeptać wszystkie ślady — mruczał po powrocie do domu.

Henryk trzymał w ręku laseczkę. Pakuła popatrzył na niego prawie wrogo.

— Powinniśmy to panu odebrać. I zrobimy to. Już ja się postaram — warknął.

— Sądzi pan, że odgrywa ona jakąś rolę w tej sprawie?

— Niech pan nie plecie bzdur. Gdyby laseczka odgrywała jakąś rolę, toby przede wszystkim pana zamordowano. Natomiast nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że ona wplątuje pana w brzydkie historie. Kim pan jest, do diabła? — krzyknął.

— Co takiego? Pan nie wie, kim jestem?

— Co pan tutaj robi? — wrzeszczał Pakuła. — Co pan ma do roboty w mieszkaniu zamordowanego!? Po co pan tu przylazł!? Kto pana o to prosił!? Kto panu każe spać w towarzystwie zamordowanej!?

— Nie wiem — odpowiedział Henryk. Pakuła miał bowiem rację. Laseczka wplątywała Henryka w jakieś niesamowite historie.

Pakuła odebrał Henrykowi laseczkę.

— To się dopiero okaże, czy ta kobieta nie została zabita pańską laską — zagroził.

Aż do przyjazdu ekipy milicyjnej siedzieli w zupełnym milczeniu, kontemplując swoje sprawy.

Potem w saloniku rozpoczął się gorączkowy ruch. Trzaskał flesz fotografa. Z szafy wyciągnięto zwłoki pani Butyłło. Henryk nie chciał ich oglądać

i poszedł do kuchni. Posiedział chwilę z majorem Buczkiem, który przyjechał z ekipą. Znowu musiał opowiadać wszystkie swoje perypetie z panią Butyłło.

Wreszcie przyszedł do nich Pakuła, oddał laseczkę, stwierdził, że panią Butyłło zamordowano nożem. Prawdopodobnie długim kuchennym nożem. Cios był identyczny jak w wypadku Butyłły, w plecy pod lewą łopatkę, prosto w serce. Z rozmowy między Buczkiem i Pakułą wywnioskował Henryk, że pod oknami pokoju na świeżo skopanej grządce odkryto ślady butów. Ślady te odnaleziono także na zoranym poletku na skraju lasu. Pies poprowadził milicję do miejsca, gdzie morderca zagłębił nóż w ziemi, aby otrzeć go z krwi. Trop urwał się na drodze w lesie. W tym miejscu stał jakiś samochód.

— Ten sam? — spytał Buczek.

— Na razie nie wiadomo. Tam jest sucha twarda glina i ślady kół pozostały bardzo niedokładne. Aby wyjechać na szosę, musiał jednak przebyć kawałek błota, gdzie je odnajdziemy bardziej wyraźnie.

— Czy ten łajdak stanął autem w tym samym miejscu co poprzednio?

— Prawie w tym samym — skinął głową Pakuła.

Kazał Henrykowi pokazać podeszwy butów, potem lekceważąco machnął ręką.

Henryk rzekł z satysfakcją:

— A jednak nie uległem złudzeniu, gdy wydawało mi się, że jakaś gęba zagląda do mnie przez okno.

Nie raczyli nawet odpowiedzieć. Buczek zabrał Henryka do samochodu milicyjnego i powiózł do Łodzi. Dopiero w sześć godzin później, po długich i żmudnych przesłuchiwaniach, które tym razem spisano bardzo dokładnie — znalazł się Henryk u siebie w mieszkaniu.

Laseczki mu nie odebrano, bo zagroził, że złoży skargę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

2 czerwca

W redakcji tygodnika, gdzie pracował Henryk, panowały dość familiarne stosunki. Wczorajszą nieobecność wytłumaczył Naczelnemu koniecznością niespodziewanego wyjazdu do Warszawy. Ten przyjął to do wiadomości i sprawa została zakończona.

Henryk wziął się więc do roboty, a w miarę jak pracował, dojrzewało w nim przekonanie, że powinien definitywnie porzucić badanie historii laseczki, bo nic dobrego z tego nie wyniknie.

Tak myślał, dopóki nie zadzwoniła do niego siostra Rykierta.

— Co się z panem stało? Telefonowałam wczoraj i przedwczoraj. Nie mogłam zastać pana w domu.

— Wyjechałem...

— A ja mam dla pana ciekawą wiadomość. Jeszcze raz zapoznałam się z notatkami mego brata i zauważyłam, że wszystkie jego transakcje związane są z konkretnymi nazwiskami, a tylko trzy mają znaczek X a jedna Y. To znaczy, że niektóre przedmioty brat mój nabył od jakiegoś Iksa, a jeden przedmiot sprzedał jakiemuś Ygrekowi. Co pan o tym myśli?

— Cóż to za przedmioty?

— Zegar. Kupił go mój brat od Iksa 25 maja ubiegłego roku. 14 listopada ubiegłego roku nabył od Iksa złoty talerz. 10 marca kupił od Iksa pozłacaną solniczkę, zaś 21 maja sprzedał Ygrekowi srebrny nóż.

— Nie domyśla się pani, kto się kryje za owym Iksem lub Ygrekiem?

— Skądże? Właśnie pan powinien to zbadać.

Po dłuższej chwili namysłu zdecydował się odpowiedzieć:

— Być może, zajmę się tym. Tylko proszę mi dać więcej czasu. Na razie wolałbym pozostać jak najdalej od tych wszystkich historii.

— Dlaczego, na Boga?

— Dowie się o tym pani już w najbliższym czasie. Z gazet.

— Niechże pan powie! Umrę z ciekawości.

— Zamordowano także panią Butyłło.

Po drugiej stronie drutu telefonicznego zaległo milczenie. Henryk sądził już, że staruszka odłożyła słuchawkę. Lecz usłyszał ciche „do widzenia panu". Stuknęły widełki i rozłączyli się.

Wieczorem Henryk wybrał się do kawiarni na ulicy Moniuszki. Nie zastał tam nikogo ze swych przyjaciół — ani Marka, ani Julii, natomiast zobaczył emerytowanego kapitana, którego zwano rotmistrzem, ponieważ podobno podczas pierwszej wojny światowej służył w kawalerii. Rotmistrz jak zwykle siedział w kawiarni w towarzystwie swego psa, francuskiego buldożka. Pan i pies byli do siebie niezwykle podobni, mieli podobne małe nosy, wyłupiaste oczy i obwisłe policzki. Rotmistrz miał ambicję patronować młodym pisarzom i dziennikarzom, a polegało to na tym, że nieustannie opowiadał im nieprawdopodobne historie ze swego życia, chwalił się przewagami wojennymi i znajomościami w przedwojennym świecie literackim i dziennikarskim. Gdy któryś z młodych próbował wtrącić jakąś swoją uwagę, rotmistrz krzyczał: „Cicho, historia do was mówi!".

Widok rotmistrza bardzo Henryka uradował. Wiedział, że stary na ogół blaguje, lecz posiada dość dobrą pamięć.

— Panie rotmistrzu — rzekł siadając obok niego. — Czy obiło się panu o uszy nazwisko Kocher? Mecenas Kocher?

Rotmistrz popatrzył na niego z pogardą:

— Pan pyta, czy mi się obiło o uszy? Człowieku, ja Kochera znałem. Bywał w domu mego ojca. Jak pan wie, ojciec mój był znanym łódzkim dyrektorem banku.

Henryk kiwnął głową. Niedawno słyszał od niego, że ojciec jego był znanym w Łodzi hurtownikiem.

— Mecenas Kocher umarł zdaje się w 1919 roku — ciągnął rotmistrz. — Miał córkę, przepiękną i słynną z urody Izę Kocher. Słyszał pan o niej?

— Nie.

— Ach, cóż to była za dziewczyna. Warto wiedzieć, że zdarzyła mi się z nią bardzo miła przygoda. Proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia, to było zdaje się w dwudziestym trzecim roku...

— Mnie nie chodzi o pana, panie rotmistrzu — Henryk przerwał mu opowiadanie — lecz o Kochera.

— A cóż pan chce wiedzieć o Kocherze? Adwokat. Zdolny adwokat. Umarł. Natomiast jego córka, słynna z urody Iza Kocher, to było zjawisko. Trzeba panu wiedzieć, iż w owych latach nie wyglądałem tak jak teraz. Byłem młody, w mundurze oficerskim, a mundury były bardzo dobrze dopasowane, nie takie jak teraz.

— A Iza Kocher?

— Cóż Iza? Po przygodzie ze mną wyszła za mąż za jakiegoś Niemca, właściciela sklepu z manufakturą. Zdaje się, zmarła po dwóch latach małżeństwa. Ach tak, pamiętam. Ten Niemiec nazywał się Ernest Bromberg i wmieszany był później w morderstwo pewnej cyrkówki. Znam tę sprawę dokładnie, bo trzeba panu wiedzieć, że mój ojciec pracował wówczas w redakcji jednego z łódzkich pism, a i ja sam, jak pan wie, piórem się parałem.

— Cyrkówka? Zamordowana?

— Zasztyletowano ją. Ach, cóż to była za piękność.

Trzeba panu wiedzieć, że miałem z nią zabawną przygodę. Pewnego dnia zjawiłem się w cyrku na przedstawieniu. Oczywiście miałem miejsce w loży honorowej, siedziałem w mundurze doskonale dopasowanym i bardzo eleganckim. Ona była woltyżerką i tak mnie zachwyciła, że nabyłem kwiat, to była, zdaje się, czerwona róża. Cwałowała konno po arenie, ja rzuciłem jej kwiat, chciała go chwycić, wychyliła się i o mało nie spadła z konia. Oczywiście natychmiast przesadziłem barierkę i rzuciłem się na arenę, żeby ją podnieść...

— Upadła? — spytał Henryk.

— Później. Ze mną, proszę pana — rzekł rotmistrz. — Grób tej cyrkówki jest na Starym Cmentarzu. Zasztyletowano ją. Najprawdopodobniej uczynił to jej zazdrosny mąż lub kochanek. Kochankiem zaś był ów Bromberg. Tak, tak, na pewno Bromberg.

— Kiedy to się zdarzyło?

— W 1929 roku, proszę pana.

Henryk nie pytał więcej, bo do kawiarni weszła Rosanna. Skierowała się do wolnego stolika przy ceratowej kanapce. Nie zdążyła usiąść, a Henryk już znalazł się obok niej.

Niechętnie podała mu rękę. Patrzyła gdzieś w bok, jakby obrażona.

— Rosanno — powitał ją. — Co się z tobą dzieje? Dlaczego o mnie zapomniałaś?

Jeszcze chwilę dąsała się.

— Nie jesteś dżentelmenem — powiedziała.

— O co ci chodzi, Rosanno?

— Przespałeś się ze mną i zaraz powiedziałeś o tym milicji.

— Nie mogłem postąpić inaczej. Czytałaś już chyba o zabójstwie Butyłły? Gdybym nie wyznał, że nocowałaś u mnie, nie miałbym alibi.

— Dżentelmen nawet w takim wypadku nie zdradza nazwiska kobiety, z którą zdarzyło mu się mieć przyjemność. Czytałam książkę kryminalną; facet został aresztowany, o mało go nie powiesili, ale nie powiedział, z kim spał.

— W życiu jest inaczej. Zapewniam cię.

— Ty myślisz, że to należy do przyjemności, gdy w domu zjawia się milicjant i pyta: z kim pani spała tej a tej nocy?

— Powinnaś mnie zrozumieć...

— Postąpiłeś niełądnie. W każdym razie oszczędziłam ci aresztowania i więzienia. Myślę, że potrafisz to ocenić.

Skinął głową. Nie powstrzymał się jednak od drobnej uszczypliwości.

— Milicja odnalazła cię, gdy tylko wymieniłem twoje przezwisko. Powiedz mi, skąd oni cię znają?

— Jesteś naprawdę świnia — szepnęła.

— Znowu wpakowałem się w głupią sprawę. Zamordowano także panią Butyłło. I również nie mam alibi. Całą noc siedziałem u niej w mieszkaniu, czekając na jej przyjście.

— Nie spałam z tobą, więc nie masz alibi, co? — triumfowała. — Oczywiście, domyślam się, po co byłeś w jej mieszkaniu. Wiem, że ci się bardzo podobała.

— Spałem u niej...

— Z nią?

— Obok. Ona w szafie zamordowana. A ja na kanapie.

— Fiuuuu! — gwizdnęła. — Z tego się już nie wywiniesz. Dziwię się, że chodzisz na wolności.

— Znaleziono ślady mordercy.

— Ty masz szczęście, no, no, no...

— Pojedziesz do mnie? — zaproponował.

— Chcesz mieć alibi?

Kiwnął głową. Uśmiechnęła się.

— Jesteś drań — powiedziała. — Ale mi się podobasz. Chciałabym, żebyś się ze mną ożenił.

— To się zobaczy — rzekł. — Na razie grozi mi więzienie.

— Będę ci posyłała paczki — obiecała.

Na rogu ulicy złapali taksówkę.

W domu wyjął torebkę z ręki dziewczyny.

— Słuchaj, mała — powiedział. — Kiedy byłaś u mnie, pozwoliłem sobie zajrzeć do twojej torebki. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego nosisz pistolet?

— A możesz mi wyjaśnić, dlaczego zaglądałeś do torebki?

Ani myślał wyznać prawdę.

— Zwróciło moją uwagę, że jest ciężka. Więc po prostu zajrzałem.

— Po prostu zajrzałem — przedrzeźniała go, komicznie krzywiąc usta. — A ja usłyszawszy, że szperasz w mojej torebce, powinnam po prostu wyjść od ciebie. Nie zrobię tego. A nie uczynię tak, ponieważ ty wcale nie grzebałeś w mojej torebce. To wszystko ci się śniło.

— Co mi się śniło?

— Że znalazłeś pistolet.

— Nie rozumiem...

— Ja też nie. Albowiem nie mam broni. Nie umiał nic odpowiedzieć.

— Słuchaj, a może ty grzebałeś w torebce jakiejś innej dziewczyny? — spytała.

— Może naprawdę to tylko mi się śniło?

— Nie wierzysz mi, prawda? No to sam zobacz. Otworzyła swoją czarną torebkę (wtedy jednak miała inną, dużą tramwajarkę) i wysypała na tapczan całą jej zawartość: portmonetkę, szminkę, puderniczkę i chusteczkę do nosa.

Pozbierał wszystko z tapczanu i wpakował do torebki. Postanowił więcej nie zaprzątać sobie głowy pistoletem Rosanny. Ostatnio tyle przedziwnych spraw wypadło mu przeżywać, że ta w ogóle przestawała się liczyć.

3 czerwca

Nazajutrz ledwie tylko zjawił się w Klubie Dziennikarzy i spojrzał w twarze kolegów, od razu pojął, że jego obecność w mieszkaniu zamordowanej kobiety stała się ogólnie znana. Co prawda wzmianki w gazecie zaledwie informowały o śmierci pani Butyłło i stereotypowo donosiły, że *śledztwo w toku*, to jednak zapewne ktoś prowadzący śledztwo nieopatrznie bąknął o Henryku któremuś z dziennikarzy. Na razie twarze kolegów wyrażały tylko nadmierne zainteresowanie osobą Henryka. Niemniej jednak szybciutko wypił kawę i wyniósł się piętro wyżej do swej redakcji.

W sekretariacie spotkał Julię. Oddawała swoje rysunki. Uśmiechnęła się przyjaźnie, przytrzymała jego dłoń w swojej dłoni.

— Henryku — rzekła zatroskana — czy to prawda, co mówią o tobie?

— Jeśli mówią dobrze, jest to na pewno prawda.

— Podobno zamieszany zostałeś w podwójne morderstwo. Słuchaj — rzekła wyprowadzając go na korytarz. — To przez tę kobietę stało się to wszystko, prawda?

— O kim myślisz, Julio?

— Zakochałeś się, tak? — pytała natarczywie.

— O kim myślisz, Julio?

— Mówię o blondynie, która przedwczoraj była u ciebie w redakcji. Przyznaj się, ona wmieszała cię w morderstwo.

— Ona.

— Henryku, jeszcze jest czas, jeszcze możesz się cofnąć. Mówiłeś kiedyś, że mnie kochasz. Pozwalałam sobie na żarty z ciebie, bo wydawałeś mi się staroświecki i troszkę śmieszny. Dawałeś sam powody, aby tak myśleć o tobie. Przecież nawet tę śmieszną laseczkę kupiłeś. Wiesz chyba, że jestem kobietą bez specjalnych przesądów. Ale wydaje mi się, że bardzo źle czynisz, zadając się z tą panią. To nie jest kobieta dla ciebie. Musisz się jej pozbyć.

— Już się to stało.

— Już?

— Zamordowano ją — rzekł krótko.

Odwróciła się gwałtownie i odeszła w głąb korytarza.

To było właśnie w jej stylu. Odejść i nie rzucić nawet słowa wyjaśnienia. Zawsze tak postępowała z Henrykiem. Żartowała, pokpiwała, nigdy nie widziała w Henryku partnera do miłości. Był dla niej zbyt staroświecki, a ona uważała się za nowoczesną kobietę. „Nowoczesna — pomyślał ironicznie — nowoczesna jest tylko w swych sądach o malarstwie. W życiu wszystko układa sobie wygodnie i po mieszczańsku". Opowiadano o niej, że jako studentka szkoły sztuk plastycznych dostawała wypieków, gdy wspólnie z kolegami wypadło jej malować akt kobiecy. Przypomniał sobie Rosannę i pomyślał: „Julia jest staroświecka, a ja jestem nowoczesny".

Przekonany o swej wyższości nad Julią, powędrował do redakcyjnego archiwum i zasiadł nad kompletami gazet łódzkich z 1929 roku. Rotmistrza uważał za blagiera, ale przecież jego blaga wyrastała na jakimś realnym gruncie. Należało odcedzić pianę, którą nabełtał, a to, co pozostawało, warte było uwagi, choćby dlatego że dotyczyło Ernesta Bromberga, zięcia adwokata Kochera.

Przewertował kilkadziesiąt pożółkłych stronic starych gazet i wreszcie wpadł mu w oczy krzykliwy tytuł:

MORD W WOZIE CYRKOWYM.

Inne gazety donosiły w tytułach:

SZTYLET I ZDRADA, PIĘKNA ZAZA OFIARĄ OKRUTNEJ ZBRODNI.

Nie zdążył nic więcej przeczytać, bo do archiwum wszedł poeta Marek.

— Dlaczego obraziłeś Julię? — spytał Marek i pogładził swe włosy przystrzyżone na pięknego jeża. Był z nich dumny. Tylko on w całym mieście, dzięki specjalnym zabiegom fryzjerskim, miał tak ślicznie sterczące włosy.

— Nie chciałem jej obrazić — tłumaczył się Henryk.

— Jest bardzo rozżalona. Mówiła, że traktujesz ją jak wariatkę.

— Pytała mnie o panią, którą przedwczoraj widziała u mnie w redakcji. Powiedziałem jej zgodnie z prawdą, że pani ta została zamordowana. Jest o tym w dzisiejszej gazecie.

— Hm — chrząknął Marek i znowu pogładził swojego jeża.

— Julia ma do mnie ciągłe pretensje. Zupełnie nie wiem, co jej się stało.

— Nie rozumiesz? Zalecałeś się do niej, a ona ciebie lekceważyła. Pewnego dnia zdecydowała przestać cię lekceważyć, a ty właśnie wtedy uwagę swoją zwróciłeś na kogoś innego. Tak wywnioskowałem z jej różnych żalów na ciebie. Czy to prawda, że zająłeś się upadłymi dziewczętami? Julia mówi, że napytałeś sobie wielkiej biedy, gdy zaś chciała ci pomóc, znalazłeś sobie jakąś niemłodą blondynkę.

— To właśnie ją zamordowano.

— Kto to uczynił?

— Nawet milicja nie zna sprawcy. Zasztyletowano ją.

— Brrr — wstrząsnął się Marek.

Poszedł do Klubu, aby wyjaśnić Julii, że panią, którą u Henryka spotkała, rzeczywiście zamordowano. Henryk zaś znowu zajął się artykułami opisującymi zabójstwo cyrkówki.

... Nazywała się Aniela Porębska, występowała w cyrku jako woltyżerka pod pseudonimem Zaza. Reporterzy pisali, że była niezwykle piękna i uchodziła za kobietę mało skłonną do flirtów. Miała zresztą bardzo zazdrosnego męża, niejakiego Arnolda Kantora, zwanego Arno, który w cyrku popisywał się celnym rzucaniem sztyletów.

Już po śmierci Zazy okazało się, że nie była jednak tak cnotliwa, jak sądzono. Miała kochanka Ernesta Bromberga, bezdzietnego wdowca i właściciela sklepu z manufakturą. Romans między Zazą i Brombergiem rozpoczął się przed dwoma laty podczas pobytu cyrku w Łodzi. Potem podobno flirt ten przeminął, ożył jednak na nowo, gdy cyrk, w którym występowała Zaza, ponownie zawitał do Łodzi. Ów odnowiony romans trwał już dwa tygodnie, gdy pewnej nocy, o dwudziestej drugiej lub kilka minut po dwudziestej drugiej — jak stwierdziła obdukcja lekarska — Zaza została zasztyletowana w wozie cyrkowym.

Właśnie na kilka minut przed dwudziestą drugą, wkrótce po przedstawieniu, Ernest Bromberg złożył wizytę Zazie w jej wozie cyrkowym. Wizyta była krótka. Jak zeznał Bromberg — zajrzał tylko do Zazy, aby szepnąć jej, że będzie czekał na nią w swym mieszkaniu następnego dnia przed południem, a nie po południu, jak się uprzednio umawiali. Ustaliwszy nowy termin schadzki, Bromberg natychmiast wyszedł z wozu i opuścił plac bramą w drewnianym ogrodzeniu, którym otoczono namiot cyrkowy i wozy. W bramie stał strażnik, widział wychodzącego Bromberga i zanotował w pamięci tę chwilę.

O dwunastej w nocy bramą do cyrku wszedł Arnold Kantor, który przez cały wieczór i część nocy przebywał w mieście. Znalazłszy się w swoim wozie, zobaczył zamordowaną żonę i podniósł alarm. Natychmiast zjawiła się policja i stwierdziła, że Zaza została zabita sztyletem o czworokątnym ostrzu. Narzędzia zbrodni nie było w ranie, nie odkryto go także w pobliżu zwłok. Dopiero podczas szczegółowej rewizji sztylet o czworokątnym ostrzu został odnaleziony w wozie na dnie skrzyni, gdzie znajdowała się kolekcja sztyletów, jakimi posługiwał się Arno podczas swych cyrkowych występów. Skrzynia ta była zamknięta na klucz, który Arno nosił w kieszeni. Wprawdzie Arno twierdził uparcie, że nigdy nie posiadał sztyletu o czworokątnym ostrzu i nie ma pojęcia, jakim sposobem podobny sztylet znalazł się w zamkniętej przez niego skrzyni, na sztylecie nie odkryto śladów krwi ani żadnych odcisków palców — niemniej jednak Arno stał się podejrzanym.

O dwudziestej drugiej w nocy lub kilka minut po dwudziestej drugiej, to jest w chwili, gdy dokonano mordu, Arnold Kantor przebywał poza terenem cyrku. O dwudziestej pierwszej, jak codziennie, udał się na spacer do miasta i wstąpił do kawiarni. Widziano go tam, spostrzeżono także, iż o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści opuścił kawiarnię z jakąś dziewczyną. Wedle oświadczenia Arno, po wyjściu z kawiarni pojechał z nią do parku na Zdrowiu i romansował do wpół do dwunastej. O dwunastej powrócił do cyrku i spostrzegł śmierć żony. Niestety, Arno nie umiał podać ani imienia, ani nazwiska dziewczyny; była to przygodna kawiarniana znajomość. Mimo dyskretnych ogłoszeń w prasie, jakie dała policja, dziewczyna ta nie zjawiła się,

aby potwierdzić alibi Kantora. Obciążał go również fakt, że przez cały czas nosił przy sobie klucz od skrzyni z kolekcją sztyletów. A klucz od skrzyni był tylko jeden.

Odciążało Kantora kilka dość zasadniczych okoliczności. Strażnik przy bramie przysięgał, że Arno wrócił do wozu dopiero o dwunastej w nocy, a nie wcześniej. Nie mógł zaś wejść ani wyjść z cyrku nie zauważony przez strażnika. Zostałby także dostrzeżony, gdyby próbował przedostać się przez wysoki na dwa i pół metra płot drewniany (plac cyrku ogradzały z trzech stron wysokie i ślepe ściany kamienic, a z czwartej od ulicy wysoki parkan, doskonale oświetlony i pozostający w zasięgu wzroku strażnika).

W kręgu podejrzeń znalazł się także i Ernest Bromberg. To przecież on o dwudziestej drugiej wyszedł z wozu Zazy. Albo więc był ostatnim, kto rozmawiał z woltyżerką przed morderstwem, albo też sam ją zamordował i po zabójstwie opuścił bramą plac cyrkowy. To jednak wydawało się policji nieprawdopodobne. Po prostu nie do wiary było, aby zabiwszy Zazę Ernest Bromberg wyszedł spokojnie bramą cyrkową, świadomy, że widzi go strażnik i po odkryciu zwłok wszystkie podejrzenia skierują się natychmiast na niego. Dlaczegóż zresztą miałby Bromberg zabijać swoją kochankę? To raczej zazdrosny Kantor miał powód do zabójstwa, jeśli zauważył zdradę żony.

Policja zwróciła uwagę, że wóz Zazy znajdował się na skraju placu cyrkowego, zaledwie trzy metry od drewnianego parkanu. Wprawdzie okno w wozie pozostało zamknięte w chwili, gdy zjawiła się policja, ale nie było wykluczone, że w chwili morderstwa mogło być otwarte, a zamknął je dopiero Arno o dwunastej w nocy, aby odsunąć od siebie podejrzenia. A jeśli okno było otwarte — konkludowała policja — Arno mógł opuściwszy kawiarnię podejść o dwudziestej drugiej do parkanu cyrkowego, zobaczyć przez otwarte okno Bromberga rozmawiającego z Zazą. Gdy Bromberg wychodził z cyrku, wystarczyło Kantorowi trochę wspiąć się na parkan i w otwarte okno rzucić nożem w taki sposób, aby trafić sztyletem swoją żonę. Nawet na dalsze odległości trafiał Arno z nieomylną celnością. Dokonawszy zabójstwa — zdaniem policji — Kantor udał się z powrotem do miasta i wrócił do cyrku

o dwunastej w nocy. Wszedł do swego wozu, wyrwał sztylet z rany, wytarł go i schował do skrzyni. Okno zamknął i wszczął alarm.

Proces przeciwko Arno ciągnął się dość długo. Komplikował sprawę fakt, że, jak stwierdzili lekarze, układ zwłok Zazy wcale nie wskazywał, aby sztylet, który ją zabił, wleciał przez okno. Oskarżyciel sugerował jednak, że najprawdopodobniej Arno przesunął nieco zwłoki, gdy powtórnie znalazł się na miejscu mordu.

W wozie nie było wody bieżącej. Odrobina jej znajdowała się w misce. Ta woda jednak okazała się zupełnie czysta. W czym więc Arno umył nóż wyjęty z rany? A jeżeli nie umył go, lecz tylko wytarł, to przecież musiałby na czymś pozostawić ślady krwi? Niczego takiego nie znaleziono.

Świadkowie stwierdzili zgodnie, że choć doskonale znali kolekcje noży Arno, nie widzieli u niego sztyletu o czworokątnym ostrzu. Nie znaczyło to jednak, aby Arno na krótko przed morderstwem nie nabył gdzieś podobnego noża.

Zeznawał Bromberg. Mówił, że podczas ostatniej swej rozmowy z Zazą napomknęła mu ona, że mąż domyśla się ich stosunku, skrzyczała nawet Bromberga, że ośmielił się przyjść do wozu i na przyszłość nakazała mu większą ostrożność.

Sąd — biorąc pod uwagę możliwość zabójstwa dokonanego za pomocą sztyletu rzuconego przez okno oraz fakt, iż Kantor nie miał alibi, a także znany był ze swej zazdrości o żonę — skazał Arnolda Kantora na dożywotnie więzienie. Obrona złożyła apelację...

Henryk obejrzał zdjęcia zamieszczone w ilustrowanym dodatku do jednej z codziennych gazet. Oto Zaza w obcisłym trykocie ujeżdżająca wspaniałego araba. Nie wydała mu się tak piękna, jak ją opisywali reporterzy — drobna twarzyczka, włosy krótko obcięte, kształty bardzo chłopięce. Oto Arnold Kantor, mistrz w celnym rzucaniu nożami. Zdjęcie przedstawiało go podczas procesu, gdy siedział na ławie oskarżonych. Wyglądał na szczupłego mężczyznę o nieco cygańskiej urodzie, czarnych włosach i pociągłej smagłej twarzy z czarnymi wąsikami.

Oczy miał wielkie, czarne i trochę jakby zdziwione. Twierdził, że dopiero podczas śledztwa dowiedział się o zdradzie żony.

Oto Ernest Bromberg. Fotoreporter zrobił mu zdjęcie przed jego sklepem. Bromberg był wysokim, szczupłym mężczyzną, bardzo eleganckim, o wyrazistej twarzy z orlim nosem. Stał przed sklepem wspierając się na czarnej laseczce...

Laseczka. Czarna laseczka w rękach zięcia Kochera, któremu Oczko darował laseczkę z tajemnicą. Laseczkę ze sztyletem o czworokątnym ostrzu. Takim narzędziem zabito kochankę Bromberga, Zazę woltyżerkę.

Gorączkowo cofnął się Henryk znowu do reporterskich sprawozdań z procesu.

> ... Na salę rozpraw wchodzi świadek Ernest Bromberg, właściciel sklepu w Łodzi, kochanek zamordowanej Zazy. Czy to nie przez niego ostry sztylet zagłębił się w sercu pięknej woltyżerki? Bromberg, trzydziestopięcioletni wdowiec, o wyglądzie pięknego i eleganckiego mężczyzny, lekko kulejąc wolno przemierza salę sądową. Z twarzy jego trudno coś wyczytać, wydaje się jednak, jak by bardzo głęboko przeżył śmierć swej kochanki. Idzie kulejąc, podpierając się czarną laseczką. A gdy staje przed stołem sędziowskim, nerwowo przekłada laseczkę z dłoni do dłoni i wówczas zauważamy, że rączka laseczki ma kształt nagiej kobiety....

Jeszcze jedno zeznanie. Tym razem strażnika cyrkowego:

— Widziałem — mówi świadek — jak o dwudziestej drugiej wyszedł z wozu zamordowanej Anieli Porębskiej jakiś wysoki elegancki mężczyzna, lekko kulejąc i podpierając się czarną laseczką. W śledztwie rozpoznałem go jako Ernesta Bromberga.

Laseczka. Laseczka w dłoni Bromberga. Laseczka z rączką w kształcie nagiej kobiety. A więc nie laseczka ze srebrną główką, kryjąca bagnet o czworokątnym ostrzu?

Kto jednak mógł zaręczyć, że kulejący Bromberg nie posiadał kilku laseczek, a wśród nich także i tej laseczki, którą teść jego, adwokat Kocher, otrzymał w 1903 roku od bandyty zwanego Oczko? Z którą z tych laseczek wychodził

z wozu pięknej Zazy? Może nie była to ta sama laseczka, z jaką widywano go na spacerze, z jaką zjawił się na śledztwie, na rozprawie sądowej?

Czyż nie jest możliwe, że adwokat Kocher, otrzymawszy od Oczki laseczkę z tajemnicą, odłożył ją do szafy lub pozostawił na strychu? Tak przeleżała kilka lat, aż wreszcie Kocher darował ją swemu zięciowi, ponieważ zięć ten trochę kulał i zawsze posługiwał się laską. Bromberg laseczki nie używał, pozostawała u niego w zapomnieniu, aż dopiero po kilku latach, gdy w głowie Bromberga narodził się zamysł zamordowania kochanki — przypomniał sobie o tajemnicy, którą kryła laseczka darowana mu przez teścia. Z myślą o mordzie, być może, nabył gdzieś sztylet o czworokątnym ostrzu i uzbrojony w laseczkę i sztylet zjawił się w wozie kochanki. Dowiedziawszy się od niej, że Kantor udał się na spacer do miasta, dokonał morderstwa bagnetem ukrytym w laseczce, sztylet podrzucił do kolekcji noży znajdującej się w wozie cyrkowym. Być może, nie przewidywał, że Arnold Kantor tego wieczoru przeżyje erotyczną przygodę w lesie na Zdrowiu, a powróci bardzo późno i nie będzie mógł wykazać swego alibi.

Jaki był motyw zabójstwa? Zapewne zupełnie odmienny niż ten, który sugerowano Kantorowi. Może Bromberg chciał się pozbyć kochanki, gdyż stała mu się już uciążliwa?

Jednego tylko Henryk był prawie pewien. Gdyby policja znała tajemnicę laseczki należącej kiedyś do Oczki i pamiętała, że w 1903 roku Oczko darował ją Kocherowi, a w kilkanaście lat później Ernest Bromberg został zięciem Kochera — być może, śledztwo w sprawie morderstwa cyrkówki potoczyłoby się po zupełnie innych torach.

Ciemnowiśniowa laseczka zdradziła więc już swą trzecią tajemnicę — zagadkę śmierci Anieli Porębskiej, woltyżerki. Otworzył się jakby trzeci rozdział opowiadania o laseczce i w Henryku odżyła nadzieja, że stanie się autorem interesującej relacji dla tygodnika. Czy nie należało jeszcze raz zawierzyć rotmistrzowi i odszukać na Starym Cmentarzu grób Anieli Porębskiej? Ozdobiony fotografią grobu artykuł byłby na pewno o wiele bardziej przekonywający.

Tak myśląc złożył komplety gazet i odstawił je na półkę. Właśnie wtedy weszła do archiwum Julia.

— Przepraszam cię, Henryku — powiedziała. — Marek wyjaśnił mi nasze nieporozumienie. Nie mam już do ciebie żadnych pretensji. Bardzo mi przykro, że tamta pani rzeczywiście została zamordowana.

Lecz nie było jej przykro — w głosie Julii brzmiała radość i nawet jakby triumf. Henryk udał jednak, że tego nie spostrzega, i opowiedział jej o dopiero co wyczytanej w gazetach tragicznej śmierci Zazy, zamordowanej przez Ernesta Bromberga.

4 czerwca, rano

Następnego dnia do redakcji tygodnika zawitał reporter Kobyliński z łódzkiego „Echa". Nigdy nie darzył Henryka specjalną sympatią, jak to zwykle bywa u dziennikarzy codziennej gazety w stosunkach z pracownikami tygodników. Uważają — i słusznie — że pracownikom tygodników żyje się łatwiej, mają więcej czasu na dopracowywanie swych materiałów.

— Kolego Henryku — powiedział Kobyliński — redakcja zleciła mi opracowanie artykułu o morderstwach pod Ozorkowem. Wracam prosto z Komendy Wojewódzkiej MO i od prokuratora. Za godzinę chciałbym się wybrać na miejsce, gdzie dokonano mordu, i porozmawiać z sąsiadami Butyłłów. Postanowiłem jednak tym razem odstąpić nieco od zwykłego u nas powtarzania za milicją każdego sądu i opinii. Byliście na miejscu mordu, orientujecie się w tej sprawie, może nawet lepiej niż milicja.

— Co rozumiecie przez te słowa? — żachnął się Henryk.

Kobyliński uśmiechnął się przepraszająco:

— Naprawdę nie mam nic złego na myśli. Jak złośliwie wyrażał się o was Pakuła z MO, próbujecie trochę na własną rękę rozwikłać tę historię. Pomyślałem więc, że zapewne macie jakieś własne spostrzeżenia. Rad bym je skonfrontować z tym, co mi mówiła milicja. Jeżeli to wam nie zrobi różnicy.

— Dobrze — zgodził się Henryk, bo pomyślał, że rozmowa z Kobylińskim może mu przynieść pożytek.

Zeszli do Klubu Dziennikarzy. Znaleźli stolik na uboczu, zamówili kawę.

— Wydaje mi się — rzekł Henryk — iż konieczne będzie, abym opowiedział panu wszystkie zdarzenia, które doprowadziły do zadziwiającej sytuacji, gdy znalazłem się w domu zamordowanego i spałem w sąsiedztwie trupa pani Butyłło. Najpierw jednak chciałbym dowiedzieć się od pana, jakie jest stanowisko milicji w tej sprawie.

Kobyliński kiwnął głową i znowu się uśmiechnął. Był teraz bardzo sympatyczny. Henryk domyślił się, co go do niego skierowało. „Echo" uważało Kobylińskiego za przeciętniaka, zlecano mu co najwyżej wzmianki o pożarach.

Chłopak był ambitny i zapewne chciał się *pokazać* przytaczając własną i odmienną od milicyjnej wersję zabójstwa.

— Z początku milicja podejrzewała, że mordercą Butyłły — zaczął Kobyliński — jest znany aktor teatralny i filmowy, zamieszkujący stale w Warszawie, ale przebywający od pewnego czasu w Łodzi w związku z pracą przy filmie w łódzkiej wytwórni. Okazało się bowiem, że pani Butyłło krytycznego wieczoru była w teatrze tylko na pierwszym akcie przedstawienia.

— Fiuuu — Henryk gwizdnął łobuzersko jak Rosanna.

— W przerwie zatelefonowała do Grand Hotelu do owego aktora i umówiła się, że do niego natychmiast przyjedzie. Tak się też stało i kochankowie przyjemnie spędzili godzinkę. O wpół do dziesiątej opuścili hotel. Jak zeznał ów aktor — poszli na spacer do parku — równie dobrze jednak mogli wsiąść w samochód (aktor ma swój wóz), pojechać pod Ozorków, zabić Butyłłę, albowiem pani Butyłło chciała wejść w posiadanie forsy swego męża i uwolnić się od zbyt natrętnej kontroli małżeńskiej. Było dość czasu, aby powrócić spod Ozorkowa, zjawić się o jedenastej na przystanku podmiejskich tramwajów i w towarzystwie znajomych przyjechać do Ozorkowa. Tym bardziej, że na drodze leśnej niedaleko domu Butyłłów znaleziono ślady osobowego samochodu, pewna kobieta widziała nawet ów wóz, gdy pusty oczekiwał na kogoś w lesie. Niestety, samochód był ciemnozielony — jak zeznała kobieta — a aktor posiada samochód żółty. W obydwu wypadkach chodziło o syrenkę. Na korzyść aktora przemawiał także fakt, że podobno samochód jego aż do późnej nocy ciągle stał na bocznej uliczce obok hotelu, a odbitki opon znalezionych w lesie nie odpowiadały śladom kół, jakie pozostawiłby samochód aktora. Potem podejrzenia jeszcze bardziej osłabły, albowiem w nocy, gdy zabito panią Butyłło, aktor cały czas uczestniczył w nocnych zdjęciach filmowych i prawie ani na chwilę nie schodził z planu. Ma alibi potwierdzone przez wielu ludzi. Po zabójstwie Butyłłowej znowu na ścieżce leśnej odkryto ślady kół samochodu, a także ślady butów pod oknem. Odciski kół znane z pierwszego morderstwa okazały się identyczne ze śladami opon pozostawionymi podczas drugiego morderstwa. Za każdym więc razem, gdy w domu Butyłłów dokonywano zabójstwa, na drodze leśnej niedaleko

domu Butyłłów stała ciemnozielona syrenka. Ślady butów należały prawdopodobnie również do mordercy, który obserwował przez okno i pana, i panią Butyłło. Zorientował się, że pan wyszedł do Gniewkowskiego, i zabił Butyłłową. Trupa jej schował do szafy, aby zbyt szybko nie odkrył pan jego uczynku i nie wszczął alarmu. Cóż więc obecnie czyni milicja? Szuka właściciela ciemnozielonej syrenki. Oczywiście jest to szukanie igły w stogu siana, tym bardziej, że morderca mógł przemalować swoje auto.

— Ciekawe... — mruknął Henryk.

— A pewnie, że ciekawe — zgodził się Kobyliński. — A najciekawsze jest to, że krytycznego wieczoru na prawie pięć godzin przed śmiercią Butyłło podjął z banku PKO w Łodzi trzydzieści tysięcy złotych. I tych pieniędzy nie znaleziono przy nim.

— Fiuuuuu — gwizdnął znowu Henryk.

— A tak, panie kolego. Pakuła podejrzewał, że pani Butyłło po prostu ukradła te pieniądze z portfela zamordowanego męża. Bo trzeba panu wiedzieć, że spostrzegłszy śmierć Butyłły, zanim zawiadomiła milicję, to i owo przywłaszczyła sobie z mieszkania. Na przykład kilkaset dolarów i biżuterię. Potem twierdziła, że nic z mieszkania nie zginęło, co było nieprawdą. Nie ukradł morderca, ale ona sama. Jak pan wie, kolego, nie była żoną Butyłły, lecz jego przyjaciółką. Poza jej osobistymi rzeczami wszystko inne jako masa spadkowa należy do żony Butyłły, z którą on nie mieszkał.

— A ta kobieta? Może to ona zemściła się na Butylle i jego kochance?

— Ta pani leży w szpitalu w Szczecinie. Choruje na cukrzycę. Aha, jeszcze jedno — przypomniał sobie Kobyliński. — Przy zamordowanym Butylle znaleziono srebrny nóż renesansowy. Otóż nóż ten sprzedał Butyłło Rykiertowi w dniu 11 marca. W notatniku Rykierta zapisano, że nóż ten za 1500 złotych trafił potem w ręce jakiegoś Ygreka. Jakim cudem ten srebrny nóż znalazł się w kieszeni zabitego Butyłły?

Teraz należało wywiązać się z obietnicy. Opowiedział więc Henryk Kobylińskiemu wszystkie szczegóły, jakie były mu znane w związku z laseczką i sprawą morderstwa na Butyłłach.

— Być może, milicja postępuje tak, jak postępować powinna — powiedział — i szuka właściciela syreny. Nie upieram się przy hipotezie, że laseczka moja odegrała rzeczywiście zasadniczą rolę w tej zawikłanej sprawie. Ale przecież po prostu irytuje fakt, że nie próbują znaleźć odpowiedzi na kilka wprost narzucających się pytań. Czego szukał Butyłło w domu Rykierta? Dlaczego mimo mych dwukrotnych indagacji nie chciał zdradzić, kto był poprzednim właścicielem laseczki? Kogo podejrzewała pani Butyłło, lecz nie chciała powiedzieć nazwiska? Kto jest panem Ygrek? Kto jest panem Iks figurującym w notesie Rykierta? To ostatnie łączy się z pytaniem drugim. Istnieje jakaś osoba, być może handlująca antykami, która stara się nie ujawniać swego nazwiska. Nie chciał podać jego nazwiska Butyłło, nie czynił tego również Rykiert, sygnując znaczkiem X swoje z nią interesy.

Kobyliński zamknął zeszyt, w którym czynił notatki z rozmowy z Henrykiem.

— Czy pozwoli pan, kolego, abym odwiedził siostrę Rykierta i spróbował odgadnąć, kim jest tajemniczy Iks? Jeśli dowiem się czegoś ciekawego, natychmiast do pana zadzwonię.

— Pan również pragnie się bawić w detektywa? Oczywiście, jest to tylko sprawa pańskiej własnej decyzji — odrzekł Henryk Kobylińskiemu. I na tym zakończyli rozmowę.

4 czerwca, po południu

— Dlaczego nie zabrałeś swojej laseczki? — Rosanna zagadnęła Henryka, gdy wyszli z klatki schodowej jego domu.

— Od pewnego czasu jakoś niechętnie biorę ją do ręki. Przestałem lubić moją laseczkę, rozumiesz?

— To pewnie przez te historie z Zazą. Przykra wydaje ci się myśl, że laseczkę, którą trzymasz w dłoni, niósł morderca, aby zabić kochankę.

— I uszedł cało przed karą, do więzienia zaś wsadzono niewinnego człowieka. Właśnie to czyni mi laseczkę niemiłą.

Była czwarta po południu. Zanosiło się na deszcz. Po niebie leniwie przesuwały się niskie, ciemne chmury; powietrze nasycone było duszną i jakby wilgotną ciepłotą.

— Rosanno — powiedział Henryk zauważywszy na jej ramionach torbę tramwajarkę — czy masz przy sobie pistolet?

— Znowu żartujesz? — zaśmiała się głośno. — Chcesz zajrzeć do torby?

— Wystarczy mi świadomość, że być może nie użyłabyś tej broni przeciwko mnie.

— Dlaczego powiedziałeś: „być może”? Przecież wiesz, że cię lubię.

— Nie jestem dziś tego tak bardzo pewien. Owej nocy, gdy przyszłaś do mnie i już pozostałaś, myślałem, że uczyniłaś to, ponieważ mnie bardzo lubisz. Dziś jednak, przeglądając zaległe numery prasy codziennej, znalazłem notatkę, że właśnie owej nocy na Starym Cmentarzu milicja zrobiła obławę na grupę chuliganów, która zajmowała się niszczeniem starych pomników cmentarnych. Kilkoro młodych chłopców i dziewcząt schwytano i osadzono w areszcie. Przypomniałem sobie, że tamtej nocy byłaś bardzo zakurzona. Pomyślałem, że zapewne przyszłaś do mnie, ponieważ bałaś się wpaść w ręce milicjantów czyniących obławę. Wybacz, że mówię ci o tym zupełnie szczerze, ale naprawdę chciałbym wiedzieć, dlaczego wówczas zjawiłaś się u mnie.

— Podobałeś mi się. Po prostu: podobałeś mi się. Czy to takie trudne do zrozumienia?

— Chodzisz spać do każdego mężczyzny, który ci się podoba?

— Wyobraź sobie, że nie. Ale z tobą było co innego. Ty jesteś specjalnego rodzaju mężczyzną. Takim, co to jak się prześpi z dziewczyną, to zaraz gotów się z nią ożenić, bo budzą się w nim skrupuły moralne. A ja chcę wyjść za mąż.

— Nie przyrzekałem ci małżeństwa.

— To nawet i lepiej. Otrzymałbyś odmowę.

— Dlaczego?

— Aż dreszcz przechodzi mnie na myśl, że mogłabym zostać żoną człowieka, który grzebałby w mojej torebce. Poza tym miewasz urojenia. Pewnego dnia wmawiałbyś wszystkim, że widziałeś mnie latającą na miotle.

Nie odpowiedział. Bo to jednak nie było urojeniem, że w jej torebce widział pistolet. Nie chciało mu się jednak z nią sprzeczać. Wyglądała dziś tak ładnie! Julia również odznaczała się urodą, była chyba nawet ładniejsza niż Rosanna, lecz przecież uroda Julii wydawała się zbyt dostojna. Julia kroczyła u boku mężczyzny, a Rosanna skakała jak podlotek, raz po raz zagadując o coś, wsuwając dłoń pod ramię mężczyzny, to znów biorąc go za rękę i prowadząc jak chłopca. Z Julią dobrze się czuł Henryk w teatrze, zwracała uwagę swą piękną figurą. Z Rosanna lepiej się wyglądało na spacerze na ulicy lub w parku. W towarzystwie Julii Henryk stawał się poważny, musiał wyrażać się okrągłymi zdaniami i to zazwyczaj o sprawach poważnych. Z Rosanna mógł żartować, sprzeczać się, mówić o niczym, czuć się jeszcze bardzo młodym i niedojrzałym. Na pewno wolał z Rosanna, a nie z Julią szukać grobu Porębskiej na Starym Cmentarzu.

Dozorca cmentarny wyglądał jak Quasimodo z Wiktora Hugo. Garbaty, pokręcony, z wyłupiastymi oczami, okazał chęć zainteresowania się sprawą dopiero po włożeniu mu w rękę banknotu dwudziestozłotowego. Wówczas rozłożył na stole duży plan cmentarza i zajrzał do jakiegoś postrzępionego skorowidza.

— Osiemnasta alejka po prawej stronie, licząc od głównej alei — powiedział.

Dostał od Henryka jeszcze dziesięć złotych i zdecydował się pokazać grób. Prowadził ich w milczeniu, na pytania odpowiadał niechętnie, jakby ciągła

obecność pośród zmarłych przyuczyła go do milczenia.

Minęli zadbaną i bogatą w pomniki część cmentarza. Pośród żałobnych wierzb płaczących i tui sterczały marmurowe i kamienne pomniki z krzyżami, gdzieniegdzie tylko ozdobione figurą świętą lub postacią Anioła Śmierci. Cmentarz był prawie bezludny, raz tylko minęli jakąś starszą kobietę przybraną w czerń, spieszącą po wodę z zieloną konewką w ręku.

Za dziesiątą alejką groby stawały się coraz uboższe, już tylko pokryte kamiennymi lub betonowymi płytami, tu i ówdzie spękanymi od starości. Coraz więcej widziało się bzu, który porastał groby i zielonymi liśćmi zakrywał przewrócone krzyże. Wreszcie skręcili w osiemnastą alejkę, nawet droga była tu prawie zarośnięta trawą. Po obydwu stronach alei stała gęsta ściana krzewów, a ponad nimi wystrzelały w górę topole. Od czasu do czasu rzucał się w oczy zadbany grób, oczyszczony z trawy, obsypany piaskiem lub białym żwirkiem, niekiedy z drewnianą ławeczką.

— A jednak niektórzy bardzo dbają o zmarłych. Nawet jeśli zmarli bardzo dawno — zagadnął Henryk dozorcę.

Ten kiwnął głową, ale nie uraczył go ani słowem.

Znajdowali się już niedaleko muru otaczającego cmentarz. Był to ten sam mur, który oddzielał cmentarz od miejsca, gdzie laseczka zdradziła swą tajemnicę. Stąd, z zarośniętej alejki widziało się sterczący samotnie nowy blok, w którym mieszkał Henryk.

Nagle dozorca zatrzymał się.

— To tutaj — rzekł i wskazał palcem grób, jedyny w tym miejscu starannie utrzymany. Obrastała go darń, lecz z wierzchu rozsypano świeży żółty piasek i zasadzono kilka bratków. Z grobu sterczała blaszana, niedawno odnawiana tablica z blachy:

ANIELA PORĘBSKA ŻYŁA LAT 24; ZMARŁA TRAGICZNIE 22 LISTOPADA 1929 r. PROSI O WESTCHNIENIE DO BOGA.

Dozorca ukłonił się i ruszył alejką z powrotem. Kiedy był już dość daleko, Rosanna powiedziała:

— Ja znam dobrze to miejsce. Tam w krzakach, bliżej muru, miała swoją metę banda Lolka. Bywałam tu z nimi, dopóki Lolka nie zamknęła milicja. Czasem do tego grobu przychodzi staruszek w czarnym meloniku i kusym paletku. Pół godzinki stoi przy grobie sztywno jak jego laska, potem podleje kwiatki butelką wody, którą zawsze przynosi ze sobą. Posiedzi znów trochę i odchodzi.

— Mówiłaś, że ma laskę?

— Zwykłą jasną laskę bambusową. Staruszek kuleje.

— Muszę go zobaczyć, Rosanno. Słyszysz? Jak tylko zauważysz go na cmentarzu, zaraz daj mi znać, rozumiesz?

— Oczywiście, że rozumiem. Wiem nawet, o czym myślisz. Sądzisz zapewne, że to Bromberg, bo ma laskę i kuleje. Mój Boże, iluż to staruszków w Łodzi chodzi o lasce.

— Lecz nie każdy przychodzi na grób Porębskiej.

— To może jej mąż, ów Arno? Jeśli dostał dożywocie, to potem zapewne mu karę zmniejszyli. Była zresztą wojna, więc wyszedł z więzienia i chyba od dawna przebywa na wolności.

— To prawdopodobne — zgodził się Henryk. — Niemniej muszę poznać tę osobę. Bo jeśli to Bromberg...

— On miał wtedy trzydzieści pięć lat. Teraz liczy sobie przynajmniej siedemdziesiąt dwa.

— Bo jeśli to Bromberg — dokończył Henryk — zapytam go, co zrobił z laseczką, którą dostał od adwokata Kochera.

Usłyszeli szelest deszczu na liściach bzu. Rosanna wzięła Henryka za rękę i wąziutką ścieżką między krzakami bzu powiodła go aż do dziury w murze. Teraz tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło ich od domu. Przebiegli je w potoku wiosennej ulewy.

4 czerwca, wieczorem

Wieczorem zatelefonował do Henryka reporter Kobyliński.

— Odwiedziłem siostrę Rykierta — oznajmił. — Pogadałem z nią, choć z trudem to mi poszło, bo staruszka jest bardzo przerażona. To morderstwo Butyłłowej tak nią wstrząsnęło. Potem znalazłem się na miejscu zbrodni. Złożyłem wizytę Gniewkowskiemu. Zna go pan, prawda?

— Owszem.

— Spotkałem u niego Skarżyńskiego. Kupował pozłacaną solniczkę.

— Kupił? — spytałem.

— Tak. Za trzy i pół tysiąca.

— No, to Gniewkowski na czysto zarobił pięćset złotych. Solniczkę nabył od Rykierta za trzy tysiące.

— Otóż ten Skarżyński, panie kolego, podsunął mi zupełnie nowy motyw zabójstwa Butyłłów. Raz tylko, powiada, zetknął się z Butyłłą przy okazji jakiejś niewielkiej transakcji. Było to w mieszkaniu Rykierta. Gadali o tym i o owym. Butyłło opowiadał Skarżyńskiemu i Rykiertowi, że w czasie wojny znalazł się we Włoszech z armią Andersa. Podobno zawadził nawet o Korsykę i miał tam romans z pewną pięknością. Romans ten skończył się ucieczką Butyłły pod opiekuńcze skrzydła armii, bo jakieś facety bardzo na niego nastawali za uwiedzenie dziewczyny. Jak pan myśli, teraz tylu cudzoziemców do Polski przyjeżdża. Może to *vendetta*, panie kolego?

— Myślę, że jak dla „Echa" jest to zupełnie dobra wersja. Dla naszej gazety to się oczywiście nie nadaje.

Kobyliński się nie obraził. Henryk usłyszał jego śmiech.

— Panie kolego — rzekł — niestety nic więcej nie udało mi się wywiedzieć. Myślę, że chyba wybrałem złą metodę badań. Zupełnie niepotrzebnie kroczę po pańskich śladach. Sądzę, że trzeba spróbować kojarzyć i zestawiać ze sobą pewne znane nam fakty i dopiero wówczas zacząć na nowo badać cały materiał.

— To dobry pomysł — przytaknął Henryk.

— Wiemy już, że w ostatnim czasie w życie Rykierta wszedł jakiś pan Iks sprzedający stare cenne przedmioty, nie lubiący jednak, aby ujawniano jego nazwisko. Mamy prawo sądzić, że ów Iks istniał także w życiu Butyłły, skoro Butyłło nie chciał zdradzić nazwiska osoby, która mu sprzedała laseczkę. Upór, z jakim to czynił, utwierdził we mnie przekonanie, że nie kto inny, a właśnie Iks był poprzednim posiadaczem laseczki.

— Bardzo prawdopodobne.

— Nasuwa się pytanie: dlaczego ów Iks stara się pozostać w cieniu? Kryje się za tym jakaś podejrzana sprawa, bo tylko tego typu sprawy na ogół nie lubią jawności. Od wielu ludzi kupował Rykiert przeróżne przedmioty, nieraz bardzo cenne, a przecież w jego notesie istniał tylko jeden Iks, tylko Iks żądał anonimowości. Rozmowa z Gniewkowskim przypomniała mi o kłopotach Butyłły, jakie miał w Desie w związku z dostarczanym przez siebie towarem. Jeśli założymy, że i w życiu Butyłły był ów Iks, warto się zastanowić, czy owe kłopoty Butyłły nie pozostawały w bezpośrednim związku z owym Iks, prawda?

— Istnieje również jakiś Ygrek — wspomniał Henryk.

— Owszem — zgodził się Kobyliński. — Lecz najważniejsza jest dla mnie sprawa pozłacanej solniczki i srebrnego noża. Gdy u Gniewkowskiego oglądałem solniczkę, przypomniałem sobie pewien artykuł w waszym tygodniku.

— Co takiego? — zdziwił się Henryk.

— Przeczytałem oryginał tego utworu i stwierdziłem dość zabawny szczegół.

— Jaki?

— Na razie zatrzymam to dla siebie. Ja także pragnę zabawić się w detektywa amatora.

— Jak pan uważa — powiedział chłodno Henryk. — Jeśli jednak pragnie pan usłyszeć moją radę, proponuję skoncentrować swoją uwagę na osobie tajemniczego Iksa. Niech pan z notatnika Rykierta wypisze wszystkie nazwiska osób, które kupiły przedmioty Iksa, i pogada na temat ich nabytków. Trzeba za wszelką cenę dotrzeć do Iksa.

— Zgoda. Właśnie to samo mam zamiar uczynić — powiedział Kobyliński i odłożył słuchawkę.

10 czerwca

Nazajutrz naczelny redaktor zmusił Henryka do wyjazdu do Krakowa, gdzie odbywał się festiwal teatrów. Poeta Marek, któremu podlegały podobne sprawy, zachorował i Henrykowi zlecono prasową obsługę krakowskiej imprezy.

Cztery dni przebywał w Krakowie, był to czas spędzony bardzo beztrosko i wesoło. Nie wziął ze sobą laseczki, nic więc nie przypominało mu ponurych zdarzeń w Łodzi.

W domu znalazł się po czterech dniach i zaraz przystąpił do pisania artykułu oceniającego festiwal. Pracował w swym mieszkaniu, redakcję bowiem odnawiano, po pokojach kręcili się malarze.

Było południe. Rozpoczął właśnie pisanie drugiej części artykułu, gdy niespodziewanie odwiedziła go Julia.

— Nie ma cię w redakcji, nie bywasz w klubie i w kawiarni — powiedziała. — Czy naprawdę nagle przestałam cię obchodzić, choć przez trzy lata adorowałeś mnie? Przyszłam, aby wyjaśnić, co było prawdziwe, a co udane. To, co wmawiałeś mi dawniej, czy to, co jest teraz?

— I jedno, i drugie jest prawdziwe, Julio — rzekł Henryk. — Interesowałaś mnie i nie przestałaś mnie interesować. Tak się jednak złożyło, że nastąpiły między nami pewne drobne nieporozumienia. Nie dałaś mi ich wyjaśnić. Jedno nieporozumienie pociągnęło za sobą następne i wątpię, aby udało się już wyjaśnić do końca wszystkie tamte historie. Pamiętasz ów wieczór, kiedy umówiliśmy się ze sobą w kawiarni i miałaś przyjść do mnie? Nie uwierzyłaś mi, że byłem rzeczywiście u Rykierta i rozmawiałem z nim.

— Znowu zaczynasz... — westchnęła Julia.

— Chcę ci wyjaśnić wszystko. Otóż, Julio, ja rozmawiałem z człowiekiem, który się podawał za Rykierta i znajdował się w mieszkaniu zmarłego. Zagadkowe, prawda? Zagadka ta zaprowadziła mnie na trop podwójnego morderstwa.

— A ta kobieta?

— Została zamordowana. Przecież czytałaś w gazecie opis zdarzenia. To ja byłem tym dziennikarzem, którego Butyłłowa zaprosiła do siebie, aby dopomóc mu w wyjaśnieniu okoliczności, w jakich zginął jej mąż. Podczas mej wizyty, gdy na chwilę opuściłem jej dom, została zasztyletowana, morderca ukrył ciało w szafie.

— Okropne! — zawołała Julia i twarz zakryła dłońmi.

— Co się zaś tyczy tej młodej dziewczyny — zaczął Henryk.

— Nie chcę nic o niej wiedzieć! Ona się nie liczy. Przecież to niemożliwe, aby taka osoba mogła cię na dłużej zatrzymać. Jestem przekonana, że to przelotna historyjka, jakie zdarzają się niekiedy mężczyznom. Historyjka bez konsekwencji — powiedziała twardo i wyzywająco.

Henryk zmieszał się:

— Masz chyba rację, Julio. Choć nie mogę nic złego powiedzieć o Rosannie. Towarzyszyła mi we wszystkich dotychczasowych perypetiach, okazała mi się nawet trochę pomocną.

— Podziękuj jej więc bardzo uprzejmie — dokończyła. — Odtąd bowiem ja ci będę pomagała.

— Ty, Julio? — zdziwił się Henryk.

— Tak. A że nie chcę, abyś myślał, że jestem gołosłowna, przyniosłam ci pierwszy dowód mej przyjaźni. Pamiętasz, opowiadałeś mi historię o Zazie i Brombergu? Ciekawiło cię, czy ów Bromberg jeszcze żyje i mieszka w Łodzi. Mam znajomego w Biurze Ewidencji Ludności, zadzwoniłam, poprosiłam go o przysługę. Teraz przynoszę ci wiadomość, że Bromberg żyje i mieszka w Łodzi przy ulicy Franciszkańskiej.

— Julio, jesteś wspaniała! — zawołał Henryk i począł całować ręce Julii.

Ale właśnie rozległ się dzwonek u drzwi i zjawiła się Rosanna. Lekceważąco kiwnęła głową Julii, demonstracyjnie i mimo delikatnych protestów Henryka pocałowała go w policzek.

— Jak ci się spało? — zapytała wesoło i dodała prowokacyjnie: — Żałuję, że wczoraj nie mogłam zostać u ciebie, ale mieliśmy strasznie dużo pracy.

Julia poczerwieniała. Okazała jednak dużo zimnej krwi. Udała, że po prostu nie zrozumiała, o czym mówiła Rosanna.

Henryk czuł się fatalnie. Bezradnie grzebał w papierach na biurku, szukając pozostawionej tam papierośnicy. Jak na złość papierosów nie znalazł, a chciał bardzo palić. Wydawało mu się, że gdyby miał w palcach papierosa i mógł się kilka razy zaciągnąć, nie byłby aż tak bezbronny.

Papierośnicy nie odszukał. Podszedł więc do okna, żeby nie widziały jego zakłopotanej twarzy.

— Może panie się poznają? — zaproponował nie odwracając głowy. Julia powinna teraz powiedzieć: „W takim razie nie będę państwu przeszkadzać", obrazić się i wyjść. Tak w każdym razie uczyniłaby Julia, jaką Henryk znał dotychczas. Ta jednak rzekła:

— Widuję panią w kawiarni na Moniuszki, w otoczeniu młodych dziewcząt i starszych panów.

— Czy można cię nazwać starszym panem, Henryku? — spytała Rosanna.

Rozpaczliwie spoglądał w okno, jak by widok Starego Cmentarza mógł mu przynieść wyzwolenie od tych dwóch kobiet. I los okazał się dla niego łaskawy.

— Patrzcie! — krzyknął. — Spójrzcie na cmentarz! Tam w alejkę! Czy to nie kroczy starszy pan z laską? Ten, który przychodzi na grób Anieli Porębskiej? Ernest Bromberg?

Nie uwolnił się jednak od Julii i Rosanny. Nie dały się przekonać, że musi sam natychmiast udać się na Stary Cmentarz. Postanowiły mu towarzyszyć.

Zatrzymali się dopiero przed bramą cmentarną.

— Zaczekamy na tego pana — rozkazał Henryk. — Będzie tędy wychodzić z cmentarza. Wówczas przyjrzę mu się dokładnie. Potem pójdziemy za nim.

— Czy to... morderca? — spytała szeptem Julia.

— Być może jest to morderca.

— Czemu nie zawiadomisz milicji?

— Zrobię to w odpowiednim czasie. Chcę mieć pewność, że to rzeczywiście morderca.

— A jeśli on spróbuje i nas zamordować?

Rosanna wzruszyła ramionami.

— Henryk zdoła nas obronić. Och, pani nawet sobie nie wyobraża, jaki on jest dzielny.

Kpiła sobie z Henryka. Nie odparował jednak złośliwości, bo oto w perspektywie głównej alei cmentarnej pokazała się postać starego pana z laską. Cofnęli się więc aż pod mur, Henryk ukrył swoją laseczkę za plecami. Poprosił Julię i Rosannę, aby udawały beztroską rozmowę, co przyszło im z pewną trudnością.

Starszy pan minął ich nie obdarzywszy nawet spojrzeniem. Lekko kulał, miał wyrazistą twarz o dużym orlim nosie, trzymał się sztywno i kroczył z godnością. Henryk był pewien, że to Bromberg. Taka sama wyrazista twarz z orlim nosem, młodsza o trzydzieści lat, widniała na fotografii w ilustrowanym dodatku niedzielnym.

Ruszyli za Brombergiem, który nie oglądając się kroczył ulicą w stronę tramwaju. Gdyby nawet spodziewał się, że go ktoś śledzi, na pewno nie domyśliłby się, iż czyni to owe wesołe towarzystwo, które idzie za nim krok w krok.

Na pętli tramwajowej stała jedynka. Bromberg wsiadł do pierwszego wozu. Tramwaj miał dwie doczepy. Nadeszła znowu okazja, aby nareszcie uwolnić się od kłopotliwego towarzystwa dwóch pań. Henryk poprosił Rosannę, aby weszła za Brombergiem do motorowego wozu, sam zaś wskoczył do przyczepki, polecając Julii zająć miejsce w ostatnim wagonie.

Na przystanku przy ulicy Franciszkańskiej Bromberg wysiadł. Zniknął w bramie odrapanego domu, przeszedł brudne kamienne podwórze, skręcił w klatkę schodową piętrowej kamienicy. Henryk śpieszył za nim, a za Henrykiem Julia i Rosanna. Przed wejściem do klatki schodowej kazał paniom zaczekać. A sam po drewnianych schodach wdrapał się na górę. Na drugim piętrze Bromberg manipulował kluczem przy wykrzywionych drzwiach prowadzących jakby na strych.

Henryk był zdecydowany od razu wyjaśnić sprawę.

— Czy mam przyjemność z panem Brombergiem? Z Ernestem Brombergiem? — zapytał.

Starzec skinął głową.

— Chciałbym z panem zamienić kilka słów — powiedział Henryk.

— Proszę uprzejmie — odrzekł i otworzył drzwi.

Znaleźli się w nędznej mansardzie, która miała zakurzone okno w suficie. Pod ścianą z dużymi zaciekami wilgoci stało rozgrzebane łóżko, pod drugą ścianą stolik nakryty dziurawą serwetką. Pod trzecią ścianą znajdowała się kuchnia węglowa, a na niej piecyk gazowy.

— Słucham pana — odezwał się Bromberg, zdejmując palto i odkładając na stolik czarny melonik.

— Czy pan to poznaje? — Henryk podsunął mu przed oczy palisandrową laseczkę.

Henrykowi wydało się, że Bromberg przybladł. Odpowiedział jednak bardzo spokojnie.

— Nie. Nie poznaję. O co panu chodzi?

Henryk rozejrzał się za krzesłem. Znalazł kulawy taboret, wysunął go bliżej środka pokoju. Usiadł.

— Przyszedłem do pana, aby wyjaśnić pewne sprawy z dość odległej przeszłości.

Bromberg wzruszył ramionami. Na ustach miał kpiący uśmieszek.

— Pan wybaczy, ale naprawdę nie wiem, o co chodzi?

— Pan jest Ernestem Brombergiem. Tym samym Brombergiem, który w 1929 roku występował jako świadek w procesie o zamordowanie słynnej Zazy.

— No tak. Ale co z tego?

— Pan był ostatnim, który widział Zazę żywą.

— Owszem.

— Ona była pana kochanką.

— No tak, ale...

— Za zabójstwo Zazy skazano jej męża na dożywotnie więzienie. Lecz prawdziwym mordercą był przecież pan, panie Bromberg.

— Pan zwariował!? Kim pan jest, u diabła!? Czego pan chce ode mnie?

— Niech pan mnie posłucha, panie Bromberg. Traf zdarzył, że udało mi się rozwikłać zagadkę, której w 1929 roku nie zdołali rozgryźć najzdolniejsi policjanci. Pan był zięciem adwokata Kochera...

— Nie byłem.

— Niech się pan nie wypiera. To naprawdę nie ma sensu. Od dnia morderstwa minęło przeszło trzydzieści lat, pan jest już starcem, nic panu nie grozi, nawet gdyby się pan przyznał do zabójstwa. Sprawa jest przedawniona.

— To bardzo zabawne, co mi pan wmawia.

— Jestem dziennikarzem. Pewnego dnia nabyłem w Desie staroświecką laseczkę, o tę tutaj, przecież ją pan pamięta? Otóż postanowiłem poznać historię tej laseczki i ona zaprowadziła mnie aż do pana. Chcę napisać cykl interesujących, sensacyjnych artykułów, pan byłby bohaterem jednego z nich, historii o zabójstwie Zazy woltyżerki.

Zamyślił się. Wydawało się, że słowa Henryka wreszcie poczynają trafiać do jego świadomości.

Henryk tłumaczył mu powoli, dobitnie.

— Proszę się nie lękać, pańskie przyznanie się do winy zupełnie panu nie zaszkodzi. Nie jestem szantażystą...

— Ba — roześmiał się głośno Bromberg — kiedyś byłem bardzo bogatym człowiekiem. Teraz, jak pan sam widzi, jestem nędzarzem. Straszliwym nędzarzem.

— Niech mnie pan posłucha. Pan zabił Zazę. Ja to wiem na pewno. Przyszedł pan do niej z tą oto laseczką, która kryje w sobie sztylet. — To mówiąc Henryk wyrwał bagnet z pochewki. — Laseczkę otrzymał pan w spadku od swego teścia, adwokata Kochera, był pan przecież mężem jego córki, Izy Kocher, która umarła w dwa lata po ślubie. Pewnego dnia postanowił pan zabić Zazę. Dlaczego, nie wiem, to niech mi już pan wyjaśni. Zawsze chodził pan z laską, z ciemną laską o główce w kształcie kobiety...

— Tak, zawsze chodziłem z taką laską. To była bardzo elegancka laseczka.

— Krytycznej nocy zjawił się pan u Zazy. Miał pan ze sobą laseczkę. Ale to nie była tamta laska, tylko właśnie ta, z bagnetem ukrytym w pochewce z palisandru. Zabił pan Zazę, spokojnie wyszedł pan z cyrku, zbrodniczą laskę

ukrył pan w jakimś miejscu. I znowu paradował pan z laską. Lecz to już była inna laska. Tamta.

— No i co z tego?

— Chcę napisać artykuł. Sensacyjny artykuł. Rozwikłanie zagadki sprzed trzydziestu lat. Podzielę się z panem honorarium, jeśli ujawni mi pan wszystkie szczegóły swojej zbrodni. Przecież nic panu za to nie grozi...

— Ile pan zapłaci?

— Pięćset złotych.

— Mało.

— Osiemset.

— Mało.

— Tysiąc złotych. Będzie pan jednak pozował do zdjęć naszemu reporterowi.

Zastanowił się.

— Zgoda — rzekł. — Ale pięćset złotych zapłaci pan zaraz jako zaliczkę.

— Zapłacę — powiedział Henryk sięgając do portfela. — Stawiam jednak warunek: zdjęć będzie kilka.

— Może być nawet kilkanaście.

Przyjął pieniądze i schował je do kieszeni.

— Pan pozwoli jednak, że zanim opowiem panu szczegóły zbrodni, przygotuję sobie coś do jedzenia. Jestem już stary i muszę dbać o swoje zdrowie. Śniadanie jadłem o dziewiątej rano, a teraz południe. Spacer na cmentarz zawsze zaostrza mój apetyt, a tego nie wolno lekceważyć, gdy się ma prawie siedemdziesiąt lat... Ostatnio zresztą niedomagam. Cierpię na bezsenność i biorę proszki nasenne. O widzi pan, mam tu jeszcze cały flakonik. Lecz proszki osłabiają mi serce...

Zapalił płomień kuchenki gazowej, postawił na ogniu patelnię. Krojąc boczek opowiadał:

— Oczywiście wiem, że gdyby przed trzydziestu laty policjanci mieli w rękach tę laseczkę, zawisłbym na szubienicy, a w najlepszym razie otrzymałbym dożywotnie więzienie.

Raptem podniósł głowę znad patelni:

— Skąd pan ma tę laskę? Na jakiej zasadzie doszedł pan do wniosku, że należała do mnie?

— Bałucki rzezimieszek, niejaki Oczko, w 1903 roku wręczył tę laseczkę adwokatowi Kocherowi, który stał się później pańskim teściem. A ponieważ pan, zdaje się, od dzieciństwa kulał...

— Chorowałem na paraliż dziecięcy.

— ... Domyśliłem się, że Kocher podarował panu tę laskę.

— Nie. To nie tak się stało. Po prostu moja żona była jedyną spadkobierczynią Kochera. Wszystkie przedmioty należące do teścia trafiły z czasem do moich rąk. Na laseczkę od razu zwróciłem uwagę, bo kuleję. Przekonałem się, że ukrywa bagnet i w gruncie rzeczy nie jest to laska do podpierania się, ale raczej od parady, dla eleganta. Leżała u mnie na strychu przez kilkanaście lat i nawet ja sam zapomniałem o jej istnieniu. Przypomniałem sobie o niej dopiero, gdy poznałem Zazę.

— Dlaczego zabił pan Porębską?

— Pan pyta, dlaczego ją zabiłem? Chwileczkę, boczek się już dość wysmażył, teraz wbiję jajka. Muszę powąchać, czy świeże. W sklepach w ogóle nie kontrolują jakości jajek. Dziwię się, że pan jako dziennikarz nie poruszy w prasie tej sprawy.

— Dlaczego pan ją zabił? — powtórzył pytanie Henryk czując, że narasta w nim wściekłość.

— Niech pan nie żałuje Zazy. To była bardzo zła kobieta. Poznałem ją w 1927 roku, gdy po raz pierwszy występowała w Łodzi. Podobała mi się, napisałem do niej bilecik, umówiliśmy się na schadzkę, a ponieważ byłem wówczas człowiekiem dość zamożnym, i samotnym, szybko się ze mną porozumiała. Przyszła do mnie do domu. Przyszła tylko raz, więcej nie chciała. A mnie bardzo pociągała jej uroda. Jeszcze więcej pociągała mnie po tym niż przed tym. Pan wie, co to znaczy? Prawie czterdziestoletni mężczyzna, który nagle odkrywa w sobie wielką namiętność do młodej kobiety. I oto ta kobieta zgadza się przyjść, przyjść tylko raz. Broni się zaś przed następnymi schadzkami. Ach, jak ja ją namawiałem, przekonywałem! Obiecywałem jej małżeństwo, prezenty, pieniądze. Śmiała mi się w twarz i drwiła. Mówiła, że

stać ją na kaprysy, bo tylko kaprysem było przyjście do mnie. Policzkowała mnie swoją drwiną, kpiła ze mnie. Twierdziła, że nie nadaję się na kochanka, budziła we mnie jakieś niesamowite kompleksy. Cierpiałem. Bardzo cierpiałem.

Jajka na patelni głośno skwierczały. Odstawił patelnię z ognia i cierpliwie czekał, aż trochę ostygnie. Jednocześnie opowiadał:

— Strasznie cierpiałem, gdy po dwóch tygodniach pobytu w Łodzi wyjechała do Poznania, a później do innych miast. Jeździłem za nią, błagałem o miłość. Na próżno. Czas jednak zrobił swoje i po pół roku poczułem się trochę uleczony. Powoli zapomniałem o niej i o upokorzeniu, które przez nią przeżyłem. Po dwóch latach jednak ona znowu zjawiła się w Łodzi i sama do mnie zadzwoniła. Umówiła się na schadzkę. Przyszła do mnie i bez żadnych próśb stało się to, o co przez tyle czasu ją błagałem. To była jednak tylko pułapka. Bo już następnego dnia znowu ze mnie drwiła, szydziła, bawiła się mną. Była okrutną, złą, bardzo złą kobietą.

Sięgnął po łyżkę, wytarł ją jakąś brudną ścierką i zabrał się do posiłku. Mówił z ustami pełnymi jedzenia.

— Cierpiałem tak bardzo, że gotów byłem na wszystko. Nawet na zabójstwo. Najpierw myślałem, żeby siebie zabić. Potem, żebyśmy obydwoje zginęli. A wreszcie przyszło mi do głowy, że to przecież ona jest wszystkiemu winna. Dlatego to właśnie ona powinna zginąć. A gdy tylko pomyślałem o zabójstwie, od razu przypomniałem sobie o laseczce leżącej na strychu. Wykombinowałem, że skoro od lat chodzę z ciemną laseczką, nikt nie zwróci uwagi, jeśli pojawię się z podobną. I nikomu na myśl nie przyjdzie, że to nie ta sama laska. Zresztą, proszę pana, z początku myślałem, żeby zabić Zazę ostentacyjnie i samemu oddać się w ręce policji. Lecz potem wszystko wyszło zupełnie inaczej. W skrzyni jej męża znaleziono sztylet o czworokątnym ostrzu. Sztylet należał do Arno, choć on przez cały czas procesu twierdził, że to nieprawda. Oczywiście kłamał. Ale co miał robić, skoro głupi przypadek mógł go zaprowadzić na szubienicę? Inny przypadek ochronił go przed szubienicą. Tak się bowiem złożyło, że nikt w cyrku nie widział u niego owego sztyletu.

Arno nigdy się nim nie posługiwał na arenie. Więc świadkowie sugerowali, że ów sztylet mu podrzucono, co oczywiście prawdą nie było.

Zjadł. Poskrobał łyżką patelnię zgarniając przypieczone jajka. Przełknął ostatni kęs, otarł chusteczką usta i oświadczył:

— Wieczorem czekałem przed cyrkiem, aż Arno wyjdzie do miasta, a czynił to prawie codziennie o dziewiątej. Kilka minut przed dziesiątą wszedłem do wozu. Zaza zaczęła na mnie krzyczeć, nawymyślała mi od głupców, znowu szydziła ze mnie i raniła mnie do żywego. Zabiłem ją bagnetem z laseczki. Wyszedłem jak gdyby nigdy nic.

— Niewinnego człowieka skazano na dożywocie — powiedział Henryk.

— O, pan nie zna okoliczności sprawy — zauważył. — Ja i Arno byliśmy jednakowo podejrzani. Ale okazało się, że on nie miał alibi, więc w rezultacie to on zasiadł na ławie oskarżonych. Ja przecież nie mogłem przewidzieć, że on nie będzie miał alibi i że znajdą sztylet w jego skrzyni. Odechciało mi się podstawiać głowę pod stryczek. Zresztą, proszę pana, to za moje pieniądze bronił go najlepszy adwokat łódzki. Arno dostał dożywocie. Po roku jednak znalazła się dziewczyna, z którą w nocy romansował w parku, i zeznała, że towarzyszyła mu od dziewiątej wieczór, a więc niemożliwe było, aby Arno zamordował Zazę. Dziewczyna ta, jakaś młoda prostytutka, nazajutrz po zabójstwie Zazy trafiła za coś tam do więzienia i nie miała pojęcia, że w ręku ma los faceta, z którym romansowała w parku. Zrobiono rewizję sprawy. Arno uniewinniono. Nikt nie znalazł laseczki z bagnetem, nikt nie domyślał się w ogóle jej istnienia. Laseczkę wcisnąłem między krokwie dachu w domu na Bałutach. Dom ten był wówczas moją własnością, sprzedałem go potem. Podczas wojny dom znalazł się w obrębie getta, pod koniec wojny zupełnie go zrujnowano. Teraz na tym miejscu budują nowy blok. Skąd, u licha, laseczka znalazła się w pańskim ręku?

— I pan to wszystko opowiada tak spokojnie, połykając jajecznicę z boczkiem? — zapytał Henryk.

Uśmiechnął się.

— A jak mam opowiadać? Krzycząc? Płacząc? Zalewając się łzami? Muszę panu wyznać, że nigdy nie trapiły mnie wyrzuty sumienia. Ja chyba Zazy

bardzo nienawidziłem. Zresztą może ją kochałem? Teraz chodzę na jej grób. Ale to także nie z powodu wyrzutów sumienia. Po prostu nie mam gdzie chodzić. Podczas wojny przyjąłem Volkslistę, a po wojnie zabrano mi sklep, zrobiono ze mnie nędzarza. Wszyscy dawni moi znajomi Niemcy albo wyjechali, albo już nie żyją. Jestem stary, raz w tygodniu odwiedzam grób mej zmarłej żony, która leży na cmentarzu ewangelickim, raz w tygodniu chodzę na grób Zazy. Otrzymuję niewielką rentę, bo po wojnie pracowałem w fabryce włókien sztucznych na Widzewie i nadszarpnąłem zdrowie. Żyję nędznie, ale żyję. Dopóki nie umrę — zachichotał.

— A co się stało z Arno?

— Nie wiem. Przez kilka lat śledziłem jego losy. Przeniósł się do cyrku węgierskiego i wyjechał z Polski. Wtedy ślad po nim zaginął.

Henryk podniósł się z kulawego stołka:

— Teraz wiem już wszystko. Rzeczywiście wszystko.

— Czy nie mógłby mi pan pozostawić tej laseczki? — zapytał Bromberg.

Henryk zawahał się.

— Być może później zdecyduję się ją panu podarować. Teraz jednak będzie mi ona bardzo potrzebna. W pańskiej sprawie wyjaśniłem wszystko. Ale ona znajdowała się nie tylko w pańskich rękach.

— Proszę, niech mnie pan jeszcze odwiedzi — powiedział Bromberg. — Jestem bardzo samotny, a rozmowa z panem to prawdziwa przyjemność. Być może, przypomnę sobie jeszcze jakieś szczegóły zbrodni. Bo jestem bardzo samotny. Zdarzają się całe tygodnie, że nie mam do kogo ust otworzyć. Przyjdzie pan tu jeszcze, prawda?

— O tak. Przyjdę — rzekł Henryk. I z prawdziwą ulgą opuścił mieszkanie Bromberga.

Na dole, na brudnym podwórzu czekała Rosanna.

— Julia poszła. Nareszcie udało mi się ją obrazić — zawołała triumfująco.

12 czerwca, rano

W dwa dni później złożył Henrykowi wizytę porucznik Pakuła. Usiadł na tapczanie, położył na kolanach kapelusz z szerokim rondem.

— To pan podpuścił Kobylińskiego, aby napisał te wszystkie brednie? — zapytał wrogo.

— Od tygodnia nie miałem w ręku „Echa". Trudno mi osądzić, czy Kobyliński napisał brednie.

— Boże, co on nagryzmolił o morderstwie Butyłłów! Podobno była to krwawa *vendetta* lub mord jakiegoś Iksa czy Ygreka. Brednie, panie. Do licha — złościł się — milicja jest od tego, żeby szukać zbrodniarzy, a dziennikarz od tego, żeby to opisać. Zgubi nas choroba niekompetencji.

Henryk spróbował bronić Kobylińskiego, choć nie miał pojęcia, co tamten napisał w „Echu".

— Zapewne chłopak pokusił się o znalezienie motywu zbrodni. Zrobił to, na co go było stać. Wy przecież także nie znacie właściwego motywu zabójstwa Butyłłów?

— To się okaże. To się jeszcze okaże. Jedno jest jednak pewne: Kobyliński jota w jotę powtórzył w gazecie to, co mi pan opowiadał, gdy siedzieliśmy przy zwłokach Butyłłowej. Znowu ta historia o laseczce, o rzekomym Rykiercie i tak dalej, i temu podobne. Tyle tylko, że dodał o Iksie i Ygreku i o trudnościach, jakie Desa zaczęła robić Butylle, który dostarczał jej przedmioty podejrzanego pochodzenia. Panie redaktorze — aż sapał ze złości — my te wszystkie sprawy równie dobrze znamy. Rozmawialiśmy z Gniewkowskim i zapoznaliśmy się z notesem Rykierta. Czy pan wie, jak się nazywa robota, którą uprawia pan Kobyliński? To jest ujawnianie szczegółów śledztwa i grozi odpowiedzialnością karną.

— Kobyliński opublikował wyniki własnego śledztwa, a nie waszego. A że akurat wy także tylko tyle wiecie co i on, to już nie jego, ale wasza wina. Zresztą — machnął ręką Henryk — nie rozumiem, dlaczego te wszystkie

pretensje składa pan na moje ręce? Nie ja redaguję „Echo", nie jestem redaktorem Kobylińskim.

— Ba — warknął — już dwa razy byłem u Kobylińskiego. Gdzieś się zawieruszył. Wezwaliśmy go do kierownika wydziału dochodzeniowego. Nie raczył się pofatygować. Pan się jednak myli, redaktorze. My wiemy nieco więcej niż Kobyliński. Dla was najważniejszym ogniwem sprawy obydwu morderstw jest laseczka. Czy nie tak?

— Może — Henryk odpowiedział bez przekonania. — Bo nie ulega wątpliwości, że jakiś facet dzwonił do mnie i podając się za rekwizytora z filmu chciał za trzy tysiące złotych wycyganić laskę. Innymi słowy, laseczka jest komuś bardzo potrzebna.

Pakuła pokiwał głową:

— Nie przeczę, że mógł być taki telefon i że, być może, rzeczywiście laska pańska ma jakieś znaczenie w tej sprawie. Lecz jeśli byłaby aż tak bardzo potrzebna mordercy, to zginąłby nie tylko Butyłło i Butyłłowa, ale pan, redaktorze. A wraz z panem zginęłaby laska.

— Zgoda. Chwilami również poczynam wątpić, czy laseczka odgrywa jakąś poważną rolę. Ale jak dotąd naprawdę nikt z nas nie wynalazł żadnego innego uzasadnienia dla tej historii.

— Proszę pana — rzekł z powagą Pakuła — ta historia z *vendettą* dobra była dla „Echa". Lecz przecież my dwaj możemy sobie szczerze powiedzieć, że to bzdura. Chciałbym, aby pan był jednak pewny, że zrobiliśmy wszystko, co można, w tej sprawie. Przetrząsnęliśmy dokładnie całą przeszłość zarówno Butyłły, jak i jego żony. Poznaliśmy ich wszystkich krewnych i znajomych. To nie było zabójstwo rabunkowe. Nie zabił również kochanek Butyłłowej, ma zbyt dobre alibi. Lecz musiał to być człowiek, któremu na coś była potrzebna śmierć Butyłły i jego żony. Zanim milicja powie *kto*, najpierw musi wiedzieć *dlaczego*.

— Czy wiecie *dlaczego*?

— Wydaje nam się, że wiemy.

— Oczywiście, pan mi tego nie powie, prawda?

— Nie wolno mi mówić takich rzeczy. Tymczasem; później, oczywiście, chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

Henryk nie odezwał się ani słowem. Chciał mu dać do zrozumienia, że nie ma ochoty podtrzymywać rozmowy. Gdyby Pakuła był dobrze wychowany, powinien teraz wstać, ukłonić się grzecznie i wyjść. Ale on siedział na tapczanie i milczał.

Wreszcie Henryk nie wytrzymał i spytał grzecznie:

— Słucham pana? Pan zdaje się ma do mnie jakąś sprawę?

— Ach tak, prawda — ocknął się z zamyślenia. — Chciałem zapytać, czy nie wie pan, co się dzieje z redaktorem Kobylińskim?

— Nie mam pojęcia. Byłem cztery dni w Krakowie. W przeddzień mego wyjazdu miałem z nim tylko kontakt telefoniczny.

— W redakcji nie wiedzą, co się z nim stało. Znikł. Przepadł. W domu go nie ma od kilku dni. Nikogo nie zawiadomił, że wyjeżdża.

Henryk wzruszył ramionami. Skąd mógł wiedzieć, gdzie przepadł Kobyliński?

— Panie poruczniku — rzekł do Pakuły — może jednak dowiem się od pana, kogo podejrzewacie o zabójstwo Butyłłów? Nie powoduje mną dziennikarska ciekawość. Uważam, że dość mocno siedzę w tej sprawie i moja rada mogłaby się wam na coś przydać.

Westchnął ciężko.

— Butyłło był człowiekiem dość zamożnym. Oprócz domu z ogrodem i ładnie urządzonego mieszkania miał trochę kosztowności i złotych dolarów. Znaleźliśmy te rzeczy u Butyłłowej, która go okradła w chwili śmierci. Ktoś to wszystko teraz otrzyma.

— Żona, która leży w szpitalu.

— I jego syn. Dwudziestoletni obiecujący młodzieniec. Hulaka, dziwkarz, dwa razy karany za włamanie do sklepów państwowych.

— Aresztowaliście go?

— Trudność polega na tym, że ten obiecujący młodzieniec jest aresztowany od dość dawna. Wsadzono go jeszcze przed zabójstwem Butyłłów. On ich nie mógł sprzątnąć, bo w tym czasie odpoczywał w izolacji, pan rozumie? Więc na

razie zajmiemy się poznawaniem znajomków owego młodziana. Któż bowiem może zaręczyć, czy nasz bohater nie zlecił komuś tej robótki z Butyłłami, a sam na czas zbrodni powędrował do więzienia, na krótko zresztą. Na trzymiesięczny wyroczek.

Henryk pokiwał głową:

— Mój Boże. Wyjaśnienie zagadki może okazać się tak banalne. Teraz dopiero widzę, jak bzdurne myśli przychodziły mi do głowy. To było tak, jakbym sięgał prawą ręką do lewego ucha. Wstydzę się, panie poruczniku. Rzeczywiście teraz przyznaję, że byłby ze mnie bardzo marny detektyw.

Spodziewał się zobaczyć na twarzy Pakuły uśmieszek triumfu. Lecz Pakuła jakby nie przyjął do wiadomości samokrytyki Henryka. Po chwili milczenia odezwał się:

— A jeśli to właśnie pan ma rację?

— Ja??

— A jeśli to pańska laseczka jest kluczem do całej sprawy?

— Laseczka?

Pakuła uśmiechnął się.

— Niech pan nie traktuje zbyt serio moich słów. Po prostu i ja także czasem sięgam lewą ręką do prawego ucha.

Odezwał się telefon.

— To do pana, poruczniku — powiedział Henryk oddając mu słuchawkę.

— Słucham — zawołał Pakuła, a potem długo, długo milczał, jakby wysłuchując jakiegoś meldunku. Na koniec rzekł:

— Przyślijcie wóz milicyjny.

Już nie usiadł na tapczanie. Nerwowo przeszedł się po pokoju.

— Stało się coś? — zapytał Henryk.

— Owszem. Znaleźli samochód mordercy.

Wyjął z kieszeni jakąś kartkę, spojrzał na nią i wyjaśnił:

— Nasi ludzie odwiedzili warsztaty samochodowe w Łodzi i okolicach, próbując wywiedzieć się, czy w ostatnim czasie nie przemalowywano ciemnozielonej syreny.

— I co?

— Odmalowano na żółto syrenę żółtą po jakiejś kraksie. Odnawiano lakier na syrenie o barwie pomidorowej i wreszcie pomalowano syrenę o barwie żółtej na ciemnozieloną, czyli na kolor podejrzany. Zresztą wszystko to nie ma już znaczenia, skoro poszukiwany samochód znalazł się w naszych rękach.

— Z właścicielem?

Nie odpowiedział. Zamyślony patrzył w okno, a po krótkiej chwili zapytał:

— Chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiał pan ostatnio z Kobylińskim. Proszę streścić rozmowę możliwie najdokładniej.

— Kobyliński dzwonił do mnie 4 czerwca wieczorem. Powiedział, że był u siostry Rykierta, a później u Gniewkowskiego. Nic nowego nie wywęszył poza tą bzdurną hipotezą o *vendetcie*. Postanowił więc skoncentrować swoje śledztwo na sprawie owego Iksa z notesu Rykierta. To zresztą i ja mu doradziłem. Miał znowu pójść do siostry Rykierta, wypisać nazwiska i adresy ludzi, którzy nabyli przedmioty dostarczone Rykiertowi przez Iksa; Kobyliński postanowił odwiedzić kolejno tych ludzi i obejrzeć owe przedmioty, przypuszczaliśmy bowiem, że może rzuci to jakieś światło na osobę Iksa.

Nagle Pakuła zadał Henrykowi dość nonsensowne pytanie:

— Pan zna Kobylińskiego, prawda?

— O tyle, o ile...

— Widywał go pan często?

— Widywałem go często w Klubie Dziennikarzy. Ale na ogół rzadko z nim rozmawiałem.

Odwrócił się od okna.

— Przyjechali po mnie. Czy zechciałby pan odbyć godzinną przejażdżkę naszym wozem?

— Jeśli to konieczne...

— Uważam, że konieczne — powiedział Pakuła i wziął z tapczanu swój wielki kapelusz.

Henryk narzucił płaszcz. Byli w drzwiach, gdy Pakuła spojrzał na Henryka i zatrzymał go w progu.

— Dlaczego nie bierze pan swojej laseczki?

Henryk wzruszył ramionami:

— Major Buczek radził mi, abym jej nie nosił...

— Teraz będzie innego zdania. Proszę ją wziąć. I proszę nosić ze sobą. A w ogóle... — machnął ręką — później panu wszystko wyjaśnię.

Zbiegli po schodach do milicyjnego auta, które oczekiwało przed domem. Ruszyło bardzo gwałtownie i przeleciało przez miasto z rykiem syreny. Wyjechali na szosę w stronę Warszawy. Do Strykowa Pakuła odezwał się tylko raz.

— Sprawa staje się coraz bardziej makabryczna. Prosiłbym o zachowanie wielkiej ostrożności.

— O co chodzi? Proszę mówić wyraźnie.

— Będę szczery. Boję się, że będzie pan następną ofiarą mordercy. Nie znamy go. Wiemy tylko, że jest niebezpieczny. Domyślamy się, że jest to mężczyzna, dlatego niech pan zachowa ostrożność w stosunku do każdego człowieka, z którym sam na sam znajdzie się pan w mieszkaniu swoim albo... cudzym — dodał.

— Co się stało?

Samochód zarzuciło na zakręcie. Znajdowali się już pod Głownem. Auto skręciło w boczną drogę między pola porośnięte zbożem. Jeszcze jeden zakręt i pojechali polną drogą między łanami zbóż. Droga kończyła się nad urwistym brzegiem glinianki. Było tu kilka aut milicyjnych, duży dźwig na samochodzie ciężarowym.

Wyskoczyli z auta. Motor dźwigu warczał głośno, a żelazny uchwyt powoli wyciągał z brudnej wody glinianki ciemnozielony samochód. Kilku milicjantów usiłowało uporać się z gromadką chłopów, kobiet i dzieciarni, która przybiegła z sąsiednich wsi.

Major Buczek wypytywał jakiegoś milicjanta o ogorzałej twarzy. Obok milicjanta stał chłopak wiejski, dumny, nieprzystępny dla dzieciarni, która zazdrośnie spoglądała na niego z odległości.

Ogorzały milicjant meldował Buczkowi:

— Jak sami widzicie, obywatelu majorze, wokół glinianki rośnie trochę trawy. Ten chłopiec — położył rękę na ramieniu wiejskiego chłopaka — przygnał tu dziś krowę. Zauważył, że na urwistym brzegu glinianki wyryły ślad

w glinie ogumione koła. Gdyby brzeg był niski, można by pomyśleć, że jakiś chłop przybył tu wozem na ogumionych kołach i wjechał w płytką wodę, żeby napoić konia albo po prostu umyć wóz. Ale brzeg jest urwisty, przynajmniej cztery metry do lustra wody. Wyglądało zaś tak, jakby z tej wysokości ktoś wjechał do glinianki. Chłopaka zaniepokoiło to i gdy w południe gnał krowę do domu, akurat natknął się na mnie i opowiedział mi o swoim spostrzeżeniu. Więc ja zaraz tutaj przyszedłem na rozpoznanie. Stwierdziłem, że jest tak, jak mówił chłopiec. Ktoś wpadł z wozem do glinianki. Zaraz sobie pomyślałem, że to nie wóz chłopski, lecz samochód. W naszych okolicach zdarzył się wypadek, że ukradziony w Łodzi samochód złodzieje przywieźli w te strony, wyrabowali wnętrze, wyrwali motor, a pusty wrak wrzucili do stawu. Pomyślałem, że teraz stało się coś podobnego. Rozebrałem się, dałem nurka do wody i rzeczywiście zaraz pod powierzchnią znalazłem dach wozu. Zrobiłem jeszcze jednego nurka i stwierdziłem, że w wozie znajduje się człowiek. To musiało się stać z 6 na 7 czerwca w nocy. Bo wówczas padał deszcz i dlatego koła samochodu tak głęboko zaznaczyły się na brzegu glinianki. Od tamtego czasu nie było już deszczu, a gdyby tamto zdarzyło się wcześniej niż z 6 na 7, toby deszcz zmył ślady.

Pakuła trącił Henryka w ramię.

— Chodźmy — powiedział półgłosem.

Wydobyte z wody auto stanęło już na brzegu. Otwarto drzwiczki i z wozu wysunął się na ziemię mocno napuchnięty kształt ludzki. Henrykowi wystarczyło tylko jedno spojrzenie w twarz trupa.

— To jest Kobyliński — stwierdził.

Milicyjny lekarz dokonał prowizorycznych oględzin zwłok. Kobylińskiego zakłuto nożem w ten sam sposób co Butyłłę i jego żonę. Nie ulegało wątpliwości, że te trzy morderstwa były dziełem jednej i tej samej osoby.

Auto mordercy ładowano na wóz ciężarowy, aby zawieźć je do Komendy Wojewódzkiej.

Major Buczek i Pakuła konferowali na osobności. Buczek rozłożył mapę, coś tam na niej kreślili. Wreszcie Pakuła zerknął w stronę Henryka, jakby pytając

o coś Buczka. Ten skinął głową. Wówczas Pakuła zbliżył się do dziennikarza i powiedział:

— Pojedzie pan ze mną. Na razie wolę mieć pana przy sobie.

Już w aucie poprosił Henryka:

— Proszę jeszcze raz dokładnie przypomnieć sobie, co panu mówił Kobyliński. On zginął, bo trafił na ślad mordercy, i nastąpił mu na pięty. Musimy iść po tej samej drodze. A tylko panu powiedział Kobyliński, dokąd zamierza się udać.

— Postanowił odwiedzić Rykiertową, uzyskać od niej adresy i nazwiska tych ludzi, którym Rykiert sprzedał przedmioty kupione od Iksa.

Pakuła dotknął palcem swego notesu.

— Tu mam te nazwiska i adresy. Jazda! — rzekł ostro do kierowcy. — Najpierw do Głowna, do obywatela — zajrzał do notesika — Skoniecznego.

Do samochodu wskoczył umundurowany oficer milicji, zajął miejsce przy kierowcy i dopiero wówczas pojechali do Głowna. Henryk zrozumiał, jak istotne mogło okazać się spotkanie Pakuły ze Skoniecznym. Głowno leżało przecież tylko trzy kilometry od glinianki, skąd wydobyto samochód ze zwłokami Kobylińskiego.

Zajechali przed piętrowy dom. Przy bramie widniała tabliczka:

JÓZEF SKONIECZNY LEKARZ DENTYSTA.

Kazano Henrykowi czekać w aucie. Pakuła i oficer milicji zniknęli w bramie domu.

Dopiero w godzinę później pokazał się Pakuła i kiwnął ręką na Henryka.

— Chciałbym, aby obejrzał pan złoty talerz Iksa, który Skonieczny kupił od Rykierta. Talerz, jak talerz, tyle że złoty. Może panu przyjdzie do głowy jakaś genialna myśl.

Po drewnianych schodach poprowadził go na piętro. Drzwi były otwarte, znaleźli się w niedużym pokoju, dość skromnie urządzonym. Przez uchylone drzwi widziało się gabinet dentystyczny.

W pokoju siedział łysiejący mężczyzna w białym fartuchu, a obok niego przy stole notował coś w brulionie oficer milicji. Skonieczny wydawał się bardzo przestraszony, spojrzał na Henryka z panicznym lękiem.

— Proszę, to jest ten przedmiot — rzekł Pakuła pokazując Henrykowi złoty talerz.

Skonieczny wziął dziennikarza za jakąś grubą rybę milicyjną ubraną po cywilnemu i począł się tłumaczyć:

— Nie zajmuję się zbieraniem tego typu przedmiotów. Ale w ubiegłym roku udało mi się zarobić trochę więcej grosza, bo robiłem prywatnie sporo protez. Ktoś mi doradził, abym ulokował pieniądze w jakimś małym, zabytkowym przedmiocie...

— Pan się wybiera za granicę? — spytał oficer.

— Tak. Mam zamiar jechać na wycieczkę do Włoch.

— Kupił pan więc złoty talerz — dokończył Pakuła. — Kto panu doradził to kupno? Kto pana skierował do Rykierta?

— Ktoś ze znajomych. Zdaje się, mecenas Stanecki.

— Doradził panu, aby zwrócił się pan do magistra Rykierta...

— W styczniu odwiedziłem pana Rykierta, pokazał mi złoty talerz, kupiłem go. Więcej już nie widziałem na oczy pana Rykierta.

Padło nowe pytanie:

— Kiedy sprzedał pan swój samochód?

— Mówiłem już panom. Swego mikrusa sprzedałem przed dwoma tygodniami, bo czekam na przydział nowego wartburga. Przecież mikrusem nie pojadę do Włoch.

Znowu pytanie:

— Czy nie orientuje się pan co do pochodzenia pańskiego talerza?

— Pan Rykiert powiedział mi, że talerz jest po jakichś hrabiach. Ma na sobie literę „R". Podobno pochodzi z kredensu rodziny Ronikerów czy kogoś tam. Mnie to nie interesowało. Ja chciałem tylko w czymś ulokować pieniądze.

— Co pan robił w nocy z 6 na 7 czerwca?

— Mówiłem już panom. Było u mnie większe towarzystwo. Proboszcz tutejszej parafii, doktór Wiśniewski z żoną i córką. Był zastępca

przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, dyrektor naszej szkoły z żoną. Gościliśmy ich chyba do północy, a potem wszyscy ode mnie wyszli, ja z żoną położyliśmy się spać, w Głownie nie ma dokąd pójść, proszę panów. Jedyna rozrywka to wyjechać autem do Łodzi. Ale odkąd auto sprzedałem, muszę siedzieć na miejscu.

Henryk skończył oglądanie talerza. Był ze złota i to dość wysokiej próby, co uwidoczniało się na stemplu pod spodem. Na dnie talerza od zewnętrznej strony znajdowała się wyryta ozdobnie litera „R".

Pakuła i oficer w mundurze pożegnali Skoniecznego, grzecznie przepraszając go za niespodziewane najście i indagacje. Henryk zorientował się, że do końca nie powiedzieli mu, w związku z jaką sprawą odbyło się przesłuchanie. Skonieczny pozostawał w przekonaniu, że milicji chodziło o nielegalne transakcje złotymi wyrobami.

Wsiedli do auta, przejechali przez miasto. Oficer kiwnął głową kierowcy. Wóz zatrzymał się, oficer wyskoczył.

Pakuła wyjaśnił: — Teraz będzie sprawdzać, czy facet mówił prawdę.

— A jak z Kobylińskim? Był u niego?

— Owszem. 5 czerwca o dwunastej w południe. Podobno zaczął Skoniecznemu trajlować coś o zabytkowej wartości talerza. Skonieczny talerz mu pokazał. Kobyliński podobnie jak my próbował wysondować Skoniecznego, czy nie orientuje się, jaki jest rodowód talerza. Dowiedział się tyle co my, a więc nic. O wpół do pierwszej opuścił mieszkanie dentysty. Oczywiście, mówię wedle relacji Skoniecznego. To wszystko trzeba sprawdzić. Może ktoś widział Kobylińskiego, gdy wsiadał w Głownie do autobusu lub szedł na stację kolejową? Każdy szczegół może okazać się niezwykle istotny. Bo jeśli Kobyliński przyszedł do Skoniecznego, ale od niego... nie wyszedł?

Znaleźli się na szosie do Łodzi. Pakuła rzekł do kierowcy:

— Chciałbym najkrótszą drogą dostać się do Ozorkowa.

— Jest droga za Strykowem. Skręca do Zgierza, a od Zgierza możemy ruszyć prosto na Ozorków.

— Doskonale. W takim razie jedźmy tą drogą. Proszę się zatrzymać przed domem Butyłłów, wiecie, gdzie to jest?

Henryk zapalił papierosa.

— Co panu przyszło na myśl, gdy obejrzał pan złoty talerz? — spytał Pakuła.

— Wspomniałem o tym, co usłyszałem od Gniewkowskiego. To zdaje się jakiś złoty talerz zwrócił uwagę Desy, że Butyłło dostarcza przedmioty podejrzanego pochodzenia.

— Dowiadywałem się w Desie. Tak, to właśnie o złoty talerz miała Desa pretensje do Butyłły. Dał im go w komis. Desa talerz wyłożyła na wystawie. Pewnego dnia zgłosił się do nich lekarz, Żyd, i powiedział, że talerz jest jego własnością. Lekarz ów praktykował w getcie łódzkim i w 1943 roku otrzymał go za jakiś lek niezwykle cenny jak na tamtejsze warunki. Talerz darował mu bogaty Żyd holenderski spokrewniony ze słynną i starą rodziną Rotszyldów. Stąd właśnie owo „R" na talerzu. Lekarz miał talerz u siebie aż do końca 1943 roku, potem ukrył go w schowku, bo groziła mu wówczas wywózka do Oświęcimia. Znalazł się w Oświęcimiu w 1944 roku, przetrzymał aż do wyzwolenia. I oto w piętnaście lat po wojnie odkrył swój talerz na wystawie w Desie. Skonfrontowano go z Butyłłą, który twierdził, że talerz kupił od jakiegoś szabrownika w 1946 roku.

— Odpowiedział podobnie jak i na moje pytanie o laseczkę — wtrącił Henryk.

— Lekarz nie mógł jednak udowodnić, że talerz był jego własnością, bo oczywiście zachował w tajemnicy darowiznę od holenderskiego Żyda, Niemcy bowiem bardzo karali posiadaczy złota w getcie. Zresztą, tak niewielu ludzi przetrwało w tych strasznych warunkach... No, w każdym razie nie mógł udowodnić swej własności. Ale ponieważ sprawa ta nabrała dość niemiłego posmaku, w Desie poproszono grzecznie Butyłłę, aby wycofał talerz. Tym bardziej, że w komis oddał jeszcze jakieś inne przedmioty pochodzenia żydowskiego, kandelabry brązowe z bożnicy.

— Talerz był w rękach Iksa, o ile wierzyć notatkom Rykierta. Czyżby więc Butyłło był Iksem?

— W notesie Rykierta kilkanaście razy zostało wymienione nazwisko Butyłły, a tylko trzy razy sygnowano transakcje znaczkiem X, a jeden Y. Nie są

to więc chyba identyczne osoby, bo cóż przeszkadzałoby Rykiertowi jeszcze raz wzmiankować o Butylle? Sądzę raczej, że Butyłło odgrywał dla Iksa tylko rolę pośrednika. Na rozkaz Iksa oddał Desie w komis talerz złoty, a gdy sprzedaż się skomplikowała, po prostu zwrócił talerz Iksowi. Ten zaś z kolei spróbował posłużyć się Rykiertem.

— Czy skontaktował się pan z lekarzem, który rozpoznał talerz jako swoją własność?

— Lekarz ten nie żyje już od kilku miesięcy.

— Cooo? — przestraszył się Henryk.

Pakuła pokręcił głową.

— Po prostu umarł. To był już stary i bardzo schorowany człowiek. Umarł i prawdopodobnie dlatego sprawa z talerzem uszła Butylle na sucho. Lekarz zachorował i nie dochodził dalej swoich praw. Śmierć oczywiście wszystko ucięła.

— Jak on się nazywał?

— Jakub Krzyżanowski.

— Wiem. Słynny internista. Wydawnictwo Łódzkie zapowiada wydrukowanie jego pamiętników z okresu okupacji. Nasz tygodnik wydrukował fragment tych pamiętników...

— Myślę, że warto przeczytać całość pamiętników — rzekł Pakuła bez wielkiego przekonania.

— Do diaska — zawołał Henryk — kim jest ten Iks?

— Ba, żebyśmy to wiedzieli...

— Czy nie sądzi pan, że Iks jest swego rodzaju hieną, która w czasie wojny żerowała na nieszczęściu ludzkim?

— Nie wykluczam podobnej możliwości. Choć, panie redaktorze, wojna bardzo skomplikowała pewne sprawy. Przecież mogło być i tak, że gdy wywieziono do Oświęcimia doktora Krzyżanowskiego, ktoś inny wprowadził się do jego mieszkania, odkrył schowek, może talerz wymienił na bochenek chleba dostarczony zza drutów getta? Albo odkryli schowek Niemcy podczas rabunku getta? Talerz przywłaszczył sobie jakiś rabuś. Potem sprzedał go

w Łodzi lub wymienił na inne towary. Każda wersja w takiej sprawie może być prawdopodobna.

Henryka opadły wątpliwości.

— W gruncie rzeczy nie mamy żadnych przesłanek, aby osobę Iksa identyfikować z mordercą.

Pakuła wzruszył ramionami.

— Przecież ja tego nie robię. Pod pewnym względem nawet wykluczam możliwość, że Iks jest mordercą. Kobyliński został zamordowany odwiedzając jedną z osób, które nabyły u Rykierta przedmioty sprzedane przez Iksa. Żadna z tych osób, być może, nie ma pojęcia o istnieniu Iksa, bo przecież przedmioty owe kupiła nie od Iksa, lecz od Rykierta, podobnie jak Skonieczny. A jednak Kobyliński został zamordowany. W grę wchodzić mogą tylko trzy osoby: Skonieczny, który kupił od Rykierta talerz Iksa, Gniewkowski, który kupił pozłacaną solniczkę, i pan Stanecki ze Zgierza, który nabył od Rykierta stary zegar, również pochodzenia, że tak powiem, Iksowego.

— Jak się to wszystko zawęża do jednej okolicy — powiedział Henryk. — Gniewkowski był sąsiadem Butyłły. Tuż obok w Zgierzu ma dom mecenas Stanecki, a w Głownie, trzy kilometry od stawu, gdzie znaleziono zwłoki Kobylińskiego, mieszka Skonieczny.

— A tak, proszę pana. Dlatego jest prawdopodobne, że któraś z tych trzech osób odegrać musiała zasadniczą rolę w tej sprawie.

12 czerwca, wieczorem

Pakuła zdecydował się wziąć Henryka do Gniewkowskiego. Oficer milicji, który przy gliniance wskoczył do auta, pozostał w Głownie, a Pakuła chciał mieć świadka przy rozmowie.

Była już siódma wieczorem, Gniewkowskiego zastali w mieszkaniu. Pakuła od razu przystąpił do sprawy:

— Czy zna pan reportera „Echa", nazwiskiem Kobyliński? Kiedy widział go pan po raz ostatni?

— Kiedy go widziałem? Owszem, był u mnie reporter z „Echa" 4 czerwca w południe. Nie wiem, jak się nazywał.

Pakuła opisał Kobylińskiego. Staruszek kiwnął głową.

— W takim razie zapewne był to Kobyliński. Od 4 czerwca nie widziałem go na oczy.

— O czym z panem rozmawiał?

— Wypytywał o moje stosunki z Butyłłami i o sprawy Butyłły w Desie. Później zjawił się u mnie pan Skarżyński, który chciał odkupić pozłacaną solniczkę bardzo pięknej roboty. W trójkę już rozmawialiśmy o śmierci Butyłły. Pan Skarżyński podsunął reporterowi dość ciekawą hipotezę w związku z morderstwem Butyłłów...

— Czytałem o tym w „Echu" — warknął Pakuła.

— To chyba i wszystko. Reporter wyszedł, a pan Skarżyński posiedział trochę u mnie, bo bardzo go interesowała moja porcelana. Od tej pory nie oglądałem pana Kobylińskiego.

— To bardzo dziwne — zastanawiał się Pakuła. — Bo 4 czerwca wieczorem pan Kobyliński zadzwonił do tego oto pana — wskazał na Henryka — i powiedział, że znowu się do pana wybiera, aby obejrzeć pozłacaną solniczkę. Odpowiedź swoją proszę traktować bardzo poważnie — zastrzegł — ponieważ pan Kobyliński został zamordowany podobnie jak Butyłłowie.

— Jeszcze jeden? O Boże! — zawołał staruszek. — Co to się dzieje!?

— Czekam na odpowiedź — zaznaczył Pakuła.

— A cóż ja mogę powiedzieć? Nie był u mnie po raz drugi. Zresztą po co miał przyjeżdżać, skoro przy nim odprzedałem solniczkę panu Skarżyńskiemu? Więc gdyby jeszcze raz chciał ją obejrzeć, to pojechałby nie do mnie, lecz do Skarżyńskiego, do Brzezin. Wątpię jednak, czy to uczynił, ponieważ miał w rękach solniczkę i oglądał ją bardzo starannie.

Na szosie do Łodzi Henryk rzekł Pakule:

— Mamy czwartego. Skonieczny, Gniewkowski, Stanecki i... Skarżyński. Do którego teraz pojedziemy?

— Na razie do żadnego. Okazałem się w zbyt gorącej wodzie kąpany. Przecież nawet nie wiemy dokładnie, kiedy Kobyliński został zamordowany. Być może jest tak, jak mówił ów posterunkowy, samochód z trupem wrzucono do glinianki w nocy z 6 na 7. Lecz to wcale nie znaczy, że właśnie tej nocy zabito Kobylińskiego. Mogło to się stać znacznie wcześniej, w nocy z 4 na 5 albo z 5 na 6, rano lub wieczorem. Morderca mógł ukryć trupa swej ofiary i dopiero przy nadarzającej się okazji wrzucić go z wozem do glinianki. Czas zgonu ustali dokładna obdukcja lekarska. Może się okaże, że w samochodzie pozostały ślady, które pozwolą zidentyfikować właściciela? Dopiero gdy będę miał wyniki badań lekarskich i ekspertyzę naszych fachowców, pojadę do Skarżyńskiego i Staneckiego.

— Wydaje mi się, że Gniewkowski jest poza podejrzeniami. To staruszek, a poza tym nie ma samochodu.

— Chciał pan powiedzieć „nie miał samochodu" — zauważył Pakuła. — Bo morderca też nie ma już auta. Rzucił je do glinianki.

— Och — przypomniał sobie Henryk — Skarżyński miał auto. Kiedy po raz pierwszy go poznałem, a było to u siostry Rykierta, mówił, że zamierza sprzedać swoje auto, ponieważ przeraził go wypadek magistra Rykierta...

Pakuła odwiózł Henryka aż pod dom. Pożegnali się uzgodniwszy, że Pakuła zadzwoni, jak tylko otrzyma wyniki ekspertyzy.

W mieszkaniu Henryk natychmiast chwycił za słuchawkę i połączył się ze znajomym redaktorem pracującym w Wydawnictwie Łódzkim. Powiedział, że chciałby otrzymać maszynopis pamiętników doktora Krzyżanowskiego,

albowiem, być może, ich tygodnik zdecydowałby się na druk jeszcze kilku fragmentów.

— Za późno — odpowiedział mu redaktor. — W tej sprawie pertraktuje z nami łódzkie „Echo".

— Co? Oni? A cóż im po tych pamiętnikach? One są chyba za poważne na ten typ gazety?

— A jednak redaktor Kobyliński zabrał maszynopis.

— Kobyliński... — mruknął Henryk.

— Proszę pana — powiedział pośpiesznie — zapewne pamiętniki doktora Krzyżanowskiego macie w kilku egzemplarzach.

— Tak. Ale skoro już „Echo" zaczęło wcześniej pertraktacje... zresztą po co zwróciliście nam maszynopis, skoro chcecie drukować jeszcze kilka fragmentów?

— To poeta Marek tak zrobił. Aha — przypomniał sobie Henryk — przed dwoma tygodniami opowiadał mi pan w Klubie Dziennikarzy, że napisał pan interesujący reportaż z powiatowego miasteczka. Co by pan powiedział, gdybym zaproponował druk reportażu już w następnym numerze?

— Byłbym bardzo zobowiązany.

— Więc zgoda. Przyśle mi pan jeszcze dzisiaj, może przez swego syna, maszynopis pańskiego reportażu i jeden egzemplarz pamiętnika doktora Krzyżanowskiego.

— Musiałbym iść do Wydawnictwa, otworzyć swój pokój i szafę z maszynopisami...

— Reportaż pana będzie wydrukowany w przyszłym tygodniu — obiecał Henryk.

— A co zrobimy z „Echem"?

— Tamto zobowiązanie może pan uważać za niezbyt wiążące, ponieważ redaktor Kobyliński... nie żyje.

— Ach Boże, wypadek?

— Tak, wypadek.

— W takim razie jeszcze dziś syn mój przywiezie panu obydwa maszynopisy.

Przygotowując sobie kolację Henryk nasłuchiwał dzwonka oznajmiającego przywiezienie maszynopisu. Wreszcie dzwonek odezwał się, ale zamiast chłopca z maszynopisami zjawiła się Rosanna.

Zjedli razem kolację. Opowiedział jej o śmierci Kobylińskiego. Rzekła podobnie jak Pakuła:

— Powinieneś zachować ostrożność. Chyba sam rozumiesz, że teraz przyszła kolej na ciebie.

Wzruszył ramionami.

— Nie jestem o tym przekonany. Nie widzę powodu, dla którego morderca miałby dybać na moje życie.

— A Kobyliński?

— Zapewne znalazł się na tropie mordercy. Usunięcie mnie z gry nie ma dla mordercy najmniejszego sensu, ponieważ w tej sprawie orientuję się akurat tyle samo, co Pakuła i ty, Rosanno.

— Nie masz żadnej hipotezy? Nikogo nie podejrzewasz?

— Posłuchaj, Rosanno. Podobno przy każdym zabójstwie jest zawsze mnóstwo podejrzanych, więcej, niż trzeba. W tym wypadku stało się odwrotnie. Naprawdę nie widzę powodów, aby kogokolwiek obarczać podejrzeniami. Nie znam zupełnie owego aktora filmowego, na którego padło podejrzenie, gdy zabito Butyłłę. Nic także nie wiem o synu Butyłły, znajdującym się w więzieniu. Myślę, że po śmierci Kobylińskiego ten obiecujący młodzieniec również zostanie oczyszczony z podejrzeń. Więc kto? Zastanówmy się nad wszystkimi postaciami występującymi w tej historii. Rykiert. Nie żyje od dawna, jest poza podejrzeniami. Na razie trudno podtrzymać koncepcję, że został zamordowany. Pozostaje tylko bzdurna hipoteza, która narodziła się w mojej pijanej głowie, że Rykiert żyje, a uczestniczyliśmy w pogrzebie jego kukły, jak to było w sztuce *Śmierć Tarełkina*.

— To oczywista bzdura.

Skinął głową. Wyliczał dalej.

— Po drugie: siostra Rykierta. Jest to poczciwa staruszka. Może jej poczciwość okaże się tylko udaną. W każdym razie nie jest zdolna zamordować

nożem w plecy aż trzech ludzi, w tym dwóch silnych mężczyzn. Do podobnej zbrodni potrzeba dużo siły fizycznej i wielkiej umiejętności, albowiem wszystkie trzy zabójstwa charakteryzowała nieomylność ciosu. Staruszka pozostaje więc poza podejrzeniami. Po trzecie: Butyłło. Nie żyje. Po czwarte: Butyłłowa. Nie żyje. Po piąte: Gniewkowski. Staruszek, raczej również niezdolny do operowania nożem, wygląda bowiem na słabego fizycznie. Nigdy zresztą nie miał samochodu, a morderca, jak wiadomo, posługiwał się ciemnozieloną syreną. Po szóste: Skonieczny, dentysta z Głowna. Wiemy o nim, że kupił od Rykierta złoty talerz i w związku z tym nabytkiem 5 czerwca odwiedził go reporter Kobyliński. Nie znamy zupełnie motywu, dla którego Skonieczny mógłby zabić Kobylińskiego. Reporter zginął najprawdopodobniej w nocy z 6 na 7, nie posiadamy danych, aby sądzić, że Kobyliński znowu odwiedził Skoniecznego, aczkolwiek dość podejrzane jest, że zwłoki Kobylińskiego i samochód mordercy zostały utopione w gliniance o trzy kilometry od Głowna. Skonieczny jednak miał samochód Mikrus, a nie syrenę.

— To już wszyscy? — z rozczarowaniem powiedziała Rosanna.

— W grę wchodzą jeszcze dwa nazwiska. Mecenas Stanecki i Skarżyński. Niestety, nic nie wiem o Staneckim poza tym, że był przyjacielem Rykierta. Prawie tyleż samo posiadam wiadomości o Skarżyńskim. To jakiś uczciwy człowiek, zwrócił siostrze Rykierta dług, który zaciągnął u jej brata. Wiadomo nam, że chciał odkupić od Gniewkowskiego pozłacaną solniczkę, ale czy mamy prawo podejrzewać człowieka tylko dlatego, że pragnie odkupić cenny przedmiot do swojej kolekcji. Aha, Skarżyński był posiadaczem samochodu i zamierzał go sprzedać. To wszystko jednak za mało, aby podejrzewać go o morderstwo. Sądzę, że mordercą jest ktoś, kogo zupełnie jeszcze nie znamy.

Rosanna zamyśliła się. Henryk milczał także przez długą chwilę, jeszcze raz odważając wszystkie „za" i „przeciw" wobec ludzi w jakiś sposób wplątanych w sprawę potrójnego mordu. Wreszcie odezwał się:

— Prawie zupełnie nie mamy informacji o mordercy. Wiadomo nam tylko, że pierwszego mordu dokonał posługując się niemieckim bagnetem, drugiego nożem, być może, nożem kuchennym. Miał ciemnozielony samochód Syrena,

którego się pozbył topiąc go w gliniance wraz ze zwłokami reportera. Jedynym więc wyróżnieniem mordercy jest fakt, że posiadał ciemnozieloną syrenę, której się pozbył. Do naszej wiedzy o mordercy brakuje najważniejszego: motywu zabójstwa Butyłłów. Tylko w sprawie Kobylińskiego domyślamy się, że zginął, ponieważ wkroczył na ślady mordercy. To oczywiście w niczym nie pomaga wyjaśnić, dlaczego zamordowano Butyłłów.

— A jednak o kimś zapomniałeś — zauważyła Rosanna.

— Myślisz o Iksie, prawda?

Skinęła głową. Wyjaśnił:

— Cóż wiemy o Iksie? Nasza wiedza ogranicza się do faktu, że jakiś facet czy facetka sprzedali Rykiertowi stary zegar, złoty talerz i pozłacaną solniczkę, ale z nie znanych nam bliżej względów zastrzegli sobie anonimowość. Domyślamy się, że i Butyłło także nabywał jakieś przedmioty od Iksa i z winy Iksa naraził się na nieprzyjemności w Desie. Jeśli założymy, że Iks posiadał przedmioty o dość podejrzanym pochodzeniu, najprawdopodobniej uzyskane w wyniku jakichś wojennych nieuczciwych transakcji, szabru lub po prostu rabunku, wówczas jasne się dla nas stanie, dlaczego starał się ukryć swą osobę. Ale to wcale nie musi mieć coś wspólnego z potrójnym morderstwem.

— Zapominasz, że Kobyliński zginął, bo chciał dotrzeć do Iksa. Podobnie jak ty, starając się wywiedzieć o właściciela laseczki, trafiłeś na morderstwa.

— Nie wiąż tych dwóch spraw, bo nie ma do tego żadnych podstaw. Twoje wnioski są zbyt proste, a raczej, wybacz mi, trochę prymitywne... Skoro Kobyliński zginął szukając Iksa, uważasz, że zabił go Iks. Może właśnie szukając Iksa natrafił na jakąś ciekawą wskazówkę dotyczącą nie Iksa, lecz mordercy? I wówczas spotkała go śmierć. Jeśli umrę w lesie podczas zbierania grzybów, czy znaczy to, że zginąłem zjadłszy trującego grzyba? Mogłem przecież natrafić w lesie na minę, zostać zabitym przez bandytów lub dostać ataku serca...

Nie skończył. Usłyszał dzwonek i poszedł otworzyć. Wrócił do pokoju z maszynopisami w ręku.

— Połóż się spać, Rosanno — zaproponował — a ja poczytam. Chcę bardzo dokładnie poznać pamiętnik, który tak zaintrygował Kobylińskiego.

— Nie jestem jeszcze twoją żoną — burknęła i rzuciła w stronę Henryka jakąś złośliwą uwagę. Udał jednak, że nie słyszy i wsadził nos w pamiętnik.

Rozścieliła pościel na tapczanie, rozebrała się i położyła spać.

Po pewnym czasie odezwał się telefon.

— Mówi Pakuła. Czy pan jest sam?

— Nie... — odparł po chwili wahania.

— Kto jest u pana?

Henryk chrząknął niepewnie. Telefon obudził Rosannę, podniosła głowę znad poduszki i patrzyła w stronę Henryka.

— Jest u mnie... no, tego... — jąkał się.

— Kto jest u pana? Kto?? — darł się Pakuła.

— Alibi. Moje alibi.

Ucichł ryk Pakuły.

— Rozumiem — powiedział.

Henryk zapytał:

— Co wykazała obdukcja lekarska i badanie wozu?

Pakuła chwilę namyślał się nad odpowiedzią:

— Kobyliński zginął prawdopodobnie 6 czerwca. Tak w każdym razie uważają lekarze. Co zaś do samochodu, to oczywiście nietrudno się było domyślić, że morderca nie pozostawił prawie żadnej wizytówki. Brakowało nie tylko tabliczki z numerem rejestracyjnym. Wyskrobał także wszystkie numery z motoru, z podwozia i karoserii. Uczynił swój wóz prawie zupełnie anonimowym.

— Powiedział pan jednak, że prawie zupełnie...

— Odwieziemy samochód do Warszawy, do Zakładu Kryminalistyki. Oni tam potrafią prześwietlić wyskrobane miejsca. Niekiedy można rozpoznać numer mimo wytarcia. Wtedy spróbujemy dostać się do mordercy po nitce do kłębka, od fabryki, gdzie montowano wóz, do sklepu Motozbytu i tak dalej. To oczywiście musi jakiś czas potrwać.

— Morderca jest bardzo przebiegły — stwierdził Henryk.

— Dlaczego pan tak myśli?

— Jedynym tropem, jaki do niego wiódł, był samochód. A teraz podrzucił wóz i zatarł swój ślad prawie zupełnie.

— Pan żartuje — powiedział. — Wrzucając wóz do glinianki uczynił największe głupstwo. Mógł od razu zostawić swoją wizytówkę z wykaligrafowanym imieniem, nazwiskiem, dokładnym adresem i telefonem.

— To chyba jednak nie to samo. Przecież pan nie wie, kto jest właścicielem samochodu.

— Ale będę wiedział. A ponieważ nie wiem, dzwonię do pana i jeszcze raz proszę o ostrożność. W tej sprawie dość już chyba było trupów. Pan sam rozumie, prawda?

— Rozumiem — odpowiedział ponuro.

— Myślę, że ta nasza historia nie potrwa długo.

— Był pan już u Staneckiego i Skarżyńskiego?

— Nie. To zostawiłem sobie na jutrzejsze przedpołudnie. A na razie do zobaczenia. Myślę, że spotkamy się, gdy morderca znajdzie się w areszcie. Tymczasem, cześć — rzekł.

„Zarozumialec — pomyślał Henryk odkładając słuchawkę. — Będzie miał się z pyszna, gdy okaże się, że morderca tak głęboko wytarł ślady numerów, że i prześwietlenie niczego nie może wykryć".

Zasiadł znowu do pamiętników. O dwunastej w nocy na sto dwudziestej stronie przeczytał:

> W połowie 1944 roku zmuszono mnie do pracy w grupie, której zadaniem było rewidowanie domów i mieszkań w łódzkim getcie, skąd mieszkańców wywieziono transportami do Oświęcimia. Kierował naszą grupą osławiony już Kurt Schuller, doskonale władający językiem polskim. Kim był przed wojną, nie wiem. Opowiadano, że jeszcze przed rozpoczęciem wojny wstąpił do SS. Jako skoczek spadochronowy brał udział w jakimś desancie powietrznym. Ranny w rękę jako niezdolny do służby czynnej skierowany został do likwidacji łódzkiego getta. Był u nas już od pół roku i zdążył wsławić się największymi okrucieństwami. Osobiście zastrzelił na moich oczach dwoje dzieci i staruszkę.

Przy likwidacji getta — pisał dalej doktor Krzyżanowski — ów Schuller postanowił grabić i na własny rachunek. Kierował pracą naszej grupy, ciągle czuwał, abyśmy dość uważnie przeszukiwali wszystkie zakamarki mieszkań. Pewnego dnia zjawił się między nami z palisandrową laseczką kryjącą długi bagnet. Podobno znalazł ją w jakimś mieszkaniu. Obnosił się z nią przez kilka dni i gdy tylko ktoś z nas pracował opieszalej, zaraz wyciągał z laseczki bagnet i kłuł nas w plecy lub ramię, grożąc, że zabije.

Laseczka kryjąca bagnet... To oczywiście była palisandrowa laseczka, jaką Henryk kupił w sklepie Desy.

Czytał dalej. Następne strony zawierały opis historii, którą wydrukowano w tygodniku, zapowiadając edycję pamiętników dra Krzyżanowskiego. Był to dalszy ciąg opowieści o jego pracy w grupie rewidującej opuszczone żydowskie domy.

... A gdy Henryk dobrnął do ostatniej strony pamiętników, podniósł się od biurka i rzuciwszy okiem na śpiącą Rosannę, wyjął z biblioteki komplet numerów swego tygodnika. Odnalazł wydrukowany fragment pamiętnika dra Krzyżanowskiego i jakby nie dosyć mu było tego, co wyczytał w maszynopisie, przeczytał go od nowa.

Kazano mi selekcjonować złote i srebrne przedmioty — pisał dr Krzyżanowski — znalezione w mieszkaniach lub odebrane ludziom wysyłanym transportami do obozów śmierci. Wiele przeżyłem w getcie najróżniejszych okropności, lecz przecież do dziś pamiętam wstrząs, jakiego doznałem napotkawszy cacuszka mojego przyjaciela. Poznałem je od razu. Były własnością Maurycego. Pamiętam, że ilekroć przychodziłem do niego, kazał mi się nimi zachwycać. Złota solniczka z Ledą i łabędziem była roboty Celliniego, a posrebrzany nóż z inicjałami CM pochodził z zastawy Katarzyny Medycejskiej. I gdy tak wstrząśnięty, zamyślony, ze łzami w oczach przyglądałem się tym przedmiotom leżącym na stosie innych — nagle zaskoczył mnie Schuller. Krzyknął, że się lenię, uderzył mnie w twarz, odebrał z mych rąk solniczkę i nóż. Potem rzekł, że nie nadaję się do roboty. Nazajutrz znalazłem się w transporcie jadącym do Oświęcimia.

O drugiej w nocy Henryk odłożył komplet tygodnika.

Rosanna spała. A on był prawie pewien, że wystarczy mu uczynić jeszcze jeden zdecydowany krok naprzód i oto stanie twarzą w twarz z mordercą Butyłłów i Kobylińskiego. Pomyślał, że może już jutro będzie mógł zjawić się w Komendzie Wojewódzkiej MO i zarozumiałemu Pakule przedstawić rozwiązanie kryminalnej zagadki.

13 czerwca, rano

Obudził się o dziesiątej rano z bólem głowy.

Podniósł się z łóżka i ku swemu zdziwieniu stwierdził, że w kuchni już urzęduje Rosanna.

— Nie poszłam dziś do roboty — oświadczyła. — Nie chciało mi się.

— Tak, to rzeczywiście bardzo ważny powód — gderał goląc się w łazience. — Zapewne sądzisz, Rosanno, że wszyscy będą dla ciebie równie jak ja wyrozumiali i pobłażliwi?

— Ty jesteś pobłażliwy? Ty jesteś wyrozumiały? — kpiła. — Ty, który stałeś się jedną wielką podejrzliwością? Ty, który w poszukiwaniu wyimaginowanego pistoletu grzebiesz w damskiej torebce, ty jesteś wyrozumiały? O morderstwo Butyłłów i Kobylińskiego podejrzewasz cały świat, wszystkich ludzi, nie wyłączając mnie i Pakuły oraz siebie samego. Ty jesteś ten pobłażliwy i wyrozumiały?

— Opowiadałem ci, Rosanno, jak zachowałem się w stosunku do Bromberga. Wszak to morderca Zazy, a ja zostawiłem mu pięćset złotych.

— Dałeś mu *à conto* rozliczenia za pozowanie do zdjęć. Przecież nie mógłbyś sobie darować, gdyby ktoś przez chwilę ośmielił się wątpić, że twoje perypetie z laseczką były rzeczywistością. Chcesz więc obstawić się fotografiami. Wyobrażam sobie: na początku artykułu fotografia reportera Henryka wraz z jego laseczką, na drugim zdjęciu w owalu fotografia zaginionego w wypadku samochodowym magistra Rykierta. Na trzecim zdjęciu zobaczymy dom, w którym zamordowano Butyłłów, na czwartym zdjęciu będzie znów reporter Henryk wsparty na lasce i medytujący nad glinianką, skąd wyłowiono samochód mordercy i zwłoki reportera Kobylińskiego. Nikt nie ma prawa zwątpić, że reporter Kobyliński nie został wymyślony przez reportera Henryka. Dalej następuje zdjęcie grobu Anieli Porębskiej, fotografia Bromberga nad grobem swej ofiary, tu załącznik w postaci fotokopii zdjęcia Zazy jako woltyżerki. Następnie Bromberg opowiadający o zbrodni i smażący sobie jajecznicę na boczku...

— Dość! Dość! — zawołał, bo właśnie tak, a nie inaczej wyobrażał sobie ilustracje do reportaży o laseczce.

Przez dłuższą chwilę nie odzywał się, unikając zbyt gwałtownej wymiany zdań, gdyż właśnie golił się. Dopiero potem wyjrzał z łazienki i zapytał:

— Powiedz, dlaczego tak się jakoś dzieje, że kiedy jesteś przy mnie, kiedy z tobą rozmawiam, ani przez chwilę nie wierzę w twoją pracę w Domu Mody?

— Uważasz, że jestem zbyt inteligentna, aby pracować na tak podrzędnym stanowisku? — zawołała z zachwytem.

Czmychnął do łazienki. Teraz jednak ona złożyła mu wizytę.

— Naprawdę rozmawiając ze mną odnosisz wrażenie, że jestem intelektualistką? — pytała opierając się o framugę drzwi.

Nie podejmował dyskusji. Powiedziała:

— Wstyd, Henryku. Jeszcze raz potwierdziłeś swą okropną podejrzliwość. Oczywiście, że nie pracuję jako uboga szwaczka w Domu Mody. Studiuję na ostatnim roku prawa Uniwersytetu Łódzkiego. Moje hobby to robienie wariatów z takich jak ty osobników.

Powiedziawszy to nareszcie zajęła się przygotowywaniem śniadania.

13 czerwca, przed południem

— O której kończysz pracę? — spytała Rosanna, gdy zatrzymali się przed Domem Prasy na Piotrkowskiej.

— Nie wiem. Pokażę się u Naczelnego i zaraz postaram się urwać. Chciałbym odwiedzić siostrę Rykierta i potem zajrzeć tu i ówdzie, że tak powiem po linii potrójnego morderstwa. Myślę, że wieczorem będę w domu.

— Nie uwolnisz się ode mnie. Skoro dziś nie poszłam do pracy, mogę z tobą spędzić czas aż do wieczora. Nie będę ci przeszkadzała, przysięgam.

Przy chodniku przed redakcją zatrzymała się ciemnozielona syrena. Wysiadła z niej Julia, za kierownicą siedział jakiś młody, przystojny mężczyzna.

— Może zechcesz wybrać się z nami na weekend? — powiedziała Julia witając się z Henrykiem. Rosanny jakby zupełnie nie zauważyła. — Brat mój przyjechał do mnie z Poznania. Będzie w Łodzi przez kilka dni. No, przyjmiesz propozycję? Dlaczego nie odpowiadasz — niecierpliwiła się.

— Henryk rozważa, czy nie wchodzi pani w grę jako morderczyni. Ze względu na ciemnozieloną syrenę.

Julia znowu się obraziła. Wzruszyła ramionami i bez słowa weszła w bramę. Henryk począł Rosannie czynić wymówki:

— Nie widzę powodów, aby dokuczać Julii. Zwracam ci także uwagę, że morderca miał ciemnozieloną syrenę, lecz się jej pozbył. Do widzenia — rzekł. — Zobaczymy się wieczorem.

Dogonił Julię na korytarzu redakcji i począł ją przepraszać.

— Ta mała jest rzeczywiście nieznośna — stwierdził.

— Pojedziesz z nami na przejażdżkę? — spytała.

— Nie dzisiaj. Kończę właśnie badanie przeszłości mej laseczki — zrobił laseczką młyńca — i myślę, że w najbliższej przyszłości będę miał sporo czasu. Wtedy gdzieś pojedziemy. We dwoje i to moim autem — podkreślił.

Zameldował się Naczelnemu, zajrzał do redakcyjnych pokojów i wymknął się na ulicę. Nie minęło pół godziny, a stał przed drzwiami mieszkania Rykierta i głośno pukał.

Dość długo trwało, zanim usłyszał głos siostry Rykierta.

— Kto tam?

— To ja, Henryk, Henryk z tygodnika — oznajmił.

Ostrożnie uchyliła drzwi i przez szparę wystawiła głowę.

— Pani się mnie boi? Co się stało?

— Wszystkich się boję. Ciągle kogoś mordują, a nikt nie wie, kto jest mordercą. Może to pan?

Wzruszył ramionami.

— Twierdziła pani kiedyś, że w pani wieku człowiek powinien się oswoić z myślą o śmierci.

— Ba, to się tak tylko mówi. Lecz gdy morderca błyśnie przed oczami nożem, to i w moim wieku człowiek zaczyna się lękać.

— Groził pani ktoś?

— Zabito Butyłłę, który do mnie przychodził. Zabito reportera z „Echa", on także był u mnie. Aż dwa razy. Myślę, że teraz kolej na mnie.

— I ja bywałem u pani, a przecież jak dotąd żyję.

— To jest właśnie podejrzane — mruknęła.

Zrozumiał, że nie wpuści go do mieszkania i niczego się od niej nie zdoła dowiedzieć. „A to się nastraszyła" — pomyślał. Nie dziwił się jej jednak. Trzy następujące po sobie morderstwa mogły przerazić każdego.

— A milicjantów pani wpuszcza? — spytał.

— O tak. Pakuła bywa u mnie prawie co dzień. Dziś też był.

— Nie domyśla się pani, kto jest Iksem z notesu pani brata?

— Niech pan mnie o to nie pyta. Kobyliński pytał i zginął. Nic panu nie powiem.

Nie pozostało mu nic innego jak ukłonić się grzecznie i odejść. Tak też uczynił.

Poszedł na dworzec autobusowy, z rozkładu jazdy dowiedział się, że do Brzezin będzie mógł odjechać dopiero za pół godziny. Kupił więc bilet i na chwilę wstąpił do kawiarni przy ulicy Narutowicza. W Brzezinach postanowił odszukać Skarżyńskiego. Upór, z jakim Skarżyński chciał odkupić pozłacaną solniczkę, świadczył chyba wyraźnie, że jest bardzo rozkochany

w staroświecczyźnie. Możliwe więc było, że zetknął się kiedyś z człowiekiem, który oferował mu cenne przedmioty, lecz jednocześnie starał się pozostać w ukryciu, bez twarzy i nazwiska.

W autobusie było duszno. Henryk siedział z przodu, ale po nasłonecznionej stronie. Blask raził w oczy i wkrótce znowu rozbolała go głowa. Spróbował zasnąć i udało mu się to. Obudził się już w Brzezinach.

Kioskarz z rynku od razu wskazał mu dom, gdzie mieszkał Skarżyński. W małym miasteczku nietrudno trafić do człowieka, który ma zupełnie łysą głowę, sumiaste wąsy i samochód.

Skarżyński zajmował małe posklepowe pomieszczenie na parterze dwupiętrowego domu w rynku. Nad drzwiami do mieszkania widniał zamazany napis:

L. SKARŻYŃSKI-KONFEKCJA.

Bardzo się zdziwił, gdy zobaczył Henryka stojącego przed progiem. Natychmiast jednak gościnnie zaprosił go do wnętrza mieszkania.

— Otworzyłem sklep zaraz po wojnie — wyjaśnił, zauważywszy, że Henryk rozgląda się po mieszkaniu — a zlikwidowałem go, jak tylko zaczęto cisnąć domiarami. Teraz mam spokój. Żyję z oszczędności, które udało mi się poczynić.

Oszczędności nie musiały być chyba zbyt duże, bo mieszkanie Skarżyńskiego wypełniały stare meble, składające się z dwóch kompletów zniszczonych foteli i kanapy. Pod tylną ścianą stała ogromna szafa, obok drewniane szerokie łóżko, aż po poręcze zasłane pościelą i pokryte pluszową czerwoną narzutą. Na niewielkiej kuchence znajdowały się garnki i talerze. Obok szafy zauważył Henryk na podłodze elegancką skórzaną walizkę zapiętą na paski, na ścianie przy zlewie wisiały ręcznie haftowane makatki z napisem: „Zdrowa woda daje zdrowy humor".

— Pozwoliłem sobie odwiedzić pana — wyjaśnił Henryk — aby obejrzeć pozłacaną solniczkę, którą nabył pan od Gniewkowskiego.

Skarżyński pogładził palcami swoje ogromne wąsiska.

— Dziś rano była u mnie milicja — powiedział. — Również zażądali pokazania solniczki. Czy ja zrobiłem coś złego kupując ją od Gniewkowskiego? Przecież to była zupełnie legalna transakcja. Dałem trzy i pół tysiąca złotych.

— A oprócz milicji czy był u pana ktoś jeszcze? Czy ktoś prosił o pokazanie solniczki? — spytał Henryk.

— Dzisiaj?

— Nie. Na przykład 6 czerwca...

Skarżyński poczerwieniał. Miał chyba skłonności apoplektyczne. Pogładził dłonią swoją łysą czaszkę.

— Wiem, o kogo pan pyta. O reportera Kobylińskiego, który został zabity. Czytałem o tym w gazecie i wiedziałem, że prędzej czy później w tej sprawie zjawi się u mnie milicja. Przyszli dziś rano i spisali moje zeznania. Owszem, 6 czerwca po południu był u mnie pan Kobyliński i prosił, abym mu pokazał solniczkę. Obejrzał, spytał, czy nie wiem, od kogo nabył ją Rykiert, a ponieważ nie umiałem udzielić mu wyjaśnień, przeprosił mnie grzecznie i pożegnał. Wydawało mi się, że bardzo się dokądś śpieszył. Wyjrzałem za nim, zauważyłem, że kierował się prościutko do stacji autobusowej. Dokąd pojechał, tego oczywiście nie wiem. Słyszałem jednak, że widziano, jak wsiadał do autobusu. Zapamiętała go kioskarka na stacji autobusowej, po raz pierwszy w dziejach naszego miasta ktoś nabył u niej miesięcznik „Dialog". Tak zeznała przed milicją; pochwaliła mi się tym, gdy dziś w południe kupowałem u niej papierosy.

Poprosił Henryka, aby usiadł w fotelu.

— Mój Boże — westchnął — czy milicja odbierze mi solniczkę? Dałem Gniewkowskiemu trzy i pół tysiąca. Być może, jest trochę więcej warta. On jednak kupił ją od Rykierta tylko za trzy tysiące, więc nie miałem powodu, żeby przepłacać.

Henryk wzruszył ramionami.

— Nic mnie nie obchodzi, co pan zeznawał milicji. To pańska sprawa. Ale ze mną proszę być szczerym. Ta solniczka jest warta dziesięć razy więcej, niż pan za nią zapłacił. Dla znawców i zbieraczy, być może, warta jest jeszcze

więcej. Przecież pan ją chciał odkupić nie dlatego, że posiada pan pucharek o podobnym kształcie. Ja w ogóle nie wierzę w istnienie tego pucharka.

— Pan mnie obraża! — Skarżyński szarpnął palcami lewy wąs, ale to nie zrobiło na Henryku żadnego wrażenia. Ciągnął dalej tym samym nieustępliwym tonem:

— Nie jest moim zamiarem obrażać pana. Po prostu chciałbym usłyszeć odpowiedź na pytanie: skąd pan wiedział, że pozłacana solniczka najprawdopodobniej jest dziełem Benvenuto Celliniego? Jeśli nie odpowie mi pan, postaram się, aby o to samo zapytała pana milicja.

— Przeczytałem w gazecie fragment pamiętnika doktora Krzyżanowskiego. Tam była mowa o solniczce z Ledą i łabędziem, która prawdopodobnie została wykonana w pracowni Celliniego. A ponieważ akurat kilka dni wcześniej identyczną solniczkę widziałem u Rykierta, postanowiłem kupić ją lub odkupić od następnego nabywcy. Rykiert chciał za nią trzy tysiące. Może warta jest znacznie więcej.

— Czytał pan pamiętnik, a więc zna pan także pochodzenie pozłacanej solniczki...

Obruszył się.

— No to co? Przedmiot jest tylko przedmiotem, nie odpowiada za to, że znajdował się w rękach morderców. Przedmiot można oczyścić, jeśli był w brudnych rękach. Prawdziwy właściciel tej solniczki na pewno już od dawna nie żyje, ale przecież ani ja, ani pan nie ponosimy za to winy. Czy wobec tego należy solniczkę wrzucić do jeziora, przetopić na złom tylko dlatego, że była własnością człowieka, którego hitlerowcy obrabowali i zabili? Tym, że nie kupię tego przedmiotu, nie wskrzeszę zabitych.

Henryk czuł się bezradny wobec takiej logiki, ale obudziło się w nim wielkie pragnienie dokuczenia Skarżyńskiemu, napędzenia mu strachu.

— Nie wiem, czy pan się orientuje — zaczął — że ów zbrodniarz hitlerowski żyje i sprzedaje zrabowane przedmioty?

— Nonsens! To nieprawdopodobne!

— A jednak właśnie tak się przedstawia ta sprawa — stwierdził Henryk z satysfakcją. Aby jeszcze bardziej pognębić Skarżyńskiego, skłamał:

— Brakuje mi, proszę pana, jeszcze tylko pewnej drobnej informacji i wskażę mordercę. Znam już człowieka, który chce wymienić nazwisko faceta sprzedającego przedmioty zrabowane podczas likwidacji getta łódzkiego. Zbrodniarz zasiądzie na ławie oskarżonych, a pańska pozłacana solniczka stanie się jednym z dowodów rzeczowych. Znawcy określą wówczas jej prawdziwą wartość. Państwo zapewne zwróci panu owe trzy i pół tysiąca złotych, solniczka jednak znajdzie się w państwowym skarbcu.

— To będzie rabunek! — krzyknął Skarżyński.

— Chyba, że...

— ... że? — podchwycił gorąco.

— Że odegra pan pozytywną rolę w schwytaniu zbrodniarza. Może wówczas władze państwowe wezmą pod uwagę udział pana w zdemaskowaniu mordercy. Złota solniczka, choć znajdzie się w sądzie jako dowód rzeczowy, wróci wtedy, być może, w pańskie ręce.

Odpowiedział sztywno, patrząc Henrykowi w oczy:

— Czego pan żąda ode mnie?

Henryk położył laseczkę na kolanach, zapalił papierosa.

— Interesuje się pan staroświecczyzną, zna pan wielu zbieraczy i sprzedawców antyków. Czy nie wiadomo panu o człowieku, który sprzedaje cenne przedmioty tylko przez pośredników takich jak Rykiert lub Butyłło?

Skarżyński znowu pogładził swoją łysą czaszkę.

— Wiem, o co panu chodzi — powiedział w zamyśleniu. — Ale to wielka odpowiedzialność wskazać kogoś takiego.

— Więc jednak zna pan tego człowieka? — zawołał Henryk.

— Wskazać go, to tym samym oskarżyć. A może niesłusznie? Przecież są bardzo różne przyczyny, które właścicielowi cennych przedmiotów uniemożliwiają bezpośrednią ich sprzedaż?...

— Jeśli jest niewinny, nikt mu nie zrobi żadnej krzywdy.

— O, nie wiadomo — pokręcił głową. — Może sprzedaje cenne rzeczy przez pośrednika, a jednocześnie nie jest zbrodniarzem? Wskazanie go milicji przysporzy mu tylko wielkich kłopotów.

— Mówi pan jak pani Butyłło. Ukrywała informacje o takim właśnie facecie i może dlatego właśnie ją zamordowano.

Jeszcze raz pokręcił głową. Na łysej czaszce perliły mu się drobniutkie kropelki potu.

— Nie wiem, kogo ukrywała pani Butyłło. Lecz przecież może być i tak, że jakiś arystokrata, facet, któremu udało się coś niecoś ocalić z majątku podlegającego rekwizycji państwa, teraz pozbywa się resztek swej fortuny. Lęka się jednak, że gdy to wyjdzie na jaw, napyta sobie biedy, i dlatego ucieka się do pośredników.

— Głupstwa — machnął ręką Henryk. — Przeróżne hrabiny pozbywają się resztek swoich fortun i nie mają z tego tytułu żadnych kłopotów.

— Ba, ale może w tym wypadku sytuacja jest specyficzna? Może to nie arystokrata, ale jego lokaj? Może zaraz po wojnie udało mu się przemycić za granicę wiele cennych dzieł sztuki, ale w pewnej chwili milicja wpadła na jego trop i facet ukrył pozostałą część skarbów, które się nazywa skarbami narodowymi. Arystokrata bombarduje lokaja listami, że potrzebuje pieniędzy, a ponieważ tych przedmiotów wywieźć nie sposób, więc lokaj pozbywa się ich w kraju, a przemyca tylko pieniądze?

— Mnie chodzi o człowieka, który sprzedaje przez pośredników przedmioty pochodzące z getta łódzkiego.

Wzruszył ramionami.

— Przecież to trudno stwierdzić, jakie jest pochodzenie każdego konkretnego przedmiotu. Może on sprzedaje rodzinne pamiątki swego pana, a może przedmioty z getta?

— Więc tym bardziej niech pan powie — rzekł Henryk. I dodał: — Oświadczam panu, że wiadomości otrzymanych od pana nie przekażę od razu milicji. Postaram się tę sprawę sam zbadać i dopiero potem uczynię tak, jak będzie mi nakazywać sumienie.

Jeszcze długą chwilę Skarżyński namyślał się, rozważał w sobie, czy udzielić informacji.

— Proszę pana — powiedział w końcu — być może, postępuję bardzo niewłaściwie. Wskażę jednak kogoś, kto niekiedy pozbywa się dość cennych

starych przedmiotów. Czyni to tylko przy pomocy pośredników, kiedyś nawet i mnie poprosił o sprzedaż, obiecując pewną gratyfikację. Uczyniłem to zresztą, bo któż nie chce zarobić bez zbyt wielkiego wysiłku. Po prostu zawiozłem ów przedmiot do warszawskiej Desy i oddałem w komis, a gdy znalazł się nabywca, zainkasowałem pieniądze, zwróciłem część właścicielowi, a resztę zatrzymałem dla siebie, zgodnie z naszą umową.

— Gdzie mieszka ten facet? Jak się nazywa?

Skarżyński spojrzał na zegarek.

— Jest teraz akurat godzina czternasta i trzydzieści minut. O piętnastej odchodzi autobus do Rawy Mazowieckiej. Musi pan dojechać autobusem aż do toru kolejowego łączącego Koluszki ze Skierniewicami i wysiąść na przystanku tuż koło wielkiego nowego magazynu zbożowego.

— Wiem, gdzie to jest.

— Potem należy przejść pieszo aż do rogowskiego lasu i tam skręcić w lewo. W lesie napotka pan zrujnowane gospodarstwo. Będzie to znak, że idzie pan we właściwym kierunku. Dalej już sama droga zaprowadzi pana aż na skraj lasu, gdzie jest mała wioska. Nazywa się Szeroka Droga. W wiosce zobaczy pan ładny murowany domek leśniczego. Otóż w sąsiedztwie leśniczego ma gospodarstwo człowiek, o którym mówiłem. Nie wiem, jak się nazywa, ale przecież dowie się pan tego już na miejscu. Ów człowiek jest niskim, czterdziestoletnim mężczyzną, brak mu z przodu dwóch zębów. Żałuję, że nie mogę pana odwieźć swoim samochodem.

— Sprzedał go pan? — zainteresował się Henryk.

— Jeszcze nie. Od kilku dni znajduje się w naprawie u nas w Brzezinach. Miał być gotowy już dzisiaj, ale nasi mechanicy nie należą do ludzi, którzy cenią daną obietnicę.

— Pojadę autobusem — zdecydował Henryk.

— Ja jednak zajrzę do warsztatu i jeśli okaże się, że dotrzymali słowa, wówczas postaram się pana dopędzić.

Dotknął ręką laseczki Henryka.

— Bardzo ładna. Na pewno oglądają się za panem na ulicy. Młody człowiek ze staroświecką laseczką.

Henryk uśmiechnął się.

— Ta laseczka ma tajemnicę — rzekł.

Jeszcze raz rozejrzał się po mieszkaniu Skarżyńskiego.

— Pan jest kawalerem? A może wdowcem?

— Mieszkałem tu z kobietą. Odeszła ode mnie.

Henryk wyszedł na ulicę, minął ryneczek i skręcił w boczną uliczkę prowadzącą do stacji PKS. Tu natknął się na Rosannę. Z gniewu aż mu w oczach pociemniało.

— Śledzisz mnie? Śledzisz?

— Byłam ciekawa, czy przyjąłeś zaproszenie Julii. Przyznaj się, Julia tu przyjedzie po ciebie?

— Głupia jesteś, Rosanno. Gdybym chciał przyjąć zaproszenie Julii, stałoby się to tam, przed redakcją.

— Więc po co tu przyjechałeś? Dlaczego nie chciałeś spędzić ze mną całego dnia?

— Szukam mordercy. Czy nie rozumiesz, że szukam mordercy?

— W Brzezinach? — powątpiewała.

Oburzył się:

— Natychmiast wsiadaj w autobus i wracaj do Łodzi.

— Więc jednak Julia ma tutaj przyjechać?

Odwrócił się od Rosanny i pomaszerował w stronę stacji autobusowej.

Dogoniła go jednak i wsunęła mu rękę pod ramię.

— Henryku, jeśli nie umówiłeś się z Julią, to dlaczego znowu chcesz się mnie pozbyć? Skoro szukasz mordercy, to ja mogę ci w tym pomóc.

Zatrzymał się. Postanowił być szczery, choć ta szczerość miała być dla Rosanny bardzo przykrą.

— Zbliżamy się do kulminacyjnego punktu w historii potrójnego, a może nawet poczwórnego morderstwa. Zabójstwo Kobylińskiego przekonało mnie, że morderca jest gotów na wszystko, nie cofnie się przed następną zbrodnią. Śmierć Kobylińskiego nakazuje ostrożność. Jest przecież coś podejrzanego w fakcie, że giną ludzie, z którymi wchodzę w kontakt.

— Lękasz się, że mnie zabiją? — spytała cicho.

— Morderca zdaje się wiedzieć o każdym mym kroku, o każdym mym posunięciu. Jak by obok mnie był ktoś, kto go nieustannie informuje.

— Rozumiem... — zacisnęła usta.

— Wiesz dobrze, że od pewnego czasu nie wierzę już żadnemu twemu słowu. Nie wiem, kim jesteś, i nie wiem, czym jesteś. Wmawiasz mi, że nie miałaś pistoletu w torebce, choć ja ten pistolet dokładnie widziałem. Mam więc prawo ci nie ufać i dlatego nie chcę cię informować o sprawach, które udało mi się poznać. Muszę być ostrożny, bo nie wiem, jak wygląda twarz mordercy. Nie wiem, kiedy uderzy i gdzie się na mnie czai. Lecz jednego jestem pewien: on teraz chce uderzyć we mnie.

— Ty idioto! — krzyknęła. — Ty myślisz... myślisz, że ja?... że ja zabiłam Rykierta, Butyłłów, Kobylińskiego!?

— Wracaj do Łodzi — powiedział.

— Nie! Właśnie, że nie wrócę! — tupnęła nogą. — Pojadę za tobą. Jak cień! Nie odstąpię cię ani na krok. Będę to czyniła niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie. Rozumiesz?

Spojrzał na zegarek. Jeszcze tylko dziesięć minut brakowało do odjazdu autobusu.

13 czerwca, po południu

Myślał, że uda mu się niepostrzeżenie wyskoczyć na przystanku za torem kolejowym, bo w autobusie było dość tłoczno i baby z tobołkami zasłaniały go przed wzrokiem Rosanny. Rzeczywiście wyskoczył niepostrzeżony. Ale Rosanna okazała się na tyle bezczelną, że zatrzymała autobus już w biegu i wysiadła o kilkanaście kroków od Henryka.

Znaleźli się sami na pustej szosie. Po lewej stronie stał potężny gmach magazynu zbożowego, po prawej rozciągały się pola. Asfaltowa szosa biegła w stronę odległego o kilometr lasu.

Było pochmurne popołudnie. Henryk ruszył przed siebie wolnym krokiem. Minęła mu złość do dziewczyny. Wiedział, że wszystko, co jej naplótł w Brzezinach, było wielką bzdurą. Nie uważał jednak za stosowne wycofać się, bo przecież irytujące były te ciągłe kłamstwa Rosanny.

Szedł pogwizdując i wymachując laseczką. Ani razu nie obejrzał się. Słyszał tylko za sobą stukot jej bucików. „A swoją drogą — rozmyślał — nie jestem chyba spostrzegawczy, skoro nie zauważyłem, że Rosanna przyjechała za mną aż do Brzezin".

Zbliżył się do skraju lasu. Obok przemknęło auto ciężarowe, potem przejechało kilka chłopskich furmanek. Las był wysoki, sosnowy. „Jeśli nawet nie znajdę mordercy, to przejdę się po świeżym powietrzu" — pocieszał się.

Nagle usłyszał klakson samochodu. Doganiał go Skarżyński w ciemnozielonej syrenie.

„To już dzisiaj druga ciemnozielona syrena, którą spotykam na swej drodze" — zrobił spostrzeżenie.

Skarżyński zatrzymał auto na skraju szosy. Otworzył drzwiczki.

— Dotrzymali słowa — odezwał się wesoło. — Będę mógł pana podrzucić do Szerokiej Drogi i odwieźć z powrotem do Brzezin.

Henryk usadowił się w aucie obok Skarżyńskiego. Chciał zatrzasnąć drzwiczki, ale Rosanna chwyciła za klamkę.

— Beze mnie nie pojedziesz, Henryku — rzekła stanowczo.

Skarżyński roześmiał się głośno.

— To pan w towarzystwie kobiecym? Czemu ta pani szła z tyłu?

— Pokłóciliśmy się — wyjaśnił Henryk.

Wysiadł z auta. Poczekał, aż Rosanna umieściła się na tylnym siedzeniu.

Teraz Skarżyński z wielką gracją ucałował rękę dziewczyny.

— Nasza podróż zyska dużo więcej uroku — oświadczył z galanterią.

— Nie dla wszystkich — zauważyła Rosanna.

— Nie dla wszystkich — powtórzył Henryk.

Pojechali. W lesie skręcili w lewo na błotnistą drogę. Odtąd Skarżyński prowadził wóz wolniuteńko, bo kałuże błota mogły okazać się głębokie.

— Czy pani także bierze udział w akcji tropienia mordercy? — zagadnął Rosannę.

— Nie — odrzekła. — Nie posiadam zdolności detektywistycznych.

— Masz za to wiele innych ciekawych cech — wtrącił Henryk. — Umiesz śledzić, maskować się, udawać, kluczyć, mistyfikować.

— Czyżby znowu zanosiło się na kłótnię? — spytał Skarżyński.

Wyminął wielkie bajoro na środku leśnej drogi i powiedział do Henryka:

— Dlaczego właśnie pan, redaktorze, zajął się śledzeniem mordercy? Przecież to sprawa milicji. Instytucja detektywa prywatnego byłaby chyba dość śmieszna w naszym kraju.

— Nie szukam mordercy — odrzekł. — Nigdy nie zamierzałem zastępować milicji. Po prostu pragnę poznać kolejnych właścicieli mojej laseczki. Chcę napisać jej historię. To nie moja wina, że laseczka brała udział w morderstwach.

— Aż taaak? — zdziwił się Skarżyński. — Myślę, że dowiadując się o wspomnianego przeze mnie faceta w Szerokiej Drodze, zachowa pan wielką ostrożność. Na wszelki wypadek — zastrzegał się. — Bo osobiście nie bardzo wierzę, aby to był ów hitlerowiec.

— O jakim hitlerowcu mówicie? — wtrąciła Rosanna.

— Ach, to pani nic nie wie? — znowu zdziwił się Skarżyński.

— To nie są historie dla kobiet — wyjaśnił Henryk.

Znów minęli wielkie bajoro na drodze. Skarżyński powiedział:

— Czy milicja wykryła już, dlaczego zabito reportera Kobylińskiego?

— To było dla niej jasne od początku. Kobyliński trafił na ślad mordercy i ten go usunął. Wraz z Kobylińskim morderca spróbował zatrzeć jedyny ślad, po którym kroczyła milicja, utopił swój samochód. Kto wie — rozważał głośno Henryk — czy pan, panie Skarżyński, nie był ostatnim człowiekiem, z jakim kontaktował się Kobyliński, zanim trafił na mordercę. A może pan skierował go do mordercy?

— Ja??

— Nie chciałem powiedzieć nic złego. Chodzi mi o to, że w rozmowie z Kobylińskim mógł pan rzec coś takiego, co kazało mu udać się do kogoś, kto go potem zabił.

— Podobnie pytała mnie milicja, lecz moja rozmowa z Kobylińskim tyczyła tylko pozłacanej solniczki.

— Nie wspomniał pan ani słowem o człowieku z Szerokiej Drogi?

— Panu także bym nie wspomniał, gdyby mnie pan nie zaszantażował, proszę się nie gniewać o to wyrażenie. Szantażował mnie pan, że mi odbiorą solniczkę.

Przejechali mimo ruin jakiegoś gospodarstwa. Na polance zarośniętej młodym lasem sosnowym sterczał w górę tylko osmalony kikut komina i dwie ściany z pustymi oknami. Teraz nastąpił łagodny zakręt i drogę zagrodziła im ogromna kałuża z gęstą błotnistą mazią. Z obydwu stron kałuży rosły drzewa, wyminąć błoto było nie sposób. Skarżyński rozpędził wóz i wjechał w sam środek kałuży, bryzgając brudną wodą. Wozem podrzuciło kilka razy, motor zawył, zaskowyczał, jeszcze raz szarpnął, wyrwał wóz z kałuży. Ale na brzegu zamarł i ucichł.

— Wysiadka — burknął Skarżyński. Wylazł z samochodu i podniósł maskę. Buchnął z niej kłąb pary, woda zagotowała się w chłodnicy.

— Oto *złote ręce* naszych mechaników — powiedział pochylając się nad motorem. — Wziąłem wóz prosto z remontu i stanął po dwudziestu kilometrach jazdy.

Jeszcze pogmerał w motorze, potem wyprostował się.

— Przewód elektryczny się odlutował.

Henryk wyszedł z samochodu, a za nim wygramoliła się Rosanna.

— To byłoby głupstwo, gdybym miał ze sobą kolbę i maszynkę spirytusową — oświadczył Skarżyński. — Ale wóz był w remoncie, skrzynkę z narzędziami pozostawiłem w domu. Z warsztatu natychmiast ruszyłem za panem. Ot i kłopot.

Rosanna zajrzała pod maskę:

— Rzeczywiście, odlutowało się — potwierdziła.

Skarżyński zdjął marynarkę i powiesił ją na klamce u drzwi.

— Spróbuję jakoś zaczepić druty.

— Nic pan nie zrobi. Trzeba przylutować — powtórzyła dziewczyna.

Skarżyński próbował zapuścić motor. Wylazł z wozu z miną bardzo markotną:

— Resor również nawalił. Cholerna kałuża. Nie ma innej rady, tylko ktoś z państwa musi pójść do Szerokiej Drogi. To jeszcze najwyżej kilometr. Na początku wsi mieszka kowal. Może on zechce pożyczyć kolbę i coś do jej nagrzania? A ja tymczasem podniosę lewarkiem samochód i postaram się naprawić resor.

Otworzył wieko skrzyni w tyle wozu i wyjął lewarek.

— Idę do wioski — zdecydował Henryk.

— Idziemy razem — wyzywająco rzuciła Rosanna.

Uszli najwyżej kilka kroków, gdy powstrzymało ich wołanie Skarżyńskiego.

— Redaktorze, musi mi pan pomóc, bo wóz spadnie mi na plecy, gdy wlezę pod karoserię.

— Ruszaj sama, Rosanno — Henryk rozkazał dziewczynie i zawrócił do wozu.

Kiwnęła głową i poszła przed siebie leśną drogą.

— A uważaj, Rosanno — zawołał Henryk. — Kto wie, czy nie napotkasz mordercy?

Odwróciła do niego twarz, uśmiechnęła się, kiwnęła ręką. Po chwili zasłoniły ją pnie starych sosen.

Skarżyński podłożył lewarek i powoli unosił wóz do góry. Raptem samochód zachwiał się, koła pojechały po błocie i znowu wszystkimi czterema

kołami wóz ciężko stanął na ziemi.

— Trzeba wyszukać kilka kamieni i podstawić pod koła — rzekł Skarżyński.

Henryk zapalił papierosa. Skarżyński przysiadł na błotniku posapując i ocierając pot z czoła.

— Niepotrzebnie wdał się pan w tę historię — powiedział biorąc do ręki laseczkę, która stała oparta o błotnik.

— To przez nią to wszystko — zgodził się Henryk.

— Mordercy i tak pan pewnie nie wykryje, a ile kłopotów! Może więc lepiej będzie, jeśli nie pojedziemy do Szerokiej Drogi? Niech pan da spokój tej sprawie.

— Teraz? Teraz mam zrezygnować, gdy tylko może jeden krok dzieli mnie od mordercy?

— On jest chyba bardzo niebezpieczny. Zapewne zna każde pańskie posunięcie. Pan zaś nic o nim nie wie. Zresztą — machnął ręką — może człowiek z Szerokiej Drogi nie ma nic wspólnego z mordercą?

— Jeśli okaże się niewinnym — powiedział Henryk — będę nadal pytał wszystkich zbieraczy staroświecczyzny. Wreszcie natrafię na ślad właściwego faceta.

— No dobra — westchnął Skarżyński. — Czas skończyć to wszystko. Niech pan wejdzie do auta i zasiądzie za kierownicą. Proszę nacisnąć gaz, a ja zajrzę do motoru.

Henryk znalazł się w aucie. Przycisnął nogą pedał gazu. Potem jeszcze raz go nacisnął. Nagle uniósł głowę i w na wpół otwartych drzwiach wozu ujrzał Skarżyńskiego z obnażonym bagnetem laseczki, który prawie dotykał piersi Henryka.

W ułamku sekundy Henryk pojął, kim jest Skarżyński. Zrozumiał, że grozi mu śmierć. I nie ma przed nią ratunku.

Siedział za kierownicą jakby uwięziony. Czubek bagnetu dotykał jego piersi. Nie mogło być mowy o wyskoczeniu z auta drzwiczkami po drugiej stronie. Za kierownicą siedział Henryk w niewygodnej, skurczonej pozycji.

Twarz Skarżyńskiego była pokryta potem, łysa głowa lśniła jak wypolerowana.

Raptem w krzakach za plecami Skarżyńskiego rozległ się cichy szelest. Jakby wyczuwając niebezpieczeństwo Skarżyński lekko cofnął dłoń do tyłu, szykując się do zadania ciosu. Henryk bezwiednie zasłonił piersi łokciami.

Padł strzał. Jeden! Drugi! Posypało się szkło z rozbitej szyby. Skarżyński krzyknął coś i podniósł ręce do góry, porzucając bagnet laseczki. Henryk zobaczył, że na drogę wybiegła Rosanna. W ręku miała pistolet wymierzony w Skarżyńskiego.

— Czy pani zwariowała? Niech pani schowa ten pistolet! Ratunkuuu! — darł się Skarżyński. — Ratunku, chcą mnie zamordować...

I krzyczał tak, dopóki Henryk nie położył mu dłoni na ramieniu.

— Spokojnie, Schuller — powiedział. — To przecież pan, Schuller, chciał mnie zamordować. Stać spokojnie i zamknąć gębę, a nikt z nas nie zrobi panu najmniejszej krzywdy. Po prostu oddamy pana w ręce milicji.

— Pan też jest wariat! Jaki Schuller? Co za Schuller? Nikogo nie chciałem mordować. Ludzie, czego ode mnie chcecie!?

Henryk nie słuchał jego wymysłów. Podniósł z ziemi bagnet laseczki, kazał Skarżyńskiemu usiąść na trawie obok drogi. Rosanna trzymając ciągle pistolet gotowy do strzału stanęła o pięć kroków od Skarżyńskiego. Zbrodniarz nie mógł im uciec.

— Możemy teraz spokojnie pogadać, Schuller — odezwał się Henryk zapalając papierosa. — Zacznijmy od tego, że chciał mnie pan zabić moją własną laseczką.

— Nieprawda. Nikogo nie chciałem zabić — po skroni Skarżyńskiego spłynęła duża kropla potu. — Po prostu przez ciekawość wyrwałem bagnet z laseczki. Nawet nie myślałem, żeby pana nastraszyć. Uchyliłem drzwiczki wozu, bo wydawało mi się, że pan przyciska niewłaściwy pedał, a zapomniałem, że trzymam w ręku obnażony bagnet... Ja rozumiem, że pan mógł pomyśleć coś złego...

— Dobra, dobra, Schuller. Znamy się na takich zabawach — ironicznie roześmiał się Henryk. — Gdyby nie Rosanna, zapewne skończyłbym

podobnie jak Kobyliński. Zabił go pan tutaj, w tym samym miejscu, czy gdzie indziej?

— Pan gada jakieś bzdury! To nonsens, proszę pana! Nie jestem mordercą.

Tu wtrąciła się Rosanna:

— Ja także podejrzewałam, że teraz przyszła kolej na Henryka. Postanowiłam nie odstępować go ani na krok. Pan kazał nam iść do kowala w Szerokiej Drodze, lecz jednocześnie stworzył pan sytuację, że jedno z nas musiało pozostać z panem. Bo dwoje na raz oczywiście zamordować pan nie mógł.

— Bzdura! Bzdura! — powtarzał Skarżyński.

— Udałam, że odchodzę. Od zakrętu wróciłam kryjąc się w lesie. Patrzyłam z ukrycia, co będzie pan robił. Zobaczyłam, że wyrwał pan bagnet z laski i podszedł do Henryka. Wówczas strzeliłam na postrach...

Skarżyński otarł pot z czoła. Próbował się uśmiechnąć.

— Proszę państwa — rzekł z uśmiechem. — Wydaje mi się, że już wszystko rozumiem. I naprawdę rozumiem do tego stopnia, że przestaję mieć do was pretensje. Po prostu obydwoje, i pani, i pan, lękacie się, że ktoś z was padnie ofiarą mordercy. Jesteście przewrażliwieni, macie nerwy napięte do najwyższego stopnia. Zostałem sam z panem redaktorem, nagle wyciągnąłem bagnet z laski i podszedłem z nim do pana. Obydwoje, i pani, i pan, pojęliście to jako próbę morderstwa, bo przecież nieustannie spodziewacie się ataku mordercy. A ja? A ja?... — i zaczął się śmiać.

Potem powiedział:

— Proponuję, żebyśmy naprawili samochód i wspólnie wrócili do Brzezin. Zgoda?

Henryk wzruszył ramionami.

— Zanim pojedziemy do Brzezin, panie Schuller... — zaczął.

— Nazywam się Skarżyński.

— Panie Schuller — powtórzył Henryk.

— Skarżyński — rozzłościł się tamten.

— Więc dobra, niech będzie Skarżyński. I niech pan, panie Skarżyński, posłucha pewnej interesującej historyjki. Kryminalnej historyjki.

— Jeśli nie zajmie dużo czasu...

— Podczas ostatniej wojny wsławił się okrucieństwami dokonywanymi w łódzkim getcie niejaki Schuller — łódzki Niemiec, SS-owiec. Ów Schuller nie tylko zabijał, ale także rabował żydowskie mienie. Rabował na rzecz III Rzeszy i na użytek własny. Zrabowanego mienia nie zdołał jednak wywieźć do Rzeszy, wejście Armii Czerwonej zastało go na terenie Polski. Na przykład w Brzezinach. Myślę, że było to właśnie w Brzezinach, gdzie już dawniej na wszelki wypadek zapewnił sobie bezpieczne schronienie. Zmieniwszy więc nieco powierzchowność Schuller przemienił się w Skarżyńskiego i założył niewielki sklep z konfekcją. Z czasem, gdy zaczęto go cisnąć domiarami, Schuller vel Skarżyński...

— Bzdura! Nonsens! Nie jestem Schullerem! — wściekał się Skarżyński.

— Z czasem, powiadam, gdy poczuł się zupełnie bezpiecznie, zlikwidował sklepik i uznał za stosowne pozbywać się skarbów, które narabował w łódzkim getcie. Oczywiście sam nie chciał ich sprzedawać, ponieważ ten i ów przedmiot mógł niespodziewanie znaleźć swego dawnego właściciela i osobę Schullera przypomnieć ludziom, którzy oglądali go podczas *pracy* w łódzkim getcie. Schuller znalazł więc pośredników: Butyłłę i Rykierta. To oni upłynniali rzeczy nagrabione przez Schullera, oczywiście nie podejrzewając ich pochodzenia. Co prawda, zdarzyło się, że Butyłło miał w Desie nieprzyjemności z powodu złotego talerza, który jako swoją własność rozpoznał doktór Krzyżanowski, ale Schuller zdołał w jakiś sposób oczyścić się przed Butyłłą z podejrzeń i handel kwitł dalej, z tą różnicą, że odtąd przedmioty zrabowane przez Schullera sprzedawał w Desie magister Rykiert.

— Pan jest szaleńcem — powiedział Skarżyński.

— Schuller jednak nie wiedział, że doktór Krzyżanowski napisał pamiętniki z czasów okupacji. Pewnego dnia fragment tego pamiętnika ukazał się w tygodniku łódzkim i trafił do rąk Schullera oraz Butyłły. Obydwaj dowiedzieli się z niego, że pozłacana solniczka i srebrny nóż, które sprzedali Rykiertowi jako niezbyt cenne przedmioty, są o wiele więcej warte, bowiem pozłacana solniczka została wykonana przez Celliniego, zaś nóż pochodzi z zastawy Katarzyny Medycejskiej. Traf zdarzył, że nieco wcześniej Schuller za

pośrednictwem Rykierta sprzedał Desie palisandrową laseczkę, z którą paradował po getcie, a laseczkę tę nabył pewien dziennikarz. Laseczka zainteresowała dziennikarza, postanowił poznać jej historię i w tym celu udał się do magistra Rykierta. Tego dnia odbywał się pogrzeb Rykierta, który zginął w wypadku samochodowym. W mieszkaniu zmarłego buszował właśnie pan Butyłło, poszukując srebrnego noża i pozłacanej solniczki, których oczywiście nie mógł znaleźć, ponieważ zostały sprzedane. W tym czasie na ulicy w samochodzie na Butyłłę czekał Schuller. Butyłło poprosił dziennikarza do wnętrza mieszkania, mniemając, że to on właśnie jest nabywcą pozłacanej solniczki lub srebrnego noża. Usłyszawszy jednak, że chodzi o palisandrową laseczkę, pozbył się dziennikarza, a potem opuścił mieszkanie i wrócił do samochodu Schullera. Tutaj zdał Schullerowi relacje z poszukiwań, a także wspomniał o dziennikarzu i laseczce. W ten sposób Schuller dowiedział się, że przez nieopatrzną sprzedaż laseczki może zostać zdemaskowany. Zbrodniarz poczuł się zagrożony, bo miał prawo przypuszczać, że i w innych fragmentach pamiętnika również znajdą się wzmianki o Schullerze, a także o laseczce, z którą paradował po getcie. Sprawa wydawała mu się tym bardziej niebezpieczna, że ów nowy posiadacz laseczki, dziennikarz Henryk, zapragnął poznać przeszłość nabytego przedmiotu i w tej sprawie przyszedł nagabywać Rykierta. Schuller słusznie obawiał się, że dziennikarz nie poprzestanie na pierwszej nieudanej próbie. Dlatego jeszcze tego samego dnia zadzwonił do dziennikarza i podając się za rekwizytora z filmu, zaproponował kupno laseczki. Dziennikarz odmówił i w rozmowie telefonicznej podkreślił, że historia laseczki bardzo go fascynuje. To po prostu przeraziło Schullera. Strach jeszcze się spotęgował, gdy nazajutrz wieczorem przyjechał do Schullera Butyłło i opowiedział mu, że i w jego mieszkaniu pod Ozorkowem zjawił się dziennikarz, żądając wyjaśnień w związku z laseczką. Wprawdzie Butyłło przywiózł Schullerowi radosną wieść, że odnalazł się notes Rykierta i będzie można dowiedzieć się, dokąd trafił nóż i solniczka. Butyłło jednak zażądał od Schullera wyjaśnień, dlaczego ma milczeć w sprawie laseczki i czemu tak dziwnie się dzieje, że przedmioty, które mu daje do sprzedania, okazują się bardzo podejrzanego pochodzenia. To oczywiście zadecydowało o dalszym losie

Butyłły. Schuller jakoś ułagodził Butyłłę, obiecał, że nazajutrz wszystko mu wyjaśni. Butyłło powrócił do domu, a Schuller pogonił za nim swoim autem. Pozostawił wóz w lesie, przyszedł niepostrzeżony do mieszkania Butyłły i powiedział, że chce mu zdradzić swoją tajemnicę. Zapalił papierosa, upuścił na dywan zapałkę, a gdy Butyłło schylił się po nią, zabił go nożem w plecy. Ten nieomylny cios i ten bagnet! Że też od razu nie domyśliliśmy się, jakiego typu zbrodniarza mamy przed sobą. Toż to właśnie w niemieckich szkołach spadochroniarzy uczono takiego sposobu cichego usuwania wojskowych podczas akcji dywersyjnych.

— Morderstwo Butyłłowej — ciągnął dalej Henryk — było oczywiście konsekwencją zabójstwa jej męża. Nie ulega wątpliwości, że Butyłłowa znała Schullera, że, być może, niekiedy jeździła z mężem do Brzezin. Jest prawdopodobne, że Butyłło zwierzył się żonie z kłopotów, na jakie naraża go sprzedaż przedmiotów, które otrzymywał od Schullera. Nazajutrz po śmierci męża, Butyłłowa najpierw odwiedziła dziennikarza, a później pojechała do Brzezin. Przypomniała sobie, że mąż jej kupił laskę właśnie od Schullera. Chciała zapytać o powody, dla których kazał mężowi nie udzielać żadnych informacji. Jest prawdopodobne, że w jakiś sposób wiązała śmierć męża z osobą Schullera, tym bardziej że dziennikarz niedwuznacznie sugerował jej związki mordercy z palisandrową laseczką. Schuller wytłumaczył się Butyłłowej, podobnie jak to próbował uczynić potem w rozmowie z dziennikarzem. Stworzył historyjkę o arystokracie skrzywdzonym przez władzę ludową, o lokaju, który ukrywa resztki skonfiskowanej fortuny i musi je sprzedawać, aby arystokracie dostarczać pieniędzy. Myślę, że ta bajeczka przemówiła do Butyłłowej, choć nie usunęła jej wszelkich wątpliwości. Schuller wiedział jednak, że prędzej czy później Butyłłowa może go narazić na poważne niebezpieczeństwo, pojechał więc pod Ozorków, ukrył samochód w lesie, pewny, że milicja nie spodziewa się następnego mordu. Tak też i było. Szukali mordercy kierując się starym wyświechtanym schematem. Znaleźli ślady kół samochodu, zrobili odlewy, wypytywali kobietę, która widziała samochód w lesie, obserwowali kochanka Butyłłowej i ustalili, że Butyłłowa była w teatrze tylko na pierwszym akcie. Zdawało się im, że są na tropie mordercy,

przyjmując założenie, że Butyłłowa i jej kochanek zechcieli pozbyć się Butyłły. Tymczasem słuszność leżała po stronie dziennikarza, który z maniackim uporem trzymał się laseczki Schullera vel Skarżyńskiego.

— To wszystko, co pan opowiada, jest wprost fascynujące — przerwał Henrykowi Skarżyński. — Proszę jednak uprzejmie nie łączyć mego nazwiska z osobą Schullera.

— Zastanawiające jest — ciągnął dalej Henryk nie zrażony wtrętem Skarżyńskiego — dlaczego Schuller zamiast zabić bezpośredniego sprawcę swoich kłopotów, wolał usunąć Butyłłę, Butyłłową, a potem Kobylińskiego. Otóż wydaje mi się, że powodem, dla którego dziennikarz Henryk żył w całkowitym bezpieczeństwie, był upór, z jakim wmawiał milicji, że przyczyną wszystkiego jest kupiona przez niego laseczka. Gdyby milicja przyjęła wersję o laseczce i zaczęła badać jej przeszłość, wówczas wyszłaby na jaw prawda o Schullerze, a tego on obawiał się najbardziej. Śmierć Henryka dałaby milicji dowód, że dziennikarz miał rację wmawiając im laseczkę jako motyw zbrodni. Bo dopóki porucznik Pakuła szukał tylko dwukrotnego, a później trzykrotnego mordercy, sprawa przedstawiała się oczywiście dość ryzykownie dla Schullera, ale jeszcze nie beznadziejnie. Mógł się uratować, ponieważ poza odbitkami kół wozu nie pozostawił żadnych śladów. Zupełnie inaczej wyglądałaby jego sytuacja, gdyby milicja dowiedziała się o Schullerze. Wówczas sprawa Skarżyńskiego zostałaby przesądzona, albowiem milicja poczęłaby badać przeszłość okupacyjną i przedwojenną wszystkich ludzi związanych z Butyłłami i Rykiertem. A nikt nie ucieknie przed przeszłością. Okazałoby się wówczas, że pan Skarżyński istnieje dopiero od 1945 roku, przed tym zaś nikt go nie znał, nikt o nim nie słyszał, albowiem egzystował jako Schuller, syn niemieckiego majstra w Łodzi. Reporter Kobyliński przeczytał pamiętnik dra Krzyżanowskiego i przyjechał do Skarżyńskiego, aby nie tylko obejrzeć solniczkę (wszak widział ją już u Gniewkowskiego), ale aby zapytać Skarżyńskiego o to samo co i ja — czy Skarżyński nie zna kogoś, kto sprzedaje stare cenne przedmioty, a nie chce ujawnić swego nazwiska. Zapewne Kobyliński wtajemniczył Skarżyńskiego w swoje domysły co do osoby Schullera. Wówczas Skarżyński napomknął coś o tajemniczym facecie

mieszkającym we wsi za lasem. Potem wszystko odbyło się tak samo jak przed chwilą. Morderca dogonił Kobylińskiego na szosie. Zabrał go do swego auta, wywiózł w las, zabił, ciało ukrył w ruinach. Przyjechał do ruin wieczorem, zwłoki wciągnął do samochodu i wywiózł pod Głowno do glinianki.

Henryk umilkł. Zmęczyło go opowiadanie. Zapalił papierosa i spoglądał w twarz Skarżyńskiego, spodziewając się zapewne, że dostrzeże na niej przerażenie. Lecz Skarżyński znowu się uśmiechał.

— Opowiedział mi pan historię niezwykle interesującą — powiedział i przez chwilę zdawało się Henrykowi, że w jego głosie słyszy nutę sympatii. — Była ona jednak dla mnie chwilami dość irytująca, ponieważ mylił pan nazwisko Schullera z nazwiskiem Skarżyński. Jestem przekonany, że historia o Schullerze jest prawdziwa, a także wydaje się, że motywacja potrójnego morderstwa ma uzasadnienie w pańskiej relacji. Tak, zapewne zabijał Schuller, SS-man ukrywający się pod zmienionym nazwiskiem. Nieopatrznie sprzedał laskę, z którą paradował po getcie i dziennikarz Henryk wpadł na jego trop. Radzę panu, redaktorze, szukać Schullera. Niestety, ja nim nie jestem. Nazywam się Skarżyński i nie obawiam się badania mojej przeszłości. Zawsze byłem Skarżyński, można powiedzieć, od urodzenia byłem Skarżyński. Od 1945 roku miałem sklep z konfekcją w Brzezinach, a wcześniej posiadałem niewielkie gospodarstwo, o, to właśnie, które minęliśmy w lesie. Zostały z niego ruiny, bo spaliło się pod koniec wojny. Kiepskim zresztą byłem rolnikiem. Ziemię więc sprzedałem, nabyłem w zamian sklepik w Brzezinach. Urodziłem się zaś we wsi Szeroka Droga, każdy tutejszy chłop pamięta mnie doskonale...

A właśnie usłyszeli turkot wozu. Drogą przez las nadjeżdżała furka chłopska wypełniona suchymi gałęziami. Gdy zbliżyła się do stojącego na drodze samochodu, Rosanna trochę cofnęła się za drzewo, aby chłop, który powoził, nie widział w jej ręku pistoletu wymierzonego w Skarżyńskiego.

Wóz z gałęziami powoli mijał Henryka i Skarżyńskiego siedzących na trawie. Zapewne wyglądali obydwaj na przyjaciół podczas wycieczki.

— Dzień dobry — chłop ukłonił się Skarżyńskiemu.

— Dzień dobry, Feliksiak — odpowiedział.

Henryk mrugnął na Rosannę, aby starannie pilnowała Skarżyńskiego, a sam podszedł do wozu.

— Przepraszam — odezwał się do chłopa. — Chciałbym was o coś zapytać.

Chłop zatrzymał konia.

— Pytać? Niech pan pyta — rzekł wolno.

— Ten pan — Henryk wskazał Skarżyńskiego — powiada, że jest tutejszy, z tych okolic. Że mieszkał tu jeszcze przed wojną. A mnie nie chce się w to wierzyć, bo przecież nie wygląda na człowieka ze wsi.

Chłop wzruszył ramionami.

— Miastowy on jest. Teraz jest miastowy. Bo dawniej to mieszkał na wsi. O tam, gospodarkę miał — wskazał batem las, w tę stronę, gdzie znajdowały się ruiny. — Ale urodził się na wsi, w Szerokiej Drodze. Przecież do szkoły razem żeśmy chodzili ze Skarżyńszczakiem. Tylko teraz miastowy się zrobił.

Skarżyński podniósł się z trawy i podszedł do wozu. Przywitał się z chłopem, ironicznie zerkając ku Rosannie. Dziewczyna schowała pistolet do torebki i również zbliżyła się do wozu.

— Samochód sobie kupiłeś — zauważył Feliksiak.

— Kupiłem. Ale mi wysiadł — roześmiał się Skarżyński. Był teraz w doskonałym humorze. Przez chwilę przekomarzał się z chłopem na temat swego *jaśniepaństwa*, potem podniósł maskę samochodu, jakoś uczepił odlutowany drucik.

Pożegnał chłopa i zaprosił Rosannę i Henryka do swego auta.

— Podwiozę was do Brzezin — zaofiarował się. — A w Brzezinach zapraszam was do siebie na mocną herbatę. Moi kochani detektywi — parsknął śmiechem.

Henryk usadowił się obok Skarżyńskiego. Kolebiąc się po wądołach pojechali w głąb lasu aż do niewielkiej polanki, gdzie można było zakręcić. W powrotnej drodze Skarżyński ciągle dowcipkował. Raptem spoważniał i obrócił głowę do Rosanny.

— A swoją drogą na jakiej zasadzie pani nosi pistolet? Kim pani jest, u licha?

— Ona pracuje w Domu Mody — powiedział Henryk.

— Taaak? — zdziwił się Skarżyński.

— A może jesteś studentką prawa? — ironicznie zapytał ją Henryk.

— Właśnie że studiuję prawo. Zaocznie studiuję — powiedziała Rosanna. — A co do mego pistoletu, zapewniam was, że mam na niego pozwolenie.

Zajechali przed mieszkanie Skarżyńskiego. Przyjęli zaproszenie na herbatę. Wysiedli z auta. Skarżyński otworzył drzwi mieszkania. Weszli do pokoju — najpierw Rosanna, za nią Henryk i uprzejmy gospodarz. Ktoś obcy zamknął za nimi drzwi. W pokoju było trzech umundurowanych milicjantów.

— Jest pan aresztowany, obywatelu Skarżyński — powiedział Pakuła podnosząc się z podniszczonego fotela.

Skarżyński chciał cofnąć się do tyłu, ale dwóch milicjantów chwyciło go pod ramiona.

— Panowie! O co znowu chodzi? — denerwował się aresztowany.

— On nie jest Schullerem! — krzyknął Henryk.

— Schullerem? — spytał Pakuła. — Nic nie wiem o żadnym Schullerze.

I kiwnął głową na milicjantów, aby wyprowadzili Skarżyńskiego.

— O co chodzi? O co jestem podejrzany? — wołał Skarżyński.

— Aresztujemy pana pod zarzutem dokonania trzech zabójstw. Zamordował pan małżeństwo Butyłłów i reportera Kobylińskiego.

— Usiłował również dokonać zabójstwa redaktora Henryka — uzupełniła Rosanna.

A wówczas Pakuła zwrócił się do Henryka i począł na niego krzyczeć, wymachując pięścią:

— A co ja mówiłem? Miał się pan nie ruszać z domu! Ale pan nas uważa za głupców. Za głupców, prawda? A tymczasem to pan wyszedł na głupca.

— Na zupełnego durnia — dodała Rosanna.

I miała rację.

14 czerwca

— Rosanno — powiedział Henryk widząc, że dziewczyna zaczyna gospodarować w jego kuchence i zamierza przygotować mu śniadanie. — Czy twoi przełożeni z MO nie za dużo od ciebie wymagają? Rozumiem, że w tamtym okresie kazali ci do mnie przychodzić, śledzić mnie. Ale teraz, gdy Skarżyński siedzi w areszcie, a ja jestem niewinny jak łza, czemu zmuszasz się do przygotowywania mi jedzenia?

— Odczep się — rzekła.

— Oczywiście zdaję sobie sprawę, że gdyby nie ty, nie byłoby już dziś reportera Henryka, podobnie jak nie stało reportera Kobylińskiego. To w pewnym sensie usprawiedliwia obłudę, z jaką się zawsze do mnie odnosiłaś. Rozumiem, że zadanie, jakie ci powierzono w związku z moją osobą, wymagało pewnego, że tak powiem... zbliżenia ze mną. Dzięki temu łatwiej ci bowiem było wyciągać ode mnie wszelkie informacje. Teraz jednak już cię nic do tego nie zmusza.

Odstawiła gwałtownie dzbanek z czarną kawą.

— Nie moja wina, że przez cały czas naszej znajomości miałeś w stosunku do mnie jakby zaćmienie inteligencji. Julia mówiła prawdę. Nie znasz zupełnie młodych kobiet i powinieneś być wobec nich bardziej przezorny. Pewnego wieczoru wracałeś ulicą koło Starego Cmentarza i zobaczyłeś, że jakiś chłopak szarpie dziewczynę. Miałeś ze sobą laseczkę i stanąłeś w obronie dziewczyny. Lecz czy naprawdę choć przez chwilę przypuszczałeś, że mogłam cię wziąć za Mackie Majchra, który paraduje z ukrytym w lasce bagnetem?

— Wydałaś mi się dość prymitywną osóbką...

— To ty byłeś prymitywny. Brałeś mnie za Czarną Mańkę, a tymczasem napotkałeś funkcjonariuszkę Sekcji do Walki z Nierządem. Polecono mi zainteresowanie się grupami młodzieży, które biwakowały na Starym Cmentarzu. Lolek chciał, żebym została jego dziewczyną, właśnie wtedy natknąłeś się na nas na ulicy. Nie bój się, dałabym sobie radę i bez ciebie. Ale skoro nagle zjawił się facet z bagnetem w lasce, musiałam z racji swych funkcji

poznać go nieco bliżej. Zresztą już nazajutrz wiedziałam, kim jesteś. Ale bardzo mnie bawiło, że bierzesz mnie za kogoś innego. Podobałeś mi się. No co — rzekła wyzywająco — pracowniczce obyczajówki nie ma prawa podobać się młody mężczyzna? Zapewne nie przyszłabym do ciebie tak od razu, jak to się stało owej nocy, gdy zabito Butyłłę. Ale na Starym Cmentarzu zaczęła się obława, a ja nie chciałam się dostać w ręce milicjantów i spędzać nocy w areszcie, co by się musiało stać, gdyby złapano mnie na cmentarzu razem z innymi dziewczętami. Przecież nie wolno mi się zdradzić, kim jestem. Zepsułoby mi to robotę na przyszłość. Wolałam więc uciec do ciebie. A skoro już się tu znalazłam... Ach, jaka byłam wściekła, gdy Pakuła dowiedział się od ciebie, że nocowałam tutaj. W Komendzie robił ironiczne uwagi na temat mojej moralności.

— Świnia — rzucił Henryk.

— Stary grubas — rzekła ze złością. — Powiedziałam mu, że nic mi nie wiadomo, jakobym ślubowała czystość. Odczepił się ode mnie.

— Musiałem mu powiedzieć prawdę — znowu zaczął się tłumaczyć. — Ty byłaś moim jedynym alibi.

— Nie mam do ciebie pretensji — uśmiechnęła się. — Twoja sprawa była bardzo poważna. Potem znowu zaplątałeś się w jeszcze gorszą historię. Pakuła bał się, że morderca spróbuje i ciebie usunąć z drogi. Zażądał w Komendzie, abym zwróciła na ciebie baczniejszą uwagę. To były moje nowe obowiązki służbowe. Ty jednak przestałeś mi ufać. Zrozumiałam to wczoraj, gdy pożegnałeś się ze mną przed redakcją i poszedłeś do siostry Rykierta, a potem na dworzec autobusowy. Pakuła kazał mi nie odstępować cię ani na krok. Pojechałam więc za tobą, cierpliwie czekałam, gdy siedziałeś u Skarżyńskiego. Mimo twych protestów wsiadłam za tobą do autobusu...

— I w ten sposób odnaleźliśmy mordercę — dokończył Henryk.

— Nie, Henryku — zaprzeczyła Rosanna. — To morderca ciebie odnalazł. Natomiast Pakuła rzeczywiście odkrył, kto jest mordercą. On by go schwytał, choćby wypadki potoczyły się zupełnie inaczej, niż to się stało, i tam w lesie zginąłbyś i ty, i ja.

— Jaka była hipoteza Pakuły?

— Oczywista, choć przyszła mu do głowy dość późno. Z początku Pakuła sądził, że mordercę zdradzi fakt, iż posiadał on ciemnozieloną syrenę. Później jednak doszedł do wniosku, że morderca pozbył się ciemnozielonej syreny, aby zasugerować milicji, że nie ma już samochodu. A uczynił to dlatego, ponieważ, rozmyślał Pakuła, morderca ma nadal ciemnozieloną syrenę. Znałam tę hipotezę Pakuły i dlatego, gdy Skarżyński stanął na szosie w ciemnozielonym aucie, od razu nabrałam podejrzeń!

— Ja zaś nie miałem żadnych podejrzeń. Zgodnie z tym, co mi mówił Pakuła, przypuszczałem, że morderca pozbył się ciemnozielonej syreny. Skarżyński miał ciemnozieloną strenę, a więc nie mógł być podejrzany. Nigdy zresztą nie kojarzyłem sobie tajemniczego Iksa z notesu Rykierta z osobą Skarżyńskiego. Przecież Iks był kimś, kto sprzedał Rykiertowi pozłacaną solniczkę. Wydawało mi się niemożliwe, aby Iks stał się jednocześnie sprzedającym i kupującym ten sam przedmiot. A jednak tak właśnie okazało się w naszej historii.

— On był niezwykle przebiegły. Powiedział mi, że samochód jego znajduje się w remoncie. Zależało mu, żeby wszyscy wiedzieli, że od niego wyszedłeś i wsiadłeś do autobusu. Zapewne tak samo dogonił na drodze Kobylińskiego.

— Wygarnąłem mu w lesie całą prawdę — chwalił się Henryk.

Rosanna spojrzała na niego ironicznie:

— Wmawiałeś mu, że jest Schullerem, czym zapewne setnie go ubawiłeś. Nie zauważyłeś, jak się uśmiechał podczas twojej przemowy? W pewnej chwili mnie też coś uderzyło w twym opowiadaniu. Ale wiesz kiedy? Gdy rzekłeś, że Schuller nieopatrznie sprzedał Butylle laseczkę, z którą paradował po getcie. Prawdziwy Schuller przenigdy nie popełniłby takiego głupstwa. I oczywiście przekonaliśmy się, że Skarżyński nie jest Schullerem.

— A kim on jest, do diabła? — rozzłościł się Henryk.

— A więc ty jeszcze nie odgadłeś? On zabił Schullera jeszcze w 1945 roku i zakopał jego zwłoki w ruinach swego gospodarstwa w rogowskim lesie. Podczas wojny Schuller i Skarżyński prowadzili ze sobą jakieś handlowe konszachty. Schuller u Skarżyńskiego urządził sobie kryjówkę na wypadek, jeśliby wojna skończyła się klęską hitlerowców. W ostatnich dniach wojny

zjawił się u Skarżyńskiego wraz z zrabowanymi skarbami. Skarżyński go zabił, a skarby przywłaszczył. Oczywiście nie mógł wiedzieć, że Schuller paradował w getcie z laseczką w ręku, dlatego sprzedał ją Butylle, a ten z kolei odstąpił ją Rykiertowi itd. Gdy zacząłeś interesować się pochodzeniem laski, rzecz jasna, poczuł się zagrożony i zabił Butyłłę. Poczuł się zagrożony jednak nie dlatego, że zabił kiedyś Schullera i posiadł jego skarby; to zabójstwo bowiem trudno byłoby mu udowodnić. Skarżyński przeraził się, ponieważ zabił także... własną żonę.

— Co ty mówisz, Rosanno?

— Przekopując ruiny jego gospodarstwa w rogowskim lesie, w rozwalonej piwnicy odnaleziono szkielet mężczyzny, prawdopodobnie Schullera, i zwłoki kobiety zabitej przed trzema miesiącami. W mieszkaniu zaś Skarżyńskiego odkryto kanister na benzynę, który miał podwójne dno. Znajdowało się tam około 80 tysięcy dolarów. Skarżyński przygotowywał się do wyjazdu samochodem za granicę, otrzymał nawet paszport i czekał na wizę do Francji, gdzie zamierzał rozpocząć *nowe życie*. Żona — stara prosta chłopka — nie nadawała się do tego nowego życia, zabił ją więc bojąc się, że może mu przeszkodzić w wyjeździe. A gdy wyniknęła sprawa laseczki, Skarżyński zląkł się nie śledztwa w związku z oskarżeniem, że jest Schullerem (bo przecież nim nie był, mógł zmyślić bajeczkę, że laseczkę znalazł gdzieś przypadkowo), ale przeraził się, że zainteresowanie, jakie mu okaże milicja w związku z tym oskarżeniem, doprowadzi do wykrycia zabójstwa żony. Milicja nie dałaby się zbyć opowiastką o wyjeździe żony do nie istniejących krewnych. Wystarczyłoby najmniejsze podejrzenie, a wyjazd Skarżyńskiego zostałby wstrzymany. Dlatego najprościej wydawało mu się zabić Butyłłę, który go szantażował i który najprawdopodobniej także nabrał podejrzeń co do tajemniczego zniknięcia żony Skarżyńskiego. Lada dzień Skarżyński miał otrzymać wizę... Ale łańcuch wydarzeń zmusił go do nowych zbrodni. Znasz zresztą ciąg dalszy tej historii.

— Aresztując Skarżyńskiego Pakuła nie miał pojęcia, że on jest także zabójcą Schullera.

— Nie wiedział i tylko tobie zawdzięcza tę informację. Lecz zdemaskowanie mordercy należy przypisać nie tobie, a jemu. Nie doceniałeś Pakuły, Henryku.

Nie doceniałeś milicyjnej metody śledztwa. Pakuła otrzymał od swoich ludzi informacje o przemalowywaniu samochodów marki Syrena. Była w tej informacji wzmianka, że ktoś przemalował syrenkę z jasnej na ciemnozieloną, a więc na kolor podejrzany. Z początku Pakuła odrzucił ten fakt jako nic nie znaczący, ponieważ, zgodnie z logiką, morderca powinien chcieć zmienić kolor auta z podejrzanego na niepodejrzany. Potem, gdy odkryto auto w gliniance, Pakule przyszło na myśl, że pozbywając się ciemnozielonego auta, jednocześnie morderca zaopatrzył się w identyczny samochód. Ciemnozielonych syren jest dość dużo, mimo to nie tak łatwo kupić ją od razu w żądanym kolorze. Morderca zaś musiał działać szybko. Dlatego Pakuła miał prawo przypuszczać, że kazał przemalować auto, właśnie na kolor... podejrzany. Pakuła pojechał do warsztatu, gdzie dokonano przemalowania, powiedziano mu o samochodzie inżyniera Cieleckiego. Ten wyjaśnił Pakule, że przemalował auto na żądanie nowego nabywcy, którym okazał się... Skarżyński. I oto Pakuła zjawił się w mieszkaniu mordercy, gdzie przyjął jego i nas z otwartymi rękami.

— Sprytny — powiedział z uznaniem Henryk.

— O kim mówisz? — spytała Rosanna.

— O Pakule. Bo Skarżyńskiego zaczynam uważać za durnia. Powiedz mi, po jakie licho utopił w gliniance swój samochód? Przecież gdyby tego nie zrobił, Pakuła nigdy nie wpadłby na jego trop.

— Nie masz racji, Henryku. Spróbuj wejść w skórę mordercy. Pewnego dnia czytasz w gazecie, że milicja poszukuje właściciela ciemnozielonej syreny, a właśnie ty posiadasz taką ciemnozieloną syrenę. Jesteś na tyle mądry, aby domyślić się, że prędzej czy później milicja dotrze do wszystkich osób stykających się z Butyłłami, a więc trafi i do ciebie, a wówczas zwróci uwagę na fakt, że posiadasz ciemnozielone auto. Co więc czynić? Przemalować auto? Ależ to nonsens. Każdy człowiek w miasteczku poinformuje milicję, że pan Skarżyński miał ciemnozielone auto. Pozostawało tylko jedno: zasugerować milicji, że morderca pozbył się ciemnozielonego samochodu, lecz jednocześnie właśnie posiadać identyczne auto. Pomyśl, to było piekielnie sprytne i przez pewien czas wszyscy się na to nabrali. Wszyscy z wyjątkiem Pakuły. Dlatego Pakuła zwyciężył.

17 czerwca

Henryk stał przed Domem Prasy i czekał na reportera Bielaka, z którym zamierzał udać się do mieszkania Bromberga, aby wykonać zdjęcia do reportażu. W kieszeni miał kopertę z pięciuset złotymi jako gratyfikację za pozowanie do zdjęć, taka bowiem była umowa między Henrykiem i Brombergiem.

Sprawa była pilna i dość istotna, ponieważ Henryk złożył już w redakcji pierwszy artykuł o laseczce. Zgodnie z jego obawami Naczelny Redaktor dość sceptycznie ustosunkował się do opisanej historii.

— Policja nie potrafiła rozwikłać zagadki mordu woltyżerki, a ty w ciągu jednej chwili, po trzydziestu latach, wskazałeś palcem mordercę?

— Laseczka. Policja nie domyślała się istnienia laseczki z bagnetem — cierpliwie tłumaczył Henryk.

Naczelny dobrodusznie kiwnął głową:

— Ja ci wierzę, Henryku, bo znam twoją prawdomówność. Ale czy uwierzą ci czytelnicy?

Tak więc zdjęcia okazały się nieodzowne. Fotografia Bromberga opowiadającego szczegóły dokonanego zabójstwa, Bromberga smażącego jajecznicę na boczku, Bromberga przy grobie Zazy — to wszystko miało utwierdzać czytelników, że Henryk napisał prawdę.

Czekał więc na fotoreportera Bielaka i jak wówczas, gdy wyruszał do Brzezin, przy chodniku stanęła ciemnozielona syrena, z której wysiadła Julia.

— Jaka szkoda, Henryku — powiedziała Julia — że nie pojechałeś wtedy z nami na wycieczkę. Byliśmy aż nad Wartą. Opalaliśmy się, wypoczęliśmy. Mój kuzyn bardzo dobrze prowadzi wóz.

— Mówiłaś mi, że to twój brat z Poznania.

— Brat? No tak, brat stryjeczny, czyli kuzyn.

Po tych słowach trochę się zarumieniła. Potem uśmiechnęła się i weszła w bramę Domu Prasy.

Ktoś trącił Henryka w łokieć. Obejrzał się i zobaczył Rosannę.

— Śledzisz mnie? Znowu mnie śledzisz? — powiedział z gniewem.

— Nudny jesteś — wzruszyła ramionami Rosanna. — Nie ma potrzeby śledzenia twojej osoby. Z góry wiadomo, co zrobisz i dokąd pójdziesz. To samo mogę powiedzieć o Julii.

— Przystojny jest jej kuzyn — rzekł Henryk patrząc na młodego mężczyznę za kierownicą syreny.

— Kuzyn? — zdziwiła się Rosanna. — Widziałam ich wczoraj w aucie na ulicy Roosevelta. Całowali się w samochodzie.

— Z kuzynem?

Z bramy wyszedł Bielak, a zaraz za nim wyjechało auto redakcyjne. Po dziesięciu minutach jazdy znaleźli się przed domem, w którym mieszkał Bromberg. Na drzwiach jego komórki wisiała żelazna kłódka.

— Tylko tego brakowało — zaklął Henryk. — Facet chyba gdzieś wyjechał.

Zbiegł piętro niżej, zapukał do jakichś drzwi i spytał o Bromberga.

— Ten na górze, ten, co mieszkał w komórce? — upewniał się pan w rozdeptanych pantoflach i zaplamionej bonżurce. — Umarł, proszę państwa. Zatruł się gazem i umarł.

— Nic nie rozumiem. Otruł się gazem? — nie dowierzała Rosanna.

— Za wcześnie zażył proszek nasenny — wyjaśnił pan w bonżurce. Zasnął, a gotująca się w garnku woda zalała płomień gazowy i tak otruł się biedak. Przedwczoraj odbył się jego pogrzeb. A państwo z Wydziału Kwaterunkowego? Bo, proszę państwa, my tę komórkę przeznaczyliśmy na pralnię dla całego domu. Mam tu wniosek z podpisem trzydziestu lokatorów...

Chciał gdzieś iść, coś pokazywać. Lecz Henryk i Rosanna zeszli już na podwórze.

Henryk odprawił Bielaka i redakcyjne auto. Wydawał się smutny, jakby wiadomość o śmierci Bromberga bardzo nim wstrząsnęła.

Rosanna położyła dłoń na ramieniu Henryka:

— Może pójdziemy do ciebie? A może chcesz, żebyśmy poszli potańczyć — zapytała zaglądając mu w twarz.

Powędrowali wolno ulicą. Minęli kilka przecznic i znaleźli się obok Starego Cmentarza. Był ciepły czerwcowy wieczór podobny do tego, gdy się poznali. Tylko że teraz już nie pachniały bzy.

Rosanna westchnęła:

— Jaka szkoda, Henryku, że nie będziesz miał zdjęć Bromberga jedzącego jajecznicę, Bromberga przy grobie Zazy...

Henryk odpowiedział:

— Jaka szkoda dla Bromberga, że nie zarobi pięciuset złotych za pozowanie do moich zdjęć. Tak były mu potrzebne te pieniądze...

Spróbowała odwrócić jego myśli od śmierci Bromberga.

— Czy wiesz, Henryku — rzekła — że w mieszkaniu Skarżyńskiego odnaleziono duże ilości rzeczy zrabowanych w getcie? A pozłacana solniczka, po którą Butyłło przyszedł do mieszkania Rykierta, wcale nie była roboty Celliniego. Zaś ten nóż, no wiesz, ten posrebrzany nóż nie pochodzi z zastawy Katarzyny Medycejskiej. Inicjały CM należą do polskiej szlachcianki Celiny Modrzejewskiej, która przed stu laty kazała sobie wykonać sztućce na wzór renesansowych.

— Taaak? — zdziwił się Henryk.

— W pamiętniku doktora Krzyżanowskiego ani słowem nie wspomina się, aby solniczka była roboty Celliniego, a nóż pochodził z kredensu Katarzyny di Medici.

— Jak to? Przecież sam to czytałem w naszym tygodniku.

— No tak. Bo fragment zamieszczony w waszym tygodniku wcale nie jest identyczny z tym samym fragmentem w maszynopisie pamiętników. Ktoś, Henryku, dopisał kilka zdań na maszynopisie, który trafił do waszej drukarni. Dopisał, że solniczka jest roboty Celliniego, a nóż należał do Katarzyny Medycejskiej. Potem te swoje zapiski zniszczył, lecz fałszywy tekst ukazał się w waszym tygodniku.

— Nie pojmuję, jaki sens miało to fałszerstwo. Po co je zrobiono? Pakuła wyjaśnił tę sprawę?

— Nie, Henryku. Przecież ono nie jest istotne. Najważniejsze, że odnaleziono mordercę.

— No tak. Najważniejsze, że odnaleziono mordercę — zgodził się Henryk.

A potem zaprowadził Rosannę na tyły swego domu, gdzie znajdowały się garaże samochodowe. Otworzył drzwi jednego z garaży i wskazał dziewczynie stojące we wnętrzu auto.

— Ciemnozielona syrena — szepnęła Rosanna.

— Kupiłem ją przedwczoraj. Wpłaciłem trzydzieści tysięcy gotówką, a resztę załatwię ratami. Jeśli chcesz, możemy jechać potańczyć...

Długą chwilę zastanawiała się nad czymś. Wreszcie spytała:

— Nie możesz napisać reportaży o swojej laseczce, bo nie masz zdjęć Bromberga. A czy nie przyszło ci na myśl, że mógłbyś stać się autorem powieści kryminalnej? Właśnie powieści kryminalnej osnutej na tle historii laseczki palisandrowej.

Henryk uśmiechnął się:

— Na pewno napiszę powieść kryminalną. Tylko że...

— Tylko że?... — podchwyciła Rosanna.

— Ta powieść nie będzie ci się podobała. Bo, widzisz, powieść kieruje się nieco innymi prawami niż życie.

— Nie rozumiem. To nie będzie historia o laseczce?

— To będzie historia o laseczce. Tylko że kto inny okaże się w niej głównym winowajcą.

— Nie Skarżyński?

— Czy nie niepokoi cię, Rosanno, że prawdziwa historia, którą przeżyliśmy, zawiera kilka niejasności? Zapewne w życiu zawsze pozostają jakieś fragmenty, o których nigdy do końca nie dowiemy się wszystkiego. Ale w powieści, a szczególnie w powieści kryminalnej, wszystko musi zostać wyjaśnione.

— O czym ty mówisz, Henryku?

— No, choćby o tym fałszerstwie tekstu pamiętnika doktora Krzyżanowskiego. Nie wiemy także, co się stało z pieniędzmi, które podjął w banku pan Butyłło, zanim został zakłuty nożem? A czy odpowiedziałaś sobie, Rosanno, na pytanie: skąd ja miałem pieniądze na kupno samochodu? Może to były te same pieniądze, które podjął pan Butyłło?

— Nie żartuj, Henryku.

— Nie żartuję. W powieści wszystko musi znaleźć odpowiedź.

— A czy ty masz już tę odpowiedź dla czytelników powieści?

— Oczywiście, Rosanno.

— Więc powiedz. Powiedz, kto był głównym winowajcą?

— Julia.

— Julia? Oszalałeś, Henryku? Głupia, ale chyba dobra Julia? Nie, nie bądź tak okrutny i nie mścij się na niej czyniąc z niej zbrodniarkę w oczach czytelników powieści.

— Nie twierdzę, że była zbrodniarką. Ona jednak pośrednio spowodowała wszystkie zbrodnie. Głównym zabójcą zaś był... dziennikarz Henryk.

— Ty??

— Tak, ja. Oczywiście, ja — Henryk powieściowy. Bo chciałbym, Rosanno, napisać powieść kryminalną w stylu van Dine'a. Będzie w niej mowa o mrocznych zakamarkach duszy ludzkiej. Będzie to powieść kryminalna z dwoma zbrodniarzami. Jeden z nich, ten główny, był tak chytry i przebiegły, że nawet nie splamił sobie rąk krwią żadnej ze swych ofiar. To on jednak sprawił, że ten drugi, właśnie Skarżyński, zmuszony był zabijać. Zdemaskowano Skarżyńskiego, ale ten drugi, ten główny, ten prawdziwy, pozostaje na wolności. Albowiem nikt nie zdoła dowieść mu zbrodni.

— Nie wierzę w zbrodnię doskonałą — wzruszyła ramionami Rosanna.

— Bo też to nie były zbrodnie doskonałe. Znalazł się zbrodniarz. Tylko że ten zbrodniarz zabijał z cudzego rozkazu. Z rozkazu, którego nigdy nie otrzymał bezpośrednio. Ba, Skarżyński nawet nie wiedział, że jest narzędziem w czyichś rękach.

— Nic nie rozumiem, Henryku.

— Posłuchaj, Rosanno. Posłuchaj mnie uważnie. Lecz najpierw wyobraź sobie Julię. I Henryka. Julię — piękną, ale bez uznania dla sentymentów, Julię pragnącą żyć wygodnie przy boku mężczyzny. Henryk kocha Julię, ale nie gwarantuje Julii takiego życia, o jakim ona marzy. Henryk jest niezaradny, sentymentalny, niepraktyczny. Henryk wie, że on i Julia nigdy nie będą razem, bo aby posiadać Julię, musi mieć pieniądze.

— No tak, wyobrażam to sobie — powiedziała drwiąco Rosanna.

— Pewnej nocy w drukarni tygodnika Henryk natrafia na pamiętnik doktora Krzyżanowskiego. Rano zaś, wracając z drukarni do domu, dostrzega na wystawie Desy palisandrową laseczkę. Jak myślisz, czy po lekturze pamiętnika, w którym wyczytał o Schullerze i jego laseczce, od razu domyślił się Henryk, że wpadł na trop bardzo sensacyjnej sprawy?

— To prawdopodobne. Henryk jest inteligentnym dziennikarzem.

— Dziękuję ci, Rosanno. Masz rację. On od razu domyślił się, czym pachnie laseczka wyłożona w oknie Desy. Kupił ją więc i natychmiast poszedł do magistra Rykierta. Powtarzam, natychmiast. I rozmawiał z rzeczywistym Rykiertem.

— A więc kłamałeś, Henryku, że nigdy nie widziałeś prawdziwego Rykierta?

— Kłamałem. Przecież nie mogłem na siebie kierować jakichkolwiek podejrzeń. Rykiertowi powiedziałem wprost: „Proszę mi powiedzieć, skąd miał pan tę laseczkę, ona należała do SS-mana, Schullera".

— I cóż Rykiert?

— Wykręcił się od odpowiedzi. Powiedział mi, abym przyszedł do niego powtórnie, musi bowiem mieć czas na przypomnienie sobie, od kogo nabył laseczkę. Chodziło po prostu o to, że Rykiert był w tarapatach pieniężnych. Laseczkę kupił od Butyłły, ale wiedział, że Butyłło miał ją od Skarżyńskiego. A ponieważ przedmioty, jakie sprzedawał Skarżyński, niejednokrotnie budziły podejrzenia (pamiętasz historię złotego talerza?), Rykiert zaczął podejrzewać, że Skarżyński to Schuller. A skoro tak — pomyślał Rykiert — to nic nie stoi na przeszkodzie, aby wyciągnąć od Skarżyńskiego trochę pieniędzy, grożąc mu zdemaskowaniem.

— I ty dałeś się tym zbyć? Odszedłeś z niczym?

— To było mi na rękę. Podczas rozmowy z Rykiertem domyślałem się jego kombinacji. Wiedziałem jednak, że prędzej czy później zdołam od niego wydobyć prawdziwą informację, od kogo nabył laseczkę. W mieszkaniu Rykierta zauważyłem pozłacaną solniczkę, tę solniczkę, o której również czytałem w pamiętniku Krzyżanowskiego. Zrozumiałem, że mam do czynienia

z ludźmi, którzy handlują rzeczami pomordowanych. Postanowiłem zemścić się na Rykiercie. Za tysiąc pięćset złotych kupiłem od niego jakiś stary posrebrzany nóż. Pobiegłem do drukarni, wstawiłem do tekstu pamiętnika słowa o nożu renesansowym Katarzyny Medycejskiej i o solniczce z pracowni Celliniego. Sfałszowany tekst dałem zecerowi, poczekałem, aż go złożył, a potem maszynopis z poprawkami własnoręcznie zniszczyłem. Byłem pewien, że gdy fałszywy tekst ukaże się w druku, Rykiert oszaleje z wściekłości, bo za tysiąc pięćset złotych sprzedał mi srebrny nóż, który jako nóż z zastawy Katarzyny Medycejskiej jest wart przynajmniej dwadzieścia razy tyle. Spodziewałem się, że Rykiert przybiegnie do mnie, aby nóż odkupić, a wówczas ja pogadam z nim na temat laseczki.

— Więc to ty, Henryku, byłeś tym tajemniczym Ygrekiem z notesu Rykierta?

— Tak, Rosanno. Poprzez swoje fałszerstwo chciałem zdobyć trzydzieści tysięcy złotych na samochód. Bo Julia drwiła ze mnie nieustannie. Cierpiałem przez nią. Gdybyś wiedziała, jak kpiła ze mnie, gdy zjawiłem się w kawiarni ze swoją laseczką. Słuchałem jej kpin, a jednocześnie myślałem o intrydze, którą udało mi się zawiązać.

— Więc wtedy? Wtedy, gdy mnie po raz pierwszy spotkałeś koło Starego Cmentarza, wiedziałeś, że laseczka zawiera bagnet?

— Oczywiście, Rosanno. Czyż w przeciwnym razie zdecydowałbym się narażać na bójkę z silniejszym ode mnie Lolkiem? Zresztą, zdarzenie to nie miało żadnego istotnego znaczenia dla całej sprawy. O wiele ważniejszy był fakt, że jednak nie mogłem doczekać się chwili, gdy Rykiert sam zgłosi się do mnie z propozycją odkupienia srebrnego noża. Poszedłem do niego i nagle w drzwiach mieszkania ktoś przedstawił mi się za Rykierta. Natychmiast zrodziło się we mnie podejrzenie, że Rykiert został zamordowany. Zginął, ponieważ próbował kogoś szantażować. Oczywiście, podejrzenia zachowałem dla siebie. Zjawiłem się w kawiarni, gdzie Julia pokazała mi nekrolog magistra Jana Rykierta. I choć Pakuła do dziś sądzi, że Rykiert zginął w wypadku samochodowym, ja utrzymuję, że było to pierwsze morderstwo Skarżyńskiego. Pod byle jakim pretekstem pojechał z Rykiertem za miasto, może chciał mu

wręczyć pieniądze za milczenie w sprawie laseczki, i tam ogłuszył go, a następnie samochód wypchnął na tory kolejowe, gdzie reszty dokonał pociąg.

— Więc przez cały czas, gdy wraz z tobą poszłam pod drzwi mieszkania Rykierta, gdy pojechaliśmy na cmentarz i potem, gdy po raz pierwszy przyszłam do ciebie, ty kłamałeś, udawałeś?

— No tak, Rosanno. To było konsekwencją wszystkich moich planów życiowych. Snułaś przypuszczenia, jaki był powód, że tajemniczy osobnik udawał Rykierta w jego mieszkaniu, a ja wiedziałem na pewno, że szukał on solniczki i srebrnego noża. Właśnie tego dnia ukazał się w tygodniku fragment spreparowanego przeze mnie pamiętnika. Butyłło przeczytał, że nóż i solniczka, które sprzedano Rykiertowi za psie pieniądze, są warte wielekroć więcej. I korzystając ze śmierci Rykierta, spróbował je wykraść. A ja nazajutrz rano odwiedziłem siostrę Rykierta. Czy myślisz, że rzeczywiście zależało mi tylko na wyjaśnieniu zagadkowej śmierci jej brata? O nie, chodziło mi przede wszystkim o to, czy Rykiert nie prowadził jakichś notatek i czy w tych notatkach nie widnieje moje nazwisko jako nabywcy srebrnego noża. Siostra Rykierta pokazała mi notatki i z ulgą stwierdziłem, że figuruję w nich jako Ygrek. Byłem więc już bezpieczny, nie istniał żaden dowód mej wizyty u żywego Rykierta. Dopiero wówczas, jak wiesz, poszedłem do milicji. Potem zaś nastąpiła wizyta u Butyłły. Ta wizyta odegrała w mym życiu wielką rolę.

— Nie bujaj. Przez cały czas byłam przy tobie i nie zauważyłam w tobie żadnej przemiany.

— A jednak w Henryku dokonała się przemiana, Rosanno. Widok starego wstrętnego Butyłły, posiadacza pięknej żony, willi i samochodu, machera od ciemnych interesów, uczynił z Henryka zupełnie nowego człowieka. Jakby napisał van Dine: „w duszy jego otwarły się najciemniejsze i najokropniejsze zakamarki". Trochę sentymentalny dziennikarz Henryk, najpierw pod wpływem Julii z jej wulgarnym materializmem, a potem Rykierta, handlarza rzeczami pomordowanych — zostaje fałszerzem, preparuje tekst pamiętnika. Jest w tym jeszcze pewien wdzięk. Teraz jednak Henryk decyduje się zostać zbrodniarzem. Wraz ze śmiercią Rykierta ten powieściowy Henryk stał się posiadaczem strasznej tajemnicy. Zrozumiał, że gdzieś tam żyje i czai się wielki

zbrodniarz, gotów zabić każdego, kto trafi na jego ślad. Jeśli wolno mi użyć porównania, ów Henryk znalazł się jakby w sytuacji człowieka, który wie, że w jednym z pokojów kryje się zbrodniarz, nie znany mu z imienia i nazwiska, a każdy, kto skieruje się do tego pokoju — musi zginąć. I Henryk poczyna niektórym ludziom doradzać, aby weszli właśnie do tego pokoju. Oczywiście, ludzie ci idą za jego radą nie dlatego, że są Henrykowi posłuszni, ale że kieruje nimi chciwość, chęć zdobycia pieniędzy poprzez szantaż. Pomyśl, co za przewrotna gra! Bohater powieści trafia na ślad zbrodniarza, pragnie go odkryć i zdemaskować, ale jednocześnie podsuwa zbrodniarzowi coraz to nowe ofiary mordu, pragnie bowiem, aby ów zbrodniarz poprzez swe zabójstwa zatuszował jedno świństewko, które uczynił nasz bohater chcąc zdobyć pieniądze na samochód.

— Przez cały czas byłam przy tobie — upierała się Rosanna.

— Nieprawda, Rosanno. Czy pamiętasz, że gdy opuściliśmy willę Butyłły, ja na chwilę tam wróciłem, aby zabrać pozostawioną papierośnicę.

— No tak, lecz co to miało wspólnego?...

— Wówczas to Henryk postanowił dostarczyć Schullerowi nowej ofiary. Zamordowanym ma zostać Butyłło. Przedstawiam ci bowiem, Rosanno, zbrodniarza, jakiego nie zna historia kryminalistyki. Nikt mu nie będzie w stanie dowieść zbrodni, ponieważ czynił zbrodnię cudzymi rękami. Zmuszał kogoś do zbrodni nie wydając żadnego rozkazu, ba, nie znając wykonawcy wyroku. Zbrodniarz taki ma poczucie sędziego, który wydaje wyrok według własnych praw, a przy wykonaniu posługuje się katem. Tym katem miał stać się Schuller.

Butyłło musi zginąć. Musi zginąć dlatego, że Henryk chce zyskać trzydzieści tysięcy za srebrny nóż, co uniemożliwiła mu śmierć Rykierta. Butyłło musi zginąć, ponieważ jest łajdakiem. Skazując go na śmierć, Henryk nie ma poczucia winy, odwrotnie, czuje się sędzią sprawiedliwym. Butyłło zginie bowiem wskutek swego łajdactwa.

Zamiar swój realizuje Henryk z niezwykłą precyzją. Pod pretekstem pozostawienia papierośnicy wraca Henryk do Butyłły i informuje go, że jest posiadaczem srebrnego noża, który chciałby sprzedać. Umawia się z Butyłłą

w Łodzi, o siódmej wieczorem na pustej ulicy obok Starego Cmentarza. Gdy Butyłło mija ich na drodze, jeszcze raz powraca Henryk do willi, wiemy dlaczego.

Tymczasem Butyłło, dowiedziawszy się od Henryka o istnieniu notatek Rykierta, śpieszy do jego siostry, myśląc o odzyskaniu pozłacanej solniczki. Z rozczarowaniem dowiaduje się, że nabył ją Gniewkowski, śmiertelny wróg Butyłły. Oczywiście Gniewkowski za żadną cenę nie odstąpi Butylle kupionej solniczki. Pozostaje więc propozycja Henryka — posrebrzany nóż z zastawy Katarzyny Medycejskiej. Trzydzieści tysięcy, które zażądał Henryk, nie wydają się Butylle zbyt wygórowane. Za ten nóż będzie można uzyskać znacznie więcej, jeśli uda się go przeszwarcować za granicę.

Butyłło w banku PKO podejmuje trzydzieści tysięcy, spotyka się z Henrykiem, wręcza mu pieniądze i otrzymuje srebrny nóż. Lecz Henryk oświadcza Butylle, że przychwycił go na kłamstwie, sprawa laseczki wygląda poważniej, niż to mu przedstawił w pierwszej rozmowie, istnieje bowiem dalszy ciąg opublikowanego fragmentu pamiętnika. Pisze się w nim o Schullerze.

Butyłło znowu wykręca się bajeczką o szabrowniku, domyśla się jednak, że dziennikarz nie daje mu wiary. Pozostaje tylko grać na zwłokę. Zanim wskaże Henrykowi osobę, od której kupił laseczkę, Butyłło spróbuje, podobnie jak Rykiert, wyciągnąć pieniądze od Skarżyńskiego. Może w ten sposób powetuje sobie stratę, jaką poniósł, kupując za trzydzieści tysięcy złotych srebrny nóż, który jeszcze przed kilkoma dniami mógł nabyć za 1500 złotych?

Lecz właśnie o to chodzi Henrykowi. Butyłło jedzie do Skarżyńskiego, przeprowadza z nim ostrą rozmowę, każe sobie zapłacić za milczenie o pochodzeniu laseczki. Skarżyński obiecuje zgromadzić odpowiednią sumę pieniędzy. Wiemy, czym skończyła się ta obietnica...

Śmierć Butyłły uszczęśliwia Henryka. Uzyskał trzydzieści tysięcy, kat wykonał wyrok śmierci na łajdaku, mało tego — Butyłło okazał się Ygrekiem z notesu Rykierta, przy zwłokach Butyłły odnaleziono bowiem posrebrzany nóż renesansowy.

Niestety, już wkrótce wszystko poczyna się gmatwać. Do redakcji przybywa pani Butyłło. Przypomnijmy sobie ich rozmowę. „Klucz do rozwiązania

zagadki śmierci mego męża znajduje się u pana — mówi ona do Henryka. — Pan jeszcze coś ukrywa". Henryk zastanawia się, czy Butyłło nie wyjawił żonie zamiaru odkupienia srebrnego noża. Jeśli właśnie tak było — a Butyłłowa poinformuje milicję — wówczas Henryk znajdzie się w kręgu najbardziej podejrzanych, okaże się bowiem, że Butyłło widział się w Łodzi z Henrykiem i wręczył mu pieniądze. I oto Henryk decyduje się wydać na Butyłłową wyrok śmierci. Potem, gdy dowiaduje się od Pakuły, że ona na widok martwego kochanka przede wszystkim zaczęła grabić ukryte w schowku dolary — Henryk wyrok swój uznaje za sprawiedliwy.

Henryk mówi Butyłłowej:

„Pani nie wie, skąd pani mąż otrzymał laseczkę. Ale przecież chyba nie uszło pani uwagi, od kogo w ostatnim czasie nabywał pan Butyłło najróżniejsze rzeczy do sprzedaży. Jeśli pani dla jakichś swoich powodów nie chce ani mnie, ani milicji zdradzić nazwiska tego człowieka, bo, być może, przekonana jest pani o jego niewinności, niechże pani zjawi się u niego i spróbuje go wybadać. Jestem przekonany, że on właśnie jest mordercą".

Tak brzmi formuła wyroku śmierci wydanego przez Henryka na panią Butyłło. Kat dokańcza rozpoczęte dzieło zgodnie z logiką narzuconą mu przez Henryka. Oczywiście, byłoby interesującym zastanowić się, o ile Henryk ponosi także odpowiedzialność za śmierć Kobylińskiego. Faktem jest jednak, że Kobyliński odkrył fałszerstwo dokonane w tekście pamiętnika, a Henryk, jakby czując się zagrożonym, doradził Kobylińskiemu, aby ten odwiedził wszystkie osoby, które były w posiadaniu przedmiotów Iksa, co w konsekwencji spowodowało śmierć reportera. Jedno jest jednak zupełnie pewne: ujęto Skarżyńskiego, odkryto fałszerstwo w pamiętniku. Niech ktoś jednak spróbuje udowodnić Henrykowi, że to on krył się za plecami zbrodniarza i dyktował mu zbrodnicze postępki? Nie, Henryk pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami. Pełen smutku i żalu odchodzi spod drzwi mieszkania Bromberga. Bromberga, który nie zabił Zazy — dokończył Henryk.

— Co ty gadasz? Henryku, opamiętaj się! Bromberg nie zabił Zazy?

— Nie tylko jej nie zabił, ale nigdy nie oglądał na oczy laseczki z bagnetem. Wprost żenująca jest łatwość, z jaką daliście sobie wmówić, że palisandrowa

laseczka należała kiedyś do Oczki, a przez ręce Kochera trafiła do Bromberga. Dziennikarz Henryk podsuwa majorowi Buczkowi nazwisko bałuckiego rzezimieszka, co powoduje potem telefon od chorążego *historyka*. Oczko rzeczywiście posiadał laseczkę z bagnetem, ale nie ma żadnych dowodów, że była to ta sama laseczka, którą dziennikarz Henryk kupił w Desie. Tak samo jak nie jest prawdą, że Bromberg był zięciem adwokata Kochera. To tylko rotmistrz w kawiarnianej rozmowie sugeruje związki Kochera z Brombergiem, lecz przecież wiemy, że rotmistrz jest starym blagierem. W żadnym ze sprawozdań sądowych nie wspomina się, aby Bromberg był zięciem Kochera, dziennikarze piszą, że Bromberg miał laseczkę z rączką o kształcie nagiej kobiety.

— Przecież Bromberg przyznał ci się do zabójstwa Zazy?

— Ba, ale kiedy to uczynił? Najpierw był bardzo oburzony oskarżeniami Henryka. Przyznał się, gdy Henryk obiecał pieniądze za pozowanie do zdjęć. Godzi się pozować jako morderca, ponieważ żyje w nędzy i nie ma już dla niego żadnego znaczenia, co o nim ktoś powie i co o nim ktoś pomyśli. Dlaczegóż nie miałby Bromberg skorzystać z okazji i przyznać się do niepopełnionej zbrodni, jeśli sprawa jest przedawniona i nic mu za to nie grozi, a można zarobić trochę pieniędzy? Oczywiste jest, że Zazę zabił jej zazdrosny mąż. Bromberg, Rosanno, przyznał się dla... zarobku. Czy jest prawdopodobne, aby z taką obojętnością, smażąc i jedząc jajecznicę, opowiadał ktoś o zabójstwie kobiety, którą kochał? Powtarzam ci: Henryk świadomie przyjmuje fałsz za prawdę, świadomie kojarzy swą laseczkę z osobą Oczki, adwokata Kochera, Zazy i Bromberga, albowiem pragnie napisać dla swej gazety cykl reportaży o laseczce. Pragnie zarobić na kłamstwie, podobnie jak na kłamstwie zarobić chciał Bromberg. Nie wierz, że są dziennikarze, którzy z taką łatwością rozwiązują zagadki kryminalne sprzed trzydziestu lat. Natomiast wielu jest takich, co skłonni są przyjąć swoją sugestię za prawdę. Naczelny miał nosa, że nie chciał bez zdjęć moich reportaży... A teraz, Rosanno, może jednak pojedziemy na spacer za miasto?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na Henryka z przerażeniem. Wreszcie wykrztusiła z siebie:

— Jesteś... Jesteś obrzydliwy.

Smutnie pokiwał głową:

— Czy sądzisz, że opowiedziawszy ci to wszystko, wywiozę cię za miasto i tam zabiję laseczką? Och, Rosanno, przecież streszczałem ci tylko powieść kryminalną. Ona kieruje się innymi prawami niż życie.

— Skąd wziąłeś pieniądze na samochód? — upierała się Rosanna.

— Oszczędzałem. Odmawiałem sobie drobnych przyjemności, a ponieważ jako dziennikarz nie zarabiam najgorzej, udało mi się odłożyć trzydzieści tysięcy.

To mówiąc wsiadł do auta i wyprowadził je z garażu. Po chwili obok Henryka zajęła miejsce Rosanna. Pojechali za miasto szosą w stronę Ozorkowa. Była letnia noc — ciepła i pogodna.

Więcej książek

Zbigniewa Nienackiego

znajdziesz na stronie
www.nienacki.pl

Wydanie I

Copyright © • Helena Nowicka
Copyright © for electronic version • Liber Novus
Konstantynów Łódzki 2011

ISBN • 978–83–7741–010–3

Liber Novus 2011